LUBLIN

20 LAT

kultura i społeczeństwo

nr 1–2 (117–118) Rok XX
styczeń–kwiecień 2023

Dominika Wilk, *L—Lublin*

LUBLIN

kultura i społeczeństwo

tylko dla Ciebie
od

20 LAT

Panie czasu i stworzenia
przez moje trzewia
płynie twoja ciemna rzeka
posadź na jej brzegu kaczeńce
każ weselić się wróblom
muzykować świerszczom
bym uwierzył w Ciebie
że jesteś
by mi było lekko umierać

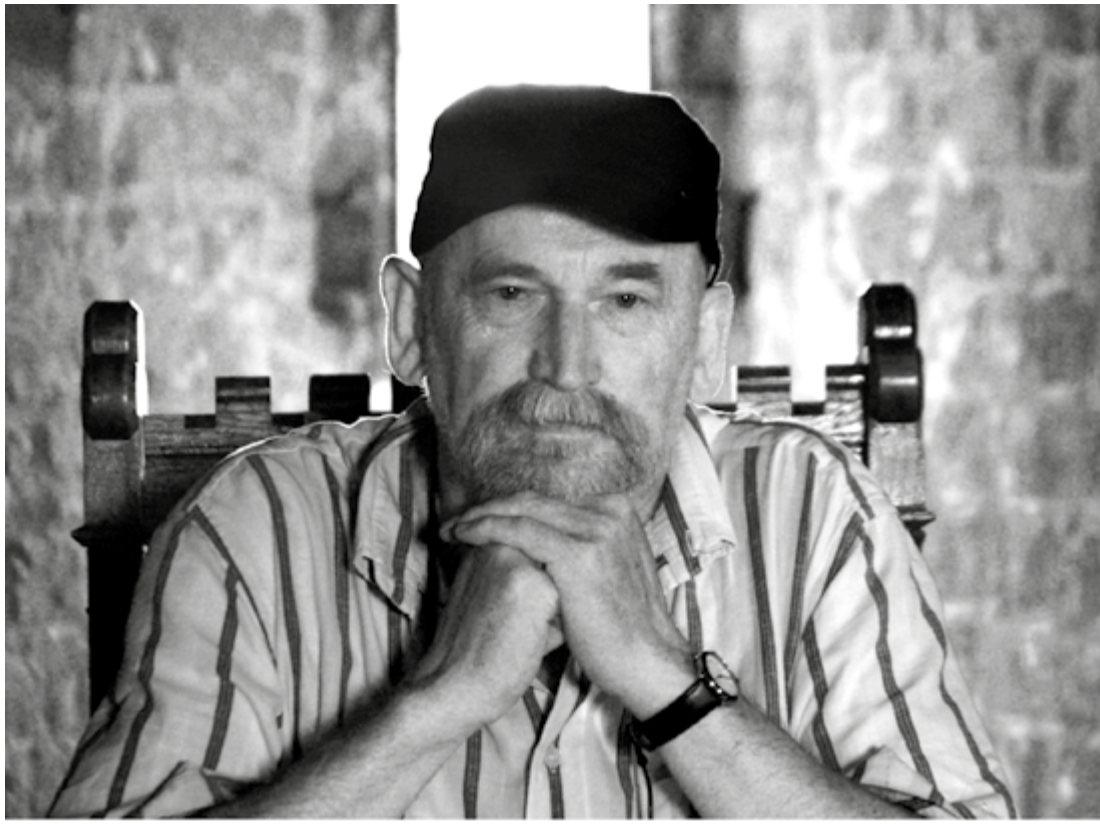

POETA, PROZAIK, TŁUMACZ, SCENARZYSTA

WOJCIECH PESTKA

27.11.1951–03.04.2023

„MYŚLĘ O TYM, JAK SIĘ MAŁO DOBREGO ZROBIŁO…"

LUBLIN
KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO
Dwumiesięcznik
Środowisk Twórczych

Wydawca:
Lubelski Oddział
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
20-112 Lublin, Złota 3
FUNDACJA Willa Polonia
20-089 Lublin, Probostwo 26

Redakcja:
Zbigniew Włodzimierz Fronczek
(redaktor naczelny)
Jan Kondrak
Bernard Nowak
Wojciech Pestka
Henryk Radej
Stanisław Żurek
Stanisław Jan Królik
(sekretarz redakcji)
Krzysztof Wasilczyk
(fotoreporter)
Jadwiga Król
(korekta)
Michał P. Wójcik
(redakcja techniczna)

Adres redakcji:
20-882 Lublin,
Organowa 1 m. 63
tel. +48 (81) 741-63-57
tel. kom. 607-222-193
e-mail: froncze@wp.pl

Skład, druk, oprawa:
Wydawnictwo Muzyczne
Polihymnia Sp. z o.o.
20-832 Lublin, Deszczowa 19
tel./fax +48 (81) 746-97-17

WWW.LUBLIN-CZASOPISMO.PL

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.

Na okładce I:
DOMINIKA WILK, ***Lublin, Brama Krakowska,*** serigrafia

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

W numerze:

Panie czasu i stworzenia – Wojciech Pestka 4
Drodzy Czytelnicy– redaktor 7
Wiersze – Wojciech Pestka 8
Jaskrawość bez końca – Jadwiga Mizińska 11
Sumienie narodu (410 rocznica zgonu Piotra Skargi) – Stefan Kruk 15
Wyjście z Unii czy jej upadek – Zygmunt Zieliński 18
Wiersze – Krzysztof Sawicki 20
Kazimierz Dziewiałtowski – syberyjskie losy polskiego szlachcica w XVII stuleciu – Wojciech Czarniawski, Aleksandr Konnykh 22
Zasadzka pod Żyrzynem – udany manewr majora Heydenreicha – Bartosz Staręgowski 32
Kądziel i wrzeciono – Kazimierz Parfianowicz 36
Czemierniki – zapomniana stołeczność – Jan Sęk 38
Wyroki i fundacje z Czemiernik – Zbigniew Włodzimierski 41
Na katyńskich pomnikach i w pamięci – Halina Ewa Olszewska 43
Guziki – Zbigniew Herbert 46
Groby Katynia – Stanisław Żurek 46
Bez kaplicy – Jan Twardowski 46
Matka Boska Katyńska – Kazimiera Iłłakowiczówna 47
W odkrytej ziemi, lecieli z Warszawy – Halina Ewa Olszewska 47
Polskie serce – Jan Orłowski 47
Lubelski „Rok Wincentego Pola" – Wiktor Kowalczyk 48
Kraszewscy na Podlasiu – Alicja Pihan-Kijasowa 53
Witajcie w mojej bajce. Dominika Wilk – serigrafia – (red.) 56
Lubelska sztuka eksperymentalna i performatywna – Małgorzata Wielgosz 67
Wściekli sześćdziesięcioletni (odc. siódmy) – Jerzy Jacek Bojarski 71
Ze sztambucha Alicji z Wileńszczyzny– Czesław Michałowski 87
Loty i przeloty – Jadwiga Mizińska 89
Wspomnienia z wycieczki na Wileńszczyznę – Stanisław Turski 91
Rok 1977. Ummanz/Hugen Niemiecka Republika Demokratyczna – Czesław Michałowski 99
Patron Lublina – Michał Antoni Frankowski 102
Zbigniew Andrzej Judycki (1948–2023) – ks. Edward Walewander 103
Agonia diecezji Łuckiej – ks. Edward Walewander 105
Mała ojczyzna w pięknym obrazie – ks. Zygmunt Zieliński 106
Serdeczna niewola – Jadwiga Mizińska 108
Nasz teatr – ks. Edward Walewander 109
Nałęczów. Jastrzębi szlak – Kyrzej 111
Dąbrowica. Wyjęte z „Echa" – Jadwiga Słonimska 115
Opowieść o cygańskiej koronie – Zbigniew Włodzimierz Fronczek 116
Flet i makaron (przysłowia lubelskie) – Zbigniew Włodzimierski 118

Projekt dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, jak również ze środków finansowych Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego

Drodzy Czytelnicy,

odszedł Wojciech Pestka, członek zespołu naszego pisma, wrażliwy poeta, wybitny pisarz, niezrównany reporter, pracowity redaktor. „Kochał ludzi, świat, literaturę i Ukrainę" – napisałem w nekrologu, w dniu śmierci Wojtka, 3 kwietnia. Dziś powtórzę za Wawrzyńcem Pestką, synem Wojtka, „że nade wszystko kochał Jedlnię, swą małą ojczyznę, jej historię i jej mieszkańców".

O sobie mawiał:

„od święta poeta, na co dzień prozaik, scenarzysta, tłumacz: z wykształcenia matematyk, rolnik z przymusu, literat z wyboru. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich". W tym miejscu muszę dodać: mój Przyjaciel.

Nić sympatii zawiązana podczas studiów z latami przekształciła się w mocne więzy męskiej przyjaźni. Nasze pierwsze wspólne zdjęcie pochodzi z roku 1973, ostatnie z radomskiego szpitala, kilkanaście dni przed Jego śmiercią. Pół wieku serdecznych kontaktów, pół wieku przyjacielskich relacji. Odbyliśmy wspólne wyprawy na Litwę, Łotwę, Słowację. Byliśmy na Ukrainie, Białorusi w Rosji i Mołdawii. I to wielokrotnie. Odwiedzaliśmy znajomych, uczestniczyliśmy w zjazdach i sympozjach literackich, przemierzaliśmy nie tylko turystyczne szlaki. Wybuchła wojna. Wojtek – człowiek wielkiego serca – przyjął pod swój dach czterdziestu uchodźców, w jego domu mogli ochłonąć po szoku wojny, zebrać siły po ucieczce, znaleźć pracę.

Wschodnie wojaże traktowałem jako artystyczne ekspedycje, poznawałem pisarzy, wydawców, mego Przyjaciela interesowała historia: losy ludzi prostych, skazanych przez wojny i polityczne zawieruchy na cierpienie, głód, poniewierkę. Do spisywania tych dramatycznych przeżyć i doświadczeń zainspirowały Wojtka wspomnienia teścia Mikołaja Szegdy, więźnia obozu w Workucie. W latach 2009–2020 opublikował trzy obszerne zbiory reportaży z serii Kresowa Apokalipsa: *Do zobaczenia w piekle*, *Gdyby Polacy nie byli Polakami*, *Diabelska maszyna do szycia*. Wiele z tych reportaży opublikował na łamach „Lublina".

W swych książkach nie unikał spraw trudnych, śmiało sięgał po tematy dramatyczne i drastyczne. Nie koncentrował się jednak wyłącznie na przeżyciach Polaków, nie rozpamiętywał jedynie polskiego bólu, ale wsłuchiwał się w relacje Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Łotyszy i rejestrował ich doświadczenia. Tworzył dzieła o wymiarze uniwersalnym, o losie jednostki w systemie totalitarnym. Te książki dalekie są od powszechnie dziś panującej, ,,poprawnościowej" historii, to głębokie, poruszające traktaty o paradoksach dziejów i koszmarach ludzkiego losu.

Lubię i cenię wiersze Wojtka, przywracają wiarę w miłość, szlachetność, piękno. Zachwycają mnie Jego reportaże i opowieści, przypominają o ludzkim obowiązku trwania w prawdzie, nie uleganiu podszeptom zła, potrzebie wiary w zwycięstwo dobra.

Nie tylko mnie zachwyciły te dzieła. Przełożono je na kilkanaście języków. Autora doceniano międzynarodowymi laurami literackimi, nagrodami, medalami, dyplomami. Otrzymał Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Hryhorija Skoworody (Ukraina), Nagrodę im. Mikołaja Gogola (Ukraina), Nagrodę Pióra (Łotwa). W 2013 r. za zasługi w promowaniu kultury i historii Polski na Wschodzie – na wniosek ambasadora RP na Ukrainie Henryka Litwina – został uhonorowany odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej", a minister kultury RP profesor Piotr Gliński dokonania Wojtka nagrodził srebrnym medalem Gloria Artis. Z tego pakietu wyróżnień Laureat najbardziej cenił sobie przyznany przez Ukraińską Fundację Kultury medal „Za Wierność Przesłaniu Poety".

Był redaktorem serii „Biblioteka Literatur Naszych Sąsiadów", w której prezentowaliśmy dzieła pisarzy Wschodu, niestrudzonym organizatorem sesji literackiej „Pisarze Świata w Lublinie", jurorem Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego.

Cieszył się przyjaźnią pisarzy z Białorusi, Ukrainy, Rosji, Słowacji, Tatarstanu, Kazachstanu, Armenii i Udmurcji. Przekładał ich wiersze, poematy utwory prozatorskie. Pierwszy w Polsce przetłumaczył powieści wybitnego prozaika Ukrainy Wasyla Słapczuka.

Powieść *Powiedzcie swoim*, za którą wyróżniony został lubelską nagrodą Bolesława Prusa, posłużyła Jackowi Gwizdale jako scenariusz filmu „Klecha", to rzecz o protestach robotników w Radomiu roku 1976 i o męczeńskiej śmierci ks. Romana Kotlarza z rąk funkcjonariuszy SB. Film w znakomitej obsadzie ukończony został dwa lata temu i nie może wejść na ekrany. Trzy tygodnie po śmierci scenarzysty film zaprezentowano w Lublinie na seansie zamkniętym.

Zaskakujące są wyroki Boże!

Numer „Lublina" z informacją o dwudziestoleciu pisma przychodzi otwierać wspomnieniem o Przyjacielu. Publikujemy kilkadziesiąt wierszy Wojtka, wśród poruszających liryków jeden wyjątkowy – prośba do Boga o lekką śmierć.

Piękny wiersz Wielkiego Poety.

Żegnaj Przyjacielu –

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Wojciech Pestka

* * *

nie napiszę wiersza o miłości
jaskółka smutku
kolejny zamglony poranek
kiedy zostaje tylko
postna owsianka
na wodzie i wspomnieniach

* * *

nici babiego lata
labirynt jesieni
tędy korytarzami odchodzą poeci
uginają się pod ciężarem
wierszy
szybkostrzelne łuki metafor
bezwstydne porównania
cała reszta
wytarta wycieraczka dla tych którzy tu wstępują

czekają na pierwszy śnieg
oczyszczenie z grzechów

* * *

to co mi dajesz i co mi zabierasz
zamknięte w pudełku wiersza
uschnie jak ścięta róża
powieszona głową w dół
straci czerwień
powab
kształty
zamieni się w szelest

* * *

nie napiszę wiersza o miłości
zabiorę ze sobą
scherzo oddechów – aksamitu przepaść
rozbłysk na niebie
jaskrawość bez końca

* * *

ciocia Helena sekretarka średniej szkoły
mieszkała w drewnianym domu
z werandą obrośniętą winem
przy ulicy Pogodnej Samotności
otoczona kłębami gorzkiego dymu
(paliła papierosy „mocne" bez filtra)
od niechcenia wskrzeszała zmarłych
wywołując ich po imieniu
pobladłych uczestników rodzinnych spotkań
chrzcin
wesel
pogrzebów

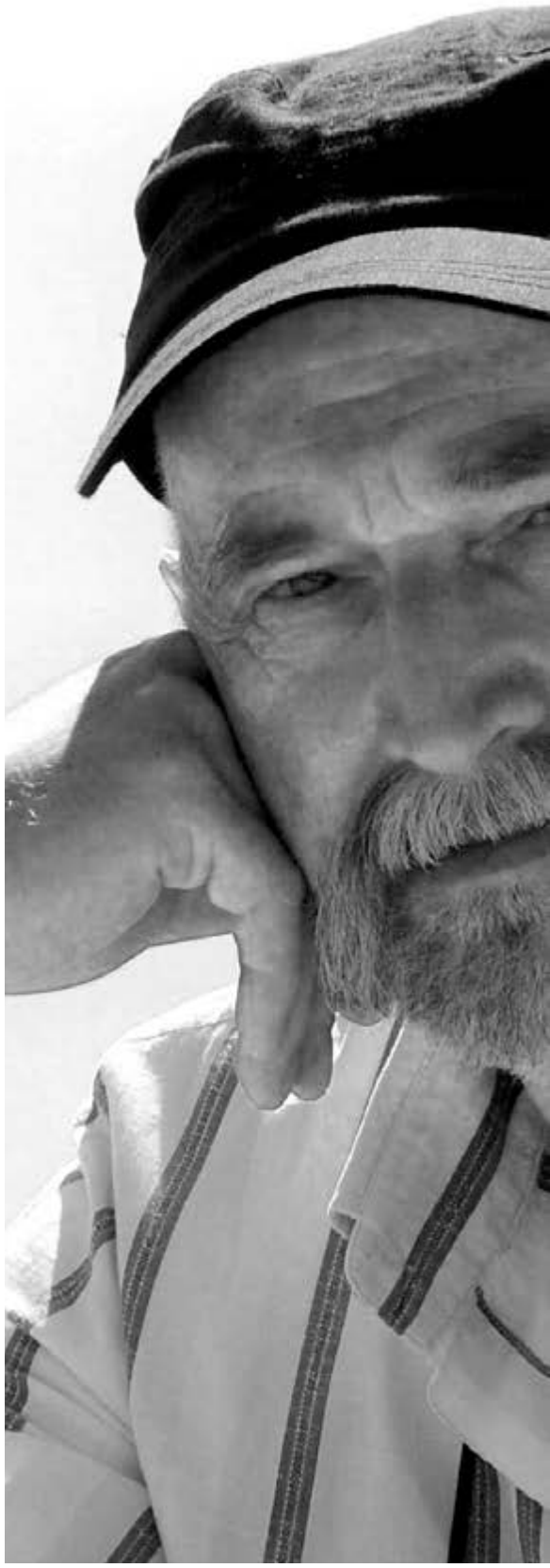

⁂

oni są we mnie wszyscy
ci którzy idą
ci którzy już przeszli
nawet ci co będą
chcą tego samego co ja
jeść
kochać
przebijają mnie na wylot
włócznią krzyku
oznajmiając swoje przybycie
znikąd
porastają mchem
na swoje odejście
donikąd

i ja w nich jestem
będę
chociaż o mnie nie wiedzą
idę brzegiem ich obecności

⁂

schła jak paprotka
gubiła wątek
od żalu i wspomnień pękała jej głowa
pod poduszką tuliła listy z tamtej strony
pełne czarno-białych fotografii
koniec przyszedł nagle
jak nożem ciął
papieros jeszcze długo
tlił się
w popielniczce

⁂

mam takie pamiątkowe zdjęcie
zrobiłaś je moim aparatem
samotnie stoję na pustym placu
dłońmi trzymam klapki kieszeni
pożyczonej jesionki
—jesień
jest zimno, za twoimi plecami mam posąg Lenina
gmach w tle wyszedł wyraźnie
przeznaczenie dokonało wyboru
elektronika przeniosła
ostrość
poza pierwszy plan

martwa natura z gmachem użyteczności publicznej
i nieostrą chwilą
która nie powróci
w rozmytych oczach
na betonowym półmisku placu

⁂

nie chciałbym być nikim ważnym
innym
wystarczy mi
wypełnić się spokojem
pochylić na kubkiem
przez obłok parującej herbaty widzieć Twoją twarz
Grosz
może wspomnieć
jasne wzgórza Słowacji
zawieszone wysoko
ormiańską katedrę we Lwowie
zanim żółta przepaść
zamknie się
za moimi plecami

⁂

szkoła przetrwania—czerwona podstawówka
przy torach
co mogłem wtedy wiedzieć o życiu
czego chcieć
drzwi o dwu skrzydłach gotowe odlecieć
w kącie zgarbiony popękany piec
do przerobienia program
dziecięcych uniesień i złudzeń
lekcje wiary
w zwycięstwo komuny i rewolucję

⁂

dwa dodawałem do dwóch
nie pytając
czy jest jakieś jutro
nie chcę być nikim innym (inkluzja)

⁂

siedziałem pod oknem
zielona ławka z unoszonym blatem
dziura na szklany kałamarz
czarna studnia bez dna
po torach toczyły się towarowe składy
lokomotywy pluły w niebo dymem
jak dyrektor szkoły
kiedy mówił o Bogu
żałobnym atramentem parskała obsadka
pod dyktando

→

* * *

czas pozbawił nas apetytu i marzeń
rozrzucił bez składu
jak wypalone zapałki po wielkim wybuchu

byliśmy nie tam
gdzie trzeba
nie oddaliśmy – wzięli sami
nie zapomnieliśmy
zostaliśmy zapomniani

* * *

ty jesteś częścią mnie
ja częścią ciebie
reszta jest drżeniem tła
sztuką dodawania
supernową

* * *

napisz do mnie
jeśli możesz
potrzebuję tych kilku
mniej lub bardziej przypadkowych słów
tak trudno zbudować
świat
mając do dyspozycji
dwa sms-y
nawet jeśli jest to już ostatni
szósty
dzień stworzenia

* * *

weź mnie za rękę Grosz
tak żebyś mogła
od początku
ukrytego w pierwszym słowie
wszystko opowiedzieć
ja
nie muszę być dopuszczony do tajemnic
ale moja ręka tak
obywa się bez słów
odwrotnie niż ja
gubię się tam
gdzie ona zmierza prosto
rzucam na wiatr słowa
których fale ona ucisza swoim dotykiem
albo pozwalam im płowieć w słońcu
na sznurze zdania
od kropki
po nieskończoność

* * *

wlokę za sobą walizę
wątpliwości
ciąży mi torba pełna obaw

* * *

mam związane ręce
gdybym był z tych
którzy wierzą
i kochają bez granic
moje drogi byłyby proste
brzemię lekkie

* * *

ta mętna rzeka
o bagnistym korycie
w której brodzę
ma twoje imię
Pana czasu i stworzenia
idzie za mną wlokąc
trupi zaduch – oddech śmierci

* * *

Groszek
mogę Ci dać
siebie
kilka kiepskich wierszy
do tego dołożyć liść
polnej gruszy
który przypadkiem
wpadł mi za koszulę w zeszłym roku.
może jeszcze cichą litanię
stygnącej powoli krwi
tylko tyle
i
ostatni skurcz lewej komory serca

ale to może mi zostać odebrane

* * *

zostałem skazany na to
żeby być ruchliwym robakiem
pracowicie drążyć w głowie korytarze
w których gubi się rozum

zostałem skazany na to
żeby być trawą
rozjechaną kolami rydwanów
zdeptaną przez wędrowców
zdążających za horyzont

Jaskrawość bez końca

Perora o książce Wojciecha Kajtocha pt. *Nie mam gdzie wrócić. W kręgu twórczości Wojciecha Pestki*. Wydawnictwo Wysoki Zamek. Kraków 2022

Jadwiga Mizińska

Już po śmierci Wojciecha Pestki, z rąk jego żony, Danuty Szegdy otrzymałam tomik poezji zatytułowany *Przejście*. Wiersze ukraińskie, opublikowany w serii „Lubelska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich" w roku 2022. Wcześniej otrzymałam od samego autora książkę *Gdyby Polacy nie byli Polakami. Kresowa Apokalipsa. Reportaże i perory* (Wydawnictwo Wysoki Zamek. 2019) z własnoręczną dedykacją. Wkrótce potem, z inicjatywy prezesa Stowarzyszenia Polskich Pisarzy, Zbigniewa Fronczka, doszło do zamkniętego pokazu filmu *Klecha* w lubelskim kinie „Bajka" z udziałem reżysera Jacka Gwizdały. Wymienione okoliczności zbiegły się w czasie i sprawiły, że zostałam „zarażoną" twórczością Wojciecha Pestki, również dzięki lekturze niezwykłej książki Wojciecha Kajtocha. Oto jej pełna wdzięku autoprezentacja:

„O twórczości i życiu Wojciecha Pestki, upartego studenta wszystkich fakultetów i poszukiwacza życiowej mądrości, a także jedlnianskiego poety, prozaika, reportera, tłumacza, scenarzysty i dramaturga" (s. 11).

Krakowski znawca jego biografii i dorobku, zaprezentował swoiste kompendium złożone z trzech części:

I . *Sylwetka*. Wojciech Kajtoch. O twórczości i życiu Wojciecha Pestki.

II. *Wybór utworów Wojciecha Pestki* (wiersze, proza, powieści, reportaże) .

III. *Krytyka literacka twórczości Wojciecha Pestki*.

Studiując obfity i wielobarwny dorobek Wojciecha Pestki, zaprezentowany przez profesora Kajtocha, próbowałam dobrać do niego jakiś klucz – odnalazłam go w wierszu z cyklu *labirynt jesieni*:

już nie napiszę wiersza o miłości
zabiorę ze sobą
scherzo oddechów—aksamitu przepaść
rozbłysk na niebie
jaskrawość bez końca

Opublikowany tomik w 2022 roku pod tytułem *Przejście*, w moich oczach zwiastował zapowiedzianą przez samego autora – rychłą śmierć. Zawarta w nim „muzyka oddechów" okazała się przeczuciem. Jej kolejne stadia wyglądają niczym geometryczny wykres: „przepaść aksamitu" – „rozbłysk na niebie" – „jaskrawość bez końca". Nic dziwnego – poeta był z wykształcenia matematykiem, nie tylko zwyczajnym lecz metafizycznym, podobnym do *Całej jaskrawości* Edwarda Stachury.

Innym moim kluczem do sezamu Wojciecha Pestki jest słowo „zawrócony", podpowiedziany przez film Kazimierza Kutza, ze znakomitą rolą Zbigniewa Zamachowskiego. Fabuła tego filmu toczy się w latach osiemdziesiątych podczas robotniczych strajków na Śląsku. Jej bohater, →

anonimowy szary człowiek, znienacka zostaje wciśnięty w tłum robotników. Przyparty siłą do cokołu pomnika, wskakuje na podest. Nagle z tłumu rozlegają się entuzjastyczne okrzyki – ludzie natychmiast widzą w nim… przywódcę. Na nic zdają się protesty; mimo jego woli, zostaje zawrócony – stąd tytuł filmu.

Postrzegany przez taką perspektywę, przypadkowy bohater, zostaje wydźwignięty przez Historię. Już nie może jej się sprzeciwić… Tak oto biografia, przekształca się w Los! Prywatne życie konkretnej jednostki, z czasem zaczyna wymagać spisywania jej życiorysu i poszukiwania w nim wewnętrznej logiki i przypisywania mu sensu.

Moje domniemanie ma swój pretekst w postaci ciągu konkretnych wydarzeń, które poczynają się układać w pewną szaradę, oczekującą wypełnienia „pustych miejsc". Dzięki Wojciechowi Kajtochowi oraz Danucie Szegdzie, czytelnik dostaje do rąk kalendarium życia, rozszerzone ponadto o wywiady oraz o fragmenty korespondencji między obydwoma Wojciechami. Warto zadać sobie szkolne pytanie, „co chciał przez to powiedzieć poeta?", zaś w tym przypadku – życiowe doświadczenie Wojciecha Pestki. Jakie było jego przesłanie? Gdzie zamierzał wylądować po zakończeniu swojej odysei, w jaki sposób chciał powrócić do Itaki?

W sumie, wraz z licznymi fotografiami W. Pestki i jego przyjaciół, książka W. Kajtocha zdaje się przeczyć tytułowi „nie mam gdzie powrócić". Owszem, jak wynika z jej treści, ma on dokąd i do czego powrócić. Tyle tylko, że jego prywatna odyseja toczy się po okręgu. Idealne koło, marzenie Platona, to niezwykle tajemnicza figura. Jej początek wpierw się oddala, lecz po osiągnięciu kulminacji, poczyna się przybliżać aż do punktu spotkania, zatem powiązania początku z końcem. Najbardziej zagadkowy element okręgu tkwi w jego „zawróceniu".

Na osobistej mapie odysei Wojciecha Pestki, ów moment rysuje się jako nieprzewidziane złamanie jego linii życia: oczekując na kontynuowanie i na ciągłość jego zamierzeń jako na nauczyciela matematyki, i planów naukowej kariery, natknął się na nieprzewidziane trudności: pod biurokratycznym pretekstem, odebrano mu takową możliwość. Musiał się przeto zadowolić powrotem na gospodarstwo odziedziczone przez rodziców. Oznaczało to radykalną zmianę zainteresowań i trybu życia – przestawienie się na działalność praktyczną, uprawianie roli, siewy, zbieranie plonów etc. Aby móc utrzymać rodzinę, musiał się więc „przekwalifikować". W ten sposób spędził całe dwadzieścia lat, ku zdziwieniu i zgorszeniu otoczenia, narażony na kpiny sąsiadów. Mimo wszystko nie zdołał porzucić swoich „inteligenckich" pasji. Już jako młody człowiek podjął działalność literacką, a nawet doczekał się debiutu poetyckiego. Jednocześnie korciło go dociekanie lokalnej historii. Mieszkając w Jedlni, w pobliżu Radomia, który akurat w tym czasie stał się ośrodkiem dramatycznych wydarzeń (w tym osławionej „ścieżki zdrowia") po strajku robotników Wojciech Pestka mimowolnie został uwikłany już nie tylko w lokalną, ale również w historię całej Polski. Owocem przyszłego zwrotu w jego biografii było wkroczenie na teren literatury. A nieco przedtem – dokumentowania w charakterze uczestniczącego świadka radomskich wydarzeń, zapowiadających powstanie KORu i Solidarności. Zgromadzony w ten sposób materiał zainspirował go do przyszłej pracy nad filmem *Klecha*, którego bohaterem był ksiądz Roman Kotlarz z pobliskiej parafii.

Wcześniej nieco Wojciech Pestka napisał książkę o Józefie Gackim, również księdzu, co wymagało wytrwałych archiwalnych i historycznych badań. Motywem tych dociekań stało się odtworzenie losu miejscowego proboszcza i oddanie mu należnych zasług z myślą o lokalnej społeczności. Te skromne ambicje nie wykraczały poza potrzeby upamiętnienia jednej, choć niezwykłej osoby.

Po przełomie, i po ustrojowej transformacji, można już było powrócić do pracy literackiej, która stała się przeznaczeniem Wojciecha Pestki. Dzięki wcześniejszym pisarskim pasjom mógł je rozwijać i rozszerzać. Pomogła mu w tym rodzinna opowieść o jego przodkach, sięgająca w odległe dzieje rodu Pestków i Szegdów; przywiodły go na trop wygnańców i przesiedleńców, rozbudziły w nim namiętność do badania ich losów. W pierwszym rzędzie, Józefa Gackiego – którego zaniedbaną mogiłę odkrył na cmentarzu graniczącym z jego posesją. Pod wpływem tego zdarzenia, postanowił sporządzić zarys biografii z myślą o młodzieży, „żeby spopularyzować życie i zasługi księdza". Motyw „spłacania długów", wobec przeszłości swego środowiska, był zaczynem wnikania w cudze losy, najpierw najbliższych, własnego teścia, a wkrótce potem – wspomnianego przed chwilą księdza Romana Kotlarza. Na kanwie jego dramatycznych losów opisanych w tomie *Powiedzcie swoim,* Wojciech Pestka, stworzył scenariusz filmu „Klecha". Zgłębiając przyczyny męczeńskiej śmierci księdza, został zmuszony poczynić dogłębne studium „wydarzeń radomskich" z roku 1976, i w ten sposób odkryć ich społeczne i polityczne podglebie. Zderzyć się z przemocą uzurpatorskiej władzy udającej „ludową demokrację", której narzędziem była „służba bezpieczeństwa". Strajk robotników w Radomiu został krwawo stłumiony. „Wichrzyciele", nieposłuszni i zdeterminowani do walki o swoje obywatelskie prawa, zostali skazani na wykluczenie spośród typowych konformistów. Nieugięty, jedyny sprawiedliwy, ksiądz Roman Kotlarz, uległ metodycznym prześladowaniom: doprowadzony

Fotos z filmu *Klecha*, aktorzy Mirosław Baka i Janusz Chabior, z tyłu Wojciech Pestka

do okrutnej śmierci z rąk „nieznanych sprawców". Jako naoczny świadek samotnej walki o uczciwość i sprawiedliwość, Wojciech Pestka, postanowił „spłacić mu dług wdzięczności" poprzez rekonstrukcję zmagań samotnej jednostki z opresyjną władzą, dzięki czemu powstał filmowy obraz radomskiego czerwca. Film na podstawie scenariusza *Klechy*, z udziałem wybitnych aktorów, na czele z Piotrem Fronczewskim i Mieczysławem Baką, Arturem Żmijewskim nawet po paru dekadach nie doczekał się kolaudacji. Najwidoczniej mechanizm buntu i strajku „awangardy klasowej", był głęboko zakamuflowany, zakorzeniony w komunistycznym aparacie partyjnym. Skorumpowanym i wszechwładnym. Umysłowa korupcja dotknęła również niektórych duchownych. Postać „Mistrza" wzorowana na zbiorczym modelu „ubeka", odgrywana przez Fronczewskiego, niosła w sobie dramat walki Dobra ze Złem. Film *Klecha* nie mieści się w uproszczonym schemacie, pewnie dlatego znalazł się wśród „półkowników", nie dopuszczonych do upowszechniania. Może właśnie z tego powodu dzieło Pestki uzyskało status wybitności. Jego twórca, oparł się bowiem kliszom i stereotypom. W istocie, obaj protagoniści „dobry duchowny" i niegodziwy „zły ubek" objawili się jako uwikłani w ten sam węzeł ambiwalencji. Przyjrzyjmy się bliżej owemu splotowi: ksiądz Kotlarz reprezentuje siły dobra, zaangażowany w pomoc pokrzywdzonym, natomiast „Mistrzo" stoi po stronie instytucji służb bezpieczeństwa, jest „sługą sił diabelskich" i ich rzecznikiem. Na najwyższą uwagę zasługuje jednak „trzecia siła" – wysoki rangą duchowny, którego ambicją jest zostanie biskupem. To właśnie on uosabia potęgę konformizmu i oportunizmu. Fabuła filmu *Klecha* nie mogła się spodobać polskiej instytucji kościoła katolickiego, gdyż podważała ideał dobrego imienia. Intelektualna uczciwość Wojciecha Pestki nakazywała mu rozważyć wszystkie strony dramatu, oddać im cząstkowe racje. Spojrzeć na nie z lotu ptaka, przyjrzeć się ich zawęźlonemu splotowi, zawieszając przy tym własny osąd. Na tym zasadza się autentyczny obiektywizm, podziwiany w monografii Wojciecha Kajtocha.

Postać „Mistrza", wykreowana przez Piotra Fronczewskiego, przypomina głównego bohatera powieści Michaiła Bułhakowa – Wolanda. Jak pisze sam autor scenariusza, w jego postaci zawarł syntezę kilku realnych osób, jakie się złożyły na skomplikowaną figurę polskiego Wolanda. W jego monologu wygłoszonym przez rozmówcę, dał wyraz nie tyle nihilizmowi i cynizmowi, ile – niewierze w moralną wyższość tak zwanych duchownych, „moralnych ekspertów".

W moich oczach „Mistrzo" kompromituje zarówno naiwną ufność, jak również zwykły oportunizm części polskiego kleru. Jedyną wartością dla prowincjonalnego Wolanda jawi się skuteczność i pragmatyzm, a nie bynajmniej podłość i okrucieństwo pomniejszych biesów. Według Fiodora Dostojewskiego, to nie potężny Szatan, ale właśnie legion biesów wyrządza zło banalne, zdiagnozowane przez Hannah Arendt.

Cały prawie dorobek twórczy – powieściowy, reporterski i wspomnieniowy – wszechstronnie ilustruje tę prawidłowość. W tym też upatrywałabym oryginalność twórczości Wojciecha Pestki, w jego wynalazku „perory", która dostrzega i docenia fragmentaryczność i stronniczość każdej oceny cudzych postępków. Jedynie w jego poezji wznosi się ponad przyziemność – w stronę transcendencji. Ale i wtedy, zamiast uwielbić jakiś absolut, „prawdziwą prawdę", wybiera dla siebie tytułowe PRZEJŚCIE. Zatem – ma gdzie wrócić, jakkolwiek jego Itaka także jest ruchoma:

nie podlega żadnym ograniczeniom
logiki
czasu
miejsca
jak bezwład światłości
które były na początku

Istniejemy przeto na przejściu i na przewiewie , gdzie targa nami wicher dziejów, osobistych i zbiorowych.

Na koniec krótkiej prezentacji monografii sporządzonej przez profesora Kajtocha z uwzględnieniem wybranych tekstów i obszernej bibliografii dorobku Pestki, pragnę wyrazić podziw dla obu Wojciechów.

Owa monografia rysuje mapę archipelagu, wysp połączonych wyobraźnią i refleksją Pestki, z centrum w rodzimej Jedlni, a obejmującej cały region Europy Środkowo-Wschodniej, na czele z Ukrainą, ofiarą agresji „imperatora Putina". Przedstawia obraz wytrwałego wędrowca po szlakach przesiedleńców, wygnańców, ofiar przesuwania granic, prześladowań religijnych. Cierpliwie i empatycznie wysłuchującego swoich rozmówców. Ta niesłychana wrażliwość na Innych, przysporzyła mu wielu przyjaciół wśród zwykłych ludzi, jak też – artystów i pisarzy. Czytelnika jego pism najbardziej uderza niekłamana pokora, z jaką wysłuchuje ich zwierzeń i wspomnień.

Gdyby jego życiorys ułożył się po linii prostej, zapewne nie nastąpiłoby dramatyczne „zawrócenie" . Tylko z jego perspektywy mógł dostrzec splot odmiennych interesów, przyczyn konfliktów i ambiwalencji. Aby to ujrzeć, trzeba mieć „wytrenowany wzrok", wyczulony na cierpienia zarówno na „swoich", jak i na „obcych". Właśnie dlatego mógł się poruszać – całkiem dosłownie – śladami obywateli dawnej Rzeczpospolitej. Poznawać ich przodków i nowopoznanych przyjaciół, kolegów po piórze z sąsiednich krajów. W szczególności, w związku z napaścią na Ukrainę, podjął się spisania trzech tomów reportaży z tych wydarzeń. W ten sposób, oprócz literackiej fikcji, zaczął uprawiać specyficzny dokument. Mianowicie, na kanwie osobistych przeżyć bohaterów reportaży, zastosował „perorę". Wojciech Kajtoch, jako teoretyk literatury, poświęcił jej szczególną uwagę. Gdyby przyszło nam zdefiniować osobliwość tego „wynalazku", należałoby podkreślić, iż jego celem było dążenie do obiektywności. Szczególnie jednak rozumianej; „oddawał głos współrozmówcom, samemu najwyżej zarysowując sytuacje rozmowy, dobierając relacje innych osób czy cytując jakiś dokument" (W. Kajtoch s. 11)

Tę postawę Wojciecha Pestki najtrafniej oddaje lapidarny wiersz :

nie jestem zachłanny
kiedy patrzę
i nie odwracam oczu

(*sen–mara*) s. 68

Chowanie głowy w piasek i „nieodwracanie oczu" – oto co czyni fundamentalną różnicę. Autor *Przejścia*, we wszystkich swych pismach zachowuje wierność świadectwom oczu, a już zwłaszcza – „oczom duszy".

Wojciech Kajtoch jako znawca twórczości i bohatera książki jemu poświęconej, odznaczył się identyczną zdolnością – utalentowanym wzrokiem. Wbrew wyznaniu „ nie jestem zachłanny", potrafił pochylić się nad cudzym literackim dorobkiem, spojrzeć nań okiem „czułego narratora".

Nietypowość i uroda książki Wojciecha Kajtocha o Wojciechu Pestce pozwala się zachwycić swoistym braterstwem, pokrewieństwem ich duchowości. Wprawdzie pojęcie duszy uległo degradacji w epoce konsumpcjonizmu i wszechwładnej, korporacyjnej bezduszności, niemniej prześwietla ono ich całą twórczość oraz i cały życiowy, wszechstronny dorobek. Odyseja i Itaka – to jedynie przystanki na drodze do nieskończoności. Niekiedy niektórym udaje się przebyć tę trasę w doborowym towarzystwie osób sobie podobnym.

Wypada powtórzyć za autorem *Bezsenne*

„Jak się mało zrobiło, co by przetrwało i korzyść dało potomnym – do tej myśli codziennie wracam. Zło ochoczo i z fanfarami, nawet z dobrych intencji, samo się dzieje i obraca się w krzywdę (…) Czy moje książki jakąkolwiek po latach będą miały wartość, nie pytam, bo i odpowiedzi nie znam".

Wytrwać w takiej niepewności – to wielka sztuka, wspólna obydwu Wojciechom.

Jadwiga Mizińska

Stefan Kruk

SUMIENIE NARODU

(410. rocznica zgonu Piotra Skargi)

Gdy studiowałem polonistykę na przełomie lat 50. i 60. minionego wieku, humanistyka w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim stała bardzo wysoko. Była to zasługa wybitnych uczonych, ale na ten stan rzeczy wpływała też ta okoliczność, że KUL wolny był od kagańca marksizmu, który dławił badania naukowe i zamulał ideologią dydaktykę na państwowych uczelniach. Z drugiej jednak strony KUL-owcy lękając się szykan unikali tematów, które uznawano za domenę marksistów. Były nimi m.in. badania regionalne oraz publicystyka. Dlatego dociekania analityczne ograniczano do klasycznych rodzajów literackich: liryki, epiki (w tym – prozy narracyjnej), dramatu. Naturalnie nie można było pominąć tekstów przeznaczonych do wygłoszenia; mam tu na myśli homilie – cenne dokumenty polszczyzny minionych wieków. Przeto badano „Kazania świętokrzyskie" (XIII w.) oraz „Kazania gnieźnieńskie" (w. XIV) pod kątem historii języka polskiego.

Ten właśnie gatunek piśmiennictwa rozwijał się dynamicznie, gdyż istniało zapotrzebowanie na twórczość tego rodzaju. W XVI w. pojawili się wybitni kaznodzieje: Hieronim Powodowski, Jacek Mijakowski, Fabian Birkowski. Ale „księciem" homiletyki staropolskiej był ks. Piotr Skarga.

Życie autora „Kazań sejmowych"

Nie miał łatwego startu, bowiem pochodził z ubogiej rodziny mieszczańskiej. Urodził się 2 lutego 1536 r. w Grójcu pod Warszawą. Wcześnie umarli rodzice, małym Piotrusiem zaopiekował się starszy brat i to tak skutecznie, że przyszły autor „Żywotów świętych" ukończył szkołę grójecką, potem Akademię Krakowską. Pierwszym miejscem pracy absolwenta podwawelskiej uczelni była Warszawa, gdzie objął on stanowisko rektora szkoły parafialnej. Teraz znowu dopisało mu szczęście – kasztelan krakowski Jędrzej Tęczyński powierzył Skardze opiekę nad swoim synem, z którym podróżował do Wiednia. Wróciwszy do Polski przyjął święcenia kapłańskie i skierowany został do Lwowa. Tu jako duszpasterz ujawnił

Johann Christian Sander (rytownik), *Pater Petrus Skarga Polonus*, miedzioryt, ok. 1729, zbiory POLONA

talent kaznodziejski. Był to czas Reformacji, a zatem również wzmożonych polemik religijnych. Skarga zapragnął włączyć się w ten wir sporów, oskarżeń, ale także poważnych dociekań teologicznych. Dlatego wstąpił do zakonu oo. jezuitów. Zrazu powrócił do szkolnictwa, kierując placówkami oświatowymi jezuitów w Pułtusku, Jarosławiu, Wilnie. Równocześnie rosła jego sława kaznodziejska. W r. 1578 król Stefan Batory przekształcił wileńską →

uczelnię w Akademię. Piotr Skarga jedenaście lat pełnił funkcję rektora tej placówki naukowej. W Krakowie, dokąd przenieśli go przełożeni, energiczny zakonnik założył Bractwo Miłosierdzia oraz Bank Pobożny. To był półmetek jego działalności. W 1588 r. król Zygmunt III Waza powierzył Skardze stanowisko nadwornego kaznodziei. Te obowiązki pełnił on najpierw na Wawelu, następnie na zamku warszawskim po przeniesieniu stolicy państwa na Mazowsze. W 1611 r. Skarga poprosił monarchę o zwolnienie z tych obowiązków w związku z pogarszającym się stanem zdrowia. Ostatni rok życia spędził w klasztorze krakowskim, gdzie zmarł 27 IX 1612 r. i został pochowany w kościele św. Piotra. Żył 76 lat.

Ignacy Chrzanowski tak scharakteryzował osobowość największego kaznodziei epoki staropolskiej: „Miał Skarga umysł niekoniecznie głęboki, mało filozoficzny, ale trzeźwy, zdolny, umiejący myśleć logicznie i systematycznie, a do tego żądny wiedzy. Był oczytany nie tylko w Piśmie Świętym oraz w literaturze moralno-religijnej, ale i w dziełach historycznych; przytomność umysłu miał ogromną, zdrowy rozsądek i zmysł organizacyjny – wielki. W ogóle był to umysł bardzo praktyczny. A serce płonęło wiarą i miłością".[1]

Równolegle z działalnością duszpasterską Piotr Skarga trudnił się pracą pisarską, a wynikami swoich dociekań dzielił się z czytelnikami. Wielką poczytnością cieszyły się „Żywoty świętych Starego i Nowego Zakonu" (1579), wznawiane do dziś. Naturalnie najwięcej druków dotyczy koronnej dziedziny działalności Skargi, to jest homiletyki, a w tej tematyce rozgłos zyskały „Kazania sejmowe".

Sytuacja polityczna

Rzeczpospolita na przełomie XVI i XVII w. była liczącym się mocarstwem europejskim. Jej ustrój różnił się zasadniczo od większości państw ościennych, bowiem cechowała go daleko posunięta demokracja szlachecka. Województwa posiadały autonomię, a co za tym idzie i własne sejmiki. Posłowie poszczególnych ziem strzegli wolności oraz przywilejów nabytych przez herbowych obywateli. A w sejmie ogólnokrajowym obowiązywała zasada jednomyślności, co szalenie utrudniało prowadzenie skutecznej polityki. Przeto król Zygmunt III pragnął umocnić swoją pozycję poprzez ograniczenie sejmowładztwa, które prowadziło do anarchii.

„Jednomyślność w stosunkach ludzkich niepodobna – pisał Michał Bobrzyński – udaremniała wszelką zmianę na lepsze, ale jeszcze więcej udaremniło ją zaślepienie, że owa nieograniczona wolność jednostki jest ideałem, którym Polska ponad wszystkie narody się wzniosła, że wolnością tą, a zarazem bezrządem ona najsilniej i niewzruszenie stoi. (…) Złota wolność była przede wszystkim wolnością szlachecką, a więc przywilejem jednego stanu, który pociągnął za sobą poniżenie miast i niewolę wiejskiego ludu (…) Złota wolność zrodziła więc oligarchię"[2], która nie akceptowała poczynań władzy dopatrując się w nich ukrytych zapędów absolutystycznych. Ten stan rzeczy budził niepokój umysłów przewidujących możliwy bieg wydarzeń w kierunku osłabienia państwa, a nawet jego zagłady. Taki finał dostrzegał Piotr Skarga, a swoje refleksje zawarł w „Kazaniach sejmowych" (1597).

„Kazania sejmowe"

Kaznodzieja wygłaszał je podczas Mszy św. inaugurującej sesję prac Sejmu oraz Senatu Rzeczypospolitej w obecności króla, jego dworu oraz senatorów i posłów, przeto słowa mówcy nabierały szczególnego znaczenia. Skarga poruszał fundamentalne kwestie dla prawidłowego funkcjonowania państwa. Podkreślał odpowiedzialność polityków wobec Boga oraz wyborców.

„Kazania sejmowe", ogłoszone drukiem po piętnastu latach działalności Skargi na forum polskiego parlamentu, adresowane były do całego narodu i wszystkich obywateli rozległego państwa. Autor ujął swe wystąpienia sejmowe w ośmiu rozdziałach, w których podejmował kluczowe zagadnienia, z jakimi borykała się władza monarsza.

Pierwsze kazanie traktuje „O mądrości potrzebnej do rady". Otóż ci, którzy sprawują władzę w Rzeczypospolitej, winni być ludźmi prawymi, przestrzegającymi zasad moralnych. Prawdziwa mądrość wyklucza działalność występną, gdyż pozbawiona troski o dobro ogółu służyłaby prywacie.

Drugie kazanie „O miłości ku ojczyźnie" poświęcone jest właśnie tej pladze społecznej. Ignacy Chrzanowski w cytowanym dziele uznał to kazanie Skargi za „koronę całej naszej literaturze patriotycznej XVI w." (dz. cyt., s. 267–268). Kaznodzieja królewski piętnuje „domowe łakomstwo" magnatów, dla których sława i potęga rodu jest ważniejsza od pomyślności Rzeczypospolitej.

W tym miejscu trzeba wspomnieć o poczynaniach magnatów, którzy wystąpili zbrojnie przeciw wojskom królewskim. Mam tu na myśli rokosz Mikołaja Zebrzydowskiego (rok 1606), który pełnił obowiązki marszałka wielkiego koronnego oraz wojewody krakowskiego. Pretekstem do tej akcji było podejrzewanie Zygmunta III o zapędy absolutystyczne. Polskiemu władcy zarzucano ponadto zbytnią uległość wobec zakonu jezuitów, pragnących rozszerzenia zasięgu działalności kościoła

1 Ignacy Chrzanowski, *Historia literatury niepodległej Polski (965–1795)*, PIW, Warszawa 1973, s.257-258.

2 Michał Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, PIW, Warszawa 1987, s.361–363.

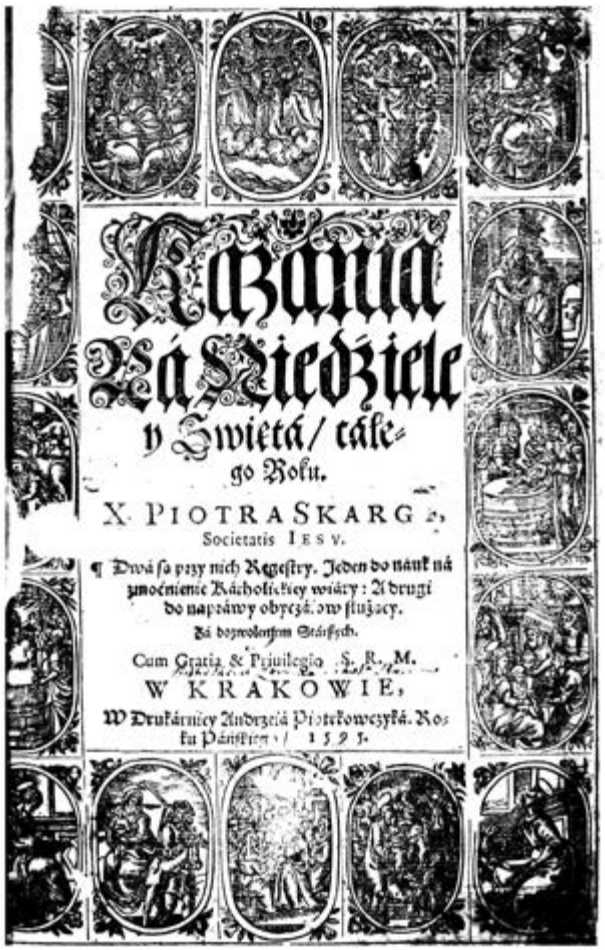
Kazania
Ná Niedźiele
y Swiętá / cáłe-
go Roku.
X. PIOTRA SKARG
Societatis IESV.
¶ Dwá są przy nich Regestry. Jeden do náuk ná
zmocnienie Kátholickiey wiáry: A drugi
do naprawy obyczáiow służący.
Zá dozwoleniem Stárszych.
Cum Gratia & Priuilegio S. R. M.
W KRAKOWIE,
W Drukárnicy Andrzeiá Piotrkowczyká. Ro-
ku Páńskiego / 1595.

katolickiego na teren ziem ruskich, znajdujących się we władaniu Moskwy. A to wiązało się z nieuchronnym konfliktem z tym państwem. Nie wiemy, czy Piotr Skarga podzielał ambitne plany przełożonych; w „Kazaniach sejmowych" nie ma o tym mowy. Oponenci króla – poza Zebrzydowskim Janusz Radziwiłł, Stanisław Stadnicki, Jan Herburt – stanowczo sprzeciwiali się polityce Zygmunta III Wazy, zwłaszcza aliansowi z Austrią. Zbrojną rebelię rozgromił hetman Stanisław Żółkiewski, ale to zwycięstwo nie usunęło rozgoryczenia szlachty sprzeciwiającej się dążeniom króla do ograniczenia „złotej wolności". A na te sprawy nakładał się konflikt ze Szwecją, którego źródłem były roszczenia Zygmunta III do korony szwedzkiej z zamiarem połączenia pod jednym berłem obydwu państw nadbałtyckich. Ten plan był nierealny, gdyż naród szwedzki przyjął luteranizm i wszelka myśl o zbliżeniu Sztokholmu z Rzymem była mu obca.

W takich realiach działał kaznodzieja królewski Piotr Skarga. Nie wypowiadał się na tematy polityki bieżącej, jednak zatroskany o los Rzeczypospolitej piętnował te zjawiska, które osłabiały państwo i w konsekwencji prowadziły do utraty niepodległości.

Kazania czwarte i piąte dotyczą problemu Reformacji – palącego w owym czasie. Dziś – w epoce ekumenizmu – rodzącego pewne nadzieje.

Trzy ostatnie wystąpienia sejmowe Skargi podejmowały tematy ustrojowe, a konkretnie: monarchii, systemu prawodawstwa, wreszcie moralności w życiu publicznym.

W kazaniu szóstym „O monarchijej i królestwie" Skarga postulował wzmocnienie władzy króla, który zobowiązany jest po przestrzegania praw stanowionych przez Sejm i Senat, ale nie może być krępowany przez organy przedstawicielskie w podejmowaniu decyzji czy to w zakresie krajowym czy też międzynarodowym.

Kazanie siódme traktuje „O prawach niesprawiedliwych". Szczególne miejsce w tym wystąpieniu zajmuje kwestia chłopska. Skarga domaga się pozbawienia panów prawa sądzenia i, jakże często – krzywdzenia poddanych. Wieśniacy winni cieszyć się wolnością osobistą: „Czemu ich nie jako niewolników, ale najemników używać nie mamy"? – pytał natchniony kaznodzieja.

Kazanie ósme „O niekarności grzechów jawnych" zajmuje szczególne miejsce w „Kazaniach sejmowych". Ignacy Chrzanowski domniemywał, że Jan Matejko malując obraz ukazujący Skargę przemawiającego do posłów i senatorów znalazł natchnienie właśnie w tym kazaniu.

A jakież są owe „grzechy jawne, a bezkarne"? Brak poszanowania prawa, wyzysk poddanych, lichwa i „złe nabywanie majętności", zbytki, kradzież publicznego mienia. „Mówicie: «Nierządem Polska stoi». Lecz gdy się niespodziejecie, upadnie i was potłucze! (…) Tak się popsuje i wniwecz obróci i w dym a w perzynę pójdzie chwała wasza i wszystkie dostatki i majętności wasze!"

Skarga pragnął, by te prorocze słowa nigdy się nie spełniły. Kreślił obrazy zagłady inspirowane księgami biblijnymi: Izajasza, Jeremiasza i Ezechiela ufając, że zasadność oraz groza tych analogii odniosą pożądany skutek. Wiemy, że tak się nie stało – natchnionych słów kaznodziei nie chciano słuchać. Jednak ogłoszenie drukiem „Kazań sejmowych" pozwoliło sięgać do nich przedstawicielom następnych pokoleń, przynajmniej tych rodaków, dla których miłość Ojczyzny nie jest pustym frazesem. W tym więc sensie wysiłek wielkiego patrioty, jakim był jezuita Piotr Skarga, nie został zmarnowany.

STEFAN KRUK

BIBLIOGRAFIA:

1. Michał Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, PIW, Warszawa 1987.
2. Ignacy Chrzanowski, *Historia literatury niepodległej Polski (965-1795)*, PIW, Warszawa 1974.
3. Feliks Koneczny, *Święci w dziejach narodu polskiego*, Michalineum, Warszawa/Struga, 1988.
4. Ks. Jerzy Mirewicz, *Słudzy Europy*, Londyn 1985.
5. Karol Górski, *Zarys dziejów duchowości w Polsce*, Znak, Kraków 1986.

Zygmunt Zieliński

Wyjście z Unii czy jej upadek?

Straszak czy perspektywa?

Coraz częściej na portalu Niepoprawni.pl – i nie tylko tam – pojawiają się teksty poruszające temat Unii Europejskiej, ściśle mówiąc jej – jak by to nazwać – może nie końca, rozsypywania się, ale konieczności gruntownej przemiany, co będzie równało się stworzeniu w jej miejsce jakiejś wspólnoty, która nie będzie ewoluowała w kierunku niszczenia wartości fundamentalnych, na których dotąd stała i do dziś, choć niepewnie, stoi Europa. Jeśli tak jest, to dlatego, że lewactwo i libertynizm w wielu krajach puściły zbyt głębokie korzenie. Unia idzie w tym kierunku, coraz bardziej usiłując zagarnąć sobie kluczowe dziedziny, wyjmując je spod kompetencji państw członkowskich. Prawdę mówiąc, nie wiadomo jak to ma służyć administracji UE? Przykład ewidentny i wprost kłujący w oczy, to projekt podporządkowania lasów państwowych jurysdykcji unijnej. Wiemy dobrze jaką rolę pełnią lasy w gospodarce krajowej. Wiemy również, że ochrona ich nie leży bynajmniej w gestii Brukseli, ale jest troską miejscowych władz i specjalistów. Trudno nawet sobie wyobrazić skutki dla obszarów zielonych mogące wyniknąć z poddania ich pod kuratelę biurokratów, którzy aż nadto pokazują, jak bezmyślne decyzje spoza biurka, wyrządzają szkody. Podobnie ma się rzecz z rolnictwem, które zawsze wymaga uwzględnienia miejscowych warunków i nie może być poddane decyzjom ich nie uwzględniającym

To rzucające się w oczy przykłady, ale ingerencji w funkcjonowanie Polski jako kraju członkowskiego UE jest co niemiara i samo ich wyliczenie zabrałoby więcej miejsca niż może pomieścić nawet obszerny artykuł. Weźmy choćby sądownictwo przeciwko którego uzdrowieniu natęża swe wysiłki biurokracja unijna, która liczy na sukces jedynie w nadziei, że z wyborów jako zwycięska wyjdzie totalna opozycja. Taka dekompozycja państwa na rzecz, chwilowo może bezimiennej, państwowości europejskiej, w praktyce zepchnie Polskę, a także inne kraje UE, do pozycji jakiegoś samorządu lokalnego, ukształtowanego na zasadzie ideologicznego ujednolicenia – jak hitlerowska *Gleichschaltung*. Temu celowi służy narzucanie środkami totalitarnymi ideologii bazującej na manipulacji człowiekiem, jego najbardziej intymnymi sferami, płcią, osobowością, instytucjami takimi jak małżeństwo, rodzina. Jest to także dawanie preferencji wszelkim zachowaniom sprzeciwiającym się jakiejkolwiek normie. Bo normę ustala każdy dla siebie. Jest to hołdowanie zasadzie *laissez faire* w wymiarze dotąd nieznanym. Obowiązuje też zasada kija i marchewki. Tylko posłuszny dostanie kasę.

Towarzyszy temu despotyzm wobec tych środowisk, które chcą te rzeczy nazwać po imieniu i podtrzymać styl życia zakłócony przez kierunek, jaki wychowaniu i zasadom moralnym w życia publicznym, a nawet częściowo indywidualnym usiłują nadać takie idee jak lesbohomoseksualizm, czy gender. Nawet najgłupsze idee, jak np. multiplikacja płci i dowolny jej wybór wbrew temu, czym obdarzyło człowieka urodzenie, znajdują tu zastosowanie na zasadzie im gorzej, tym lepiej.

Przeróbka człowieka, czemu ma służyć manipulacja od żłobka począwszy, ma jednak mieć wymiar totalny. Próbuje się dać jej podbudowę intelektualną, co przy wręcz wariackich pomysłach też musi mieć postać nacisku autorytarnego. Wypracować mają to uczelnie. Przygotowaniem ich do takich zadań mają być „reformy", a raczej deformacje szkół wyższych, którym trudne do wyleczenia ciosy zadały „reformy" Kudryckiej i Gowina. Dziś o schorzeniach tych dziedzin mówi się coraz więcej. Nie brak też takich głosów na Niepoprawni.pl, ale naprawa tego, co przez lata owej „reformy" zepsuto to zadania nie na lata, a na pokolenia. Póki co, kryzys wyższych uczelni pogłębia się, jak zwykle, dzięki małym ludziom, którzy z powodzeniem sięgają po stanowiska wskutek deformacji, jakiej poddano samą ideę tych szkół. Uniwersytet stał zawsze profesorem, od średniowiecza, nawet poprzez totalitaryzmy nasze, europejskie i inne. Profesor był tym mistrzem, wokół którego wyrastała katedra, gromadzili się uczniowie chcący się czegoś od profesora nauczyć. Nie było obojętne u kogo studiowałeś. Dziś, już sama przebudowa strukturalna i administracyjna stawia owego „mistrza" w najlepszym razie w pozycji *primus inter pares*, o ile to słowo *primus* brać w ogóle poważnie. Nic dziwnego, że zręczne nicości noszące płaszcz na dwóch ramionach, jak ongiś volksdocenci, wietrzą pismo nosem i najgłośniej pomstują na takich, którzy ośmielają się bronić swego zdania, oczywiście różnego od współczesnych

wybroczyn wyrosłych do rangi nie kwestionowanego dogmatu ideologii wyżej nazwanych. Ściganie nie chcących uznać tych błazeństw ma miejsce bardziej, niż ongiś tępienie przeciwników marksizmu-leninizmu. W dodatku wtedy i teraz dzieje się to rzekomo w interesie obrony wolności człowieka.

Połączmy te dwa zjawiska: gaszenie w Unii Europejskiej wartości prawdziwie europejskich, na których zresztą oparta była konstrukcja UE u jej początków i do złudzenia przypominające czasy bolszewizmu i nazizmu ściganie „nieprawowiernie" myślących na uczelniach i mamy klasyczny model totalitaryzmu sięgający do sumienia i umysłu ludzkiego. Taka ma być Unia Europejska przebudowywana na takich, jakie się dziś lansuje, zasadach.

W trosce, rzekomo o człowieka, nie konkretyzując przy tym kto za takowego jest uznany, władze dążą do zapewnienia komfortu dokonującym aborcji, ustanawiają tzw. strefy buforowe, tzn. teren wolny od propagandy antyaborcyjnej (ostatnio w Wielkiej Brytanii). Tu wyraźnie chodzi o ochronę osób dokonujących aborcji, a tym samym daje się do zrozumienia, że dzieci zabijane nie są osobami, albo nie są objęte ochroną należną osobie ludzkiej. Podobne „działania na rzecz osoby ludzkiej" wyraźnie kategoryzują społeczność ludzką i to wcale nie pod kątem jej ochrony, ale wydzielając pewne osoby, czy grupy, zasługujące na interwencję, nawet jeśli działa ona w interesie pewnej ideologii, a nie człowieka, gdyż aborcja z pewnością takiej opieki nienarodzonym nie zapewnia, a jedynie daje swobodę tym, którzy działają na ich szkodę.

W dziedzinie podlegającej zasadom moralnym, jakie by one nie były, takie prawa, rzekomo chroniące człowieka, pojawiają się także w Unii Europejskiej i rzecz tylko w tym, by nadać im obowiązywanie pod sankcją karną. Po to jest potrzebna przebudowa UE nie mająca nic wspólnego z zasadami, na których Unia została zbudowana. Ich zwornikiem były prawa człowieka, ale rozumiane w sensie pozytywnym a nie w znaczeniu więzów nakładanych przez każdorazowo dzierżących władzę. Odnosi się to nie tylko do sfery moralnej, ale do każdej dziedziny, nie wyłączając gospodarki i urządzeń społecznych, jak długo nie wykraczają one poza granice prawa obowiązującego w danym państwie. Bo Unia jest związkiem państw nie *in statu fieri*, ale realnie istniejących, mających swoją historię, tradycję i doświadczenie. Władze centralne Unii mają obowiązek wspierać wszystko, co w tych państwach służy ich dobru, a nie niszczyć tego, co zdało egzamin, tylko dlatego, by uzyskać owo *Gleichschaltung*, tak źle i tragicznie kojarzone.

Obecnie daje znać o sobie znana z historii, nawet najnowszej, pycha rozpierająca polityków, często bez pokrycia, bo ich organizmy państwowe, może legitymujące się większym niż inne dostatkiem, nie mają jednak dodatnich zapisów w najnowszej historii. Strach nawet pomyśleć, że mógłby się powtórzyć w obecnych warunkach rok 1938–1939, ale wykluczanie takiej ewentualności byłoby nad wyraz lekkomyślne. Pamiętamy infantylny entuzjazm Chamberlaina wymachującego świstkiem rzekomego pokoju, pamiętamy gwarancje dane Polsce przez Francję i Wielką Brytanię, co nie tylko Polsce nie pomogło, ale ściągnęło na nią pierwsze uderzenie Hitlera. Pamiętamy potraktowanie przez aliantów Polski w finale wojny, kiedy sprzedano nas Stalinowi i to z nim, a nie z Polską weszli alianci w komitywę. Polska, której kiedyś dawali gwarancje, była nagle w niełasce, bo jej rząd na Wychodźstwie przeszkadzał w chwilowej obłapce z bolszewikami, a żołnierze, którzy krew przelewali nie o Polskę ale o sprawę tychże aliantów, potraktowani zostali jako uciążliwi goście. W tym samym czasie Francja miała na swej hipotece klęskę 1940 roku, zawieszenie broni z Hitlerem, Vichy, będące państwem powstałym w konsekwencji ustawy Zgromadzenia Narodowego III Republiki o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla premiera Francji, marszałka Francji Philippe'a Pétaina po klęsce Francji w kampanii 1940 roku, jako kontynuacja III Republiki i uznana przez większość społeczności międzynarodowej, z wyjątkiem Wielkiej Brytanii. Tymczasem taka Francja w minimalnym stopniu uczestnicząca w pokonaniu III Rzeszy, w przeciwieństwie do Polski walczącej na kilku frontach II wojny światowej, uznana została za równoprawnego alianta i uczestniczyła w triumfie zwycięzców.

Niemcom zapewniono po wojnie szybki powrót do grona decydentów o losach Europy i dziś na równi z Francją zgłaszają one pretensję do urządzania jej na swoją modłę, zatem w nurcie polityki, jaką uprawiały Prusy po wojnach napoleońskich aż do klęski militarnej III Rzeszy. Wypadkiem przy pracy można nazwać zarówno imperializm rosyjski jeszcze bardziej rozwinięty przez bolszewików, jak i równy jemu imperializm niemiecki przez Hitlera doprowadzony do absurdu. Ich zderzenie trzeba uznać za dzieło Opatrzności. Ale w obecnej chwili idea ich współdziałania, chwilowo może tylko na gruncie europejskim, odżywa i Europa musi sobie z tego zdać sprawę, o ile nie chce być wielkim kołchozem z tą różnicą, że sprawniej zarządzanym przez Niemców, aniżeli byłe kołchozy sowieckie.

Dla nas jednak jest to obojętne, gdyż będziemy na najniższym szczeblu tej hierarchii kołchozowej. Co gorsza z własnej woli, a nawet inicjatywy, pozwolimy się zaprząc do tego kieratu, jak o tym już dziś świadczą umizgi lewackich europosłów *de nomine* z Polski, bezkrytycznie oklaskujących wszystko, co zwiastuje nadejście tej *deutsche Wirtschaft*. Bo Francję stać będzie jedynie na zadowolenie się jakimś zmodyfikowanym kąskiem pod kuratelą IV Rzeszy, takiego Vichy. Oto, co w latach 30-tych XX wieku pisał obserwator stosunków panujących we Francji: „Czy ta ojczyzna →

indywidualizmu wytwórczego zdoła ostać się wobec niwelującego zalewu produkcji masowej i seryjnej krajów innych? Jakie będą w ogóle losy tego kraju, który niewątpliwie przodował ludzkości od tysiąclecia i, który toczony rakiem zaniku rozrodczości i sklerozą pacyfizmu *à outrance* doczekał się tak straszliwego poniżenia i upadku? Czy zdoła on wchłonąć w siebie i zasymilować krew ludności napływowej?… Wydaje się jednak niewątpliwe, że kraj ten zejdzie do roli drugo- czy nawet trzeciorzędnej potęgi politycznej…" (August Iwański, junior, *Wspomnienia 1881–1939* PIW 1968, s. 455).

Ta ze wszech miar trafna ocena warta jest dzisiaj pilnej uwagi i analizy, bo właśnie taka Francja będzie kibicować przebudowie obecnej Europy w kolonię niemiecką.

Trudno z góry wyrokować o stopniu zaniku suwerenności w Europie pounijej, bo będzie obowiązywała zasada *divide et impera*. Pewne wydaje się być tylko to, że tam, gdzie poczucie tej suwerenności jest największe, tam też naciski na jej ograniczenie będą większe. Można to porównać do czasów okupacji niemieckiej, kiedy tylko w Polsce za pomoc Żydowi groziła śmierć. Gdzie indziej nie było to konieczne, gdyż takiej jak w Polsce potrzeby wspomagania Żydów nigdzie nie było.

Bez ryzyka błędu można twierdzić, że Unia Europejska w dzisiejszym kształcie się nie ostoi. Kiedy ona się rodziła nikt nie wiedział co to gender, nieznane było takie pojęcie jak LGBT, do wariatkowa trafiłby każdy, kto by twierdził, że jest więcej płci niż dwie, że jest płeć do wyboru. Dziś na tych mniej lub bardziej absurdalnych ideach, narzucanych na kształt dogmatu, spoczywa całe rusztowanie naszej rzeczywistości. Oczywiście wpływa to na kształt moralny i antropologiczny Europy. Wszystko zależy, czy ta choroba opanuje większość gremiów decyzyjnych. Jeśli to nastąpi, to każdy, kto chce żyć zgodnie z tym co natura mu nieusuwalnie wszczepiła musi uciekać. Alternatywą jest tylko przystosowanie się. Na dłuższą metę jest to jednak niemożliwe, jeśli chce się zachować własną tożsamość i tożsamość własnego gniazda, zatem narodu z wszystkimi jego przymiotami.

Czy myślimy poważnie o polexicie? Obawiam się, że w gruncie rzeczy tego sobie nie wyobrażamy, dlatego jest to zawsze teoretyzowanie z powątpiewaniem w realność takiej sytuacji. Dlatego nawet ci, którzy piszą o wyjściu Polski z Unii jako o czymś nieuchronnym nie sięgają wyobraźnią w czas po *exicie*. Czy jednak ten straszak, jakim wydaje się być to pojęcie, nie przyjmie postaci rozwiązania koniecznego? Na to pytanie odpowie przyszłość, może najbliższa. I może pojawić się problem aż nadto realistyczny i zarazem kłopotliwy. Może nawet analogiczny to tego, przed jakim nasi dziadkowie stanęli na progu II Rzeczypospolitej, kiedy trzeba było zaczynać wszystko od początku?

Zygmunt Zieliński

piosenka wietrzna wielkanocna

snajperzy
strzelają do ptaków
nie będą powracające
natrętnie powracające
pocieszenia przynosić
wędrującym do świątyń niewiernym
kleci życzenia na Wielki Dzień
niemy buchalter mały
cały w gwiazdkach gwiazdeczkach

a te ptaki jednak
poniżej macek radarów
przybyły wbrew prawom fizyki
i wyżej wspomnianego pułkownika
przywiał je wiatr
i już na kominach cudem ocalałych
z mozołem łatają rozstrzelane gniazda

nie ma już ludzi we wsi
jest cisza
ach tak
pozostało jeszcze trochę wiatru
i gwiazdek
porzuconych w strachu

23 kwietnia 2022 roku, wschodnia Wielka Sobota,
z serii wojennej, która rośnie i rośnie

Krzysztof Sawicki

dron wojownik

ptaki widziały
one nie kłamią
ich nielotni bracia ziemscy
muszą ścieżki prostować
mogił przybywa
na zatłoczonych cmentarzach

Warszawa, 17 kwietnia 2022 roku,
I dzień Wielkiej Nocy
z serii wojennej, która rośnie i rośnie

karnawał

tańczyli jak nigdy
to taka atrakcja
kościsty Don Kichot
wibrująca Dulcynea
wiedzieli o tym

widzieli
pożądliwe zerkanie sąsiadki
plociary z parteru
księdza i kupców gruzińskich
konkretnie
ajentów warzywniaka za rogiem

Dulcynea miała swój dzień
najmłodsza w schronie
choć chroma

a kupcy gruzińscy jak to chłopy
świnie
cedziła sąsiadka plociara
zawsze na zakupy niby
gnały do nich podlotki
oni też by zatańczyli
ale jak
jeden z nich już umarł

Dulcynea to wszystko wiedziała
w zatańczeniu bezwstydna

męczą nas strzelają
gderała sąsiadka plociara
a oni tańczą
zmęczą się i całą wodę wypiją

Dona łapała za nogawki
a Dulcynea przytulała
i przytulała

a nie było muzyki
bo mruczeli jak dzikie koty
skradające się do wojny
wystarczy

mijały tygodnie w schronie

Warszawa, 7 września 2022 roku,
z serii wojennej, która rośnie i rośnie.

piosenka wiosenna

Oli, która tam gdzieś na froncie.

bociany
o!
bociany
nie ma komu
tego powiedzieć
cicho wykrzyczeć
nawet psy milczą
zdziczałe od samotności

a gdyby tak usłyszeć zapach
obłędnie kwitnących kwiatów
ich szelest i pomruki

kwiaty szepcą
że ptaki słyszą zapach
a w szczególności wiosenni
nowi świadkowie zbrodni
bociany
jak zwykle dostojne

kwiaty
ptaki
zapachy
psy
zamiast ludzi
którzy odeszli

Warszawa, 17 maja 2022 roku,
z serii wojennej, która rośnie i rośnie

Wojciech Czarniawski

Aleksandr Konnykh

Kazimierz Dziewiałtowski – syberyjskie losy polskiego szlachcica w XVII stuleciu

Obecność Polaków na Syberii kojarzona jest powszechnie z masowymi deportacjami mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej w XIX wieku. W rzeczywistości pojawili się tam oni znacznie wcześniej. W trakcie nieustannych wojen Polski z Rosją, dostający się do niewoli Polacy trafiali za Ural już pod koniec XVI wieku. Początkowo były to pojedyncze przypadki, ale w XVII wieku zesłanie na Syberię stało się powszechną praktyką władz rosyjskich. Niestety, w polskojęzycznych opracowaniach historycznych niewiele jest prac poświęconych temu aspektowi naszych XVII-wiecznych dziejów[1]. Trudno się dziwić, że szwedzki „potop" i jego tragiczne skutki w dużym stopniu wymazał z powszechnej pamięci dzieje ciężkich walk toczonych w tym czasie na wschodzie. Nie ulega wątpliwości, że osłabienie Rzeczypospolitej przez toczące się od początku XVII wieku wojny kozackie i moskiewskie utorowało drogę najazdowi szwedzkiemu. Jednak o obronie Jasnej Góry wiedzą wszyscy Polacy, o zdobyciu i spaleniu Wilna słyszeli tylko nieliczni.

W niniejszym artykule podjęto próbę opisania biografii pochodzącego z terenów Wielkiego Księstwa Litewskiego szlachcica Kazimierza Dziewiałtowskiego, który dostał się do niewoli w czasie wojny polsko-rosyjskiej w latach 1654–1667 i zesłany został na Wschodnią Syberię. Jego los jest o tyle nietypowy, że w przeciwieństwie do wielu swoich współziomków zdecydował się pozostać w służbie rosyjskiej na Syberii, wnosząc wraz z innymi zesłańcami znaczący wkład do rozwoju cywilizacyjnego tego regionu. Biografia Kazimierza Dziewiałtowskiego została oparta na materiałach archiwalnych z zasobu tzw. Syberyjskiego prikazu[2] w Rosyjskim Państwowym Archiwum Akt Dawnych w Moskwie, zawierającego unikatowe dane dotyczące polskich jeńców z wojny 1654–1667 r.

Przodkowie Kazimierza – Dziewałtowscy (vel Dziewiałtowscy) h. Trąby wywodzili się od Krystyna Ościka i byli spokrewnieni z magnackim rodem Radziwiłłów. Potomkowie tej rodziny zamieszkującej w XVII–XVIII wieku tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego znani byli również pod nazwiskiem Gintowt-Dziewałtowskich lub Dziewałtowskich-Gintowt (sam Kazimierz konsekwentnie używał formy „Dziewiałtowski"). W czasach I Rzeczypospolitej pojęcie „narodu polskiego" stosowane było jako określenie jej mieszkańców, posiadających pełnię praw politycznych i obywatelskich, a więc wyłącznie szlachty. Definicja ta utożsamiała naród z warstwą uprzywilejowaną całego państwa – bez względu na jej przynależność etniczną. Szlachta zamieszkująca obszary Wielkiego Księstwa Litewskiego, w znacznej części wywodząca się od litewskich bojarów, ale posługująca się w XVII wieku językiem polskim, mówiła o sobie „gente Lithuanus, natione Polonus" (z pochodzenia Litwin, narodowością Polak), a więc uważała się za Polaków nie w sensie etnicznym, lecz kulturowo-stanowym.

Udokumentowana historia bohatera niniejszego artykułu rozpoczyna się w roku 1659, kiedy dostał się on do niewoli pod miastem Równe na Wołyniu. W swojej petycji, sporządzonej kilka lat później, szlachcic wskazuje datę roczną tego wydarzenia – rok 7167[3]: „W zeszłym, Hosudarze, roku 167, Twój sługa dostał się do niewoli w bitwie na Wołyniu koło miasta Równe i ja, Twój sługa, zostałem przywieziony do Moskwy"[4]. Ponieważ walki w tym regionie toczyły się w listopadzie-grudniu 1659 r. (pierwsze miesiące 7168 r.), musimy przyjąć, że w petycji Kazimierza znalazł się błąd, powstały przy przeliczaniu daty „od narodzenia Chrystusa" (Anno Domini), na stosowaną w Rosji chronologię bizantyjską („od Stworzenia Świata").

Materiały historyczne i literatura pozwalają zrekonstruować wydarzenia poprzedzające wzięcie Kazimierza do niewoli. Opis wydarzeń podany przez Dziewiałtowskiego sugeruje, że w czasie wojny służył on w oddziałach Andrzeja Potockiego, rotmistrza wojska powiatowego ziemi halickiej, które po klęsce poniesionej pod

1 Ślęczka T., *Rosja i jej mieszkańcy w oczach polskich jeńców wojennych XVII oraz początków XIX wieku*. Napis Seria XIII 200, s. 109–125.

2 Syberyjski prikaz – organ zarządzający Syberią w XVII – początku XVIII wieku.

3 Do roku 1700 punktem początkowym kalendarza rosyjskiego było „Stworzenie Świata" – 5508 lat przed narodzeniem Chrystusa.

4 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 16.

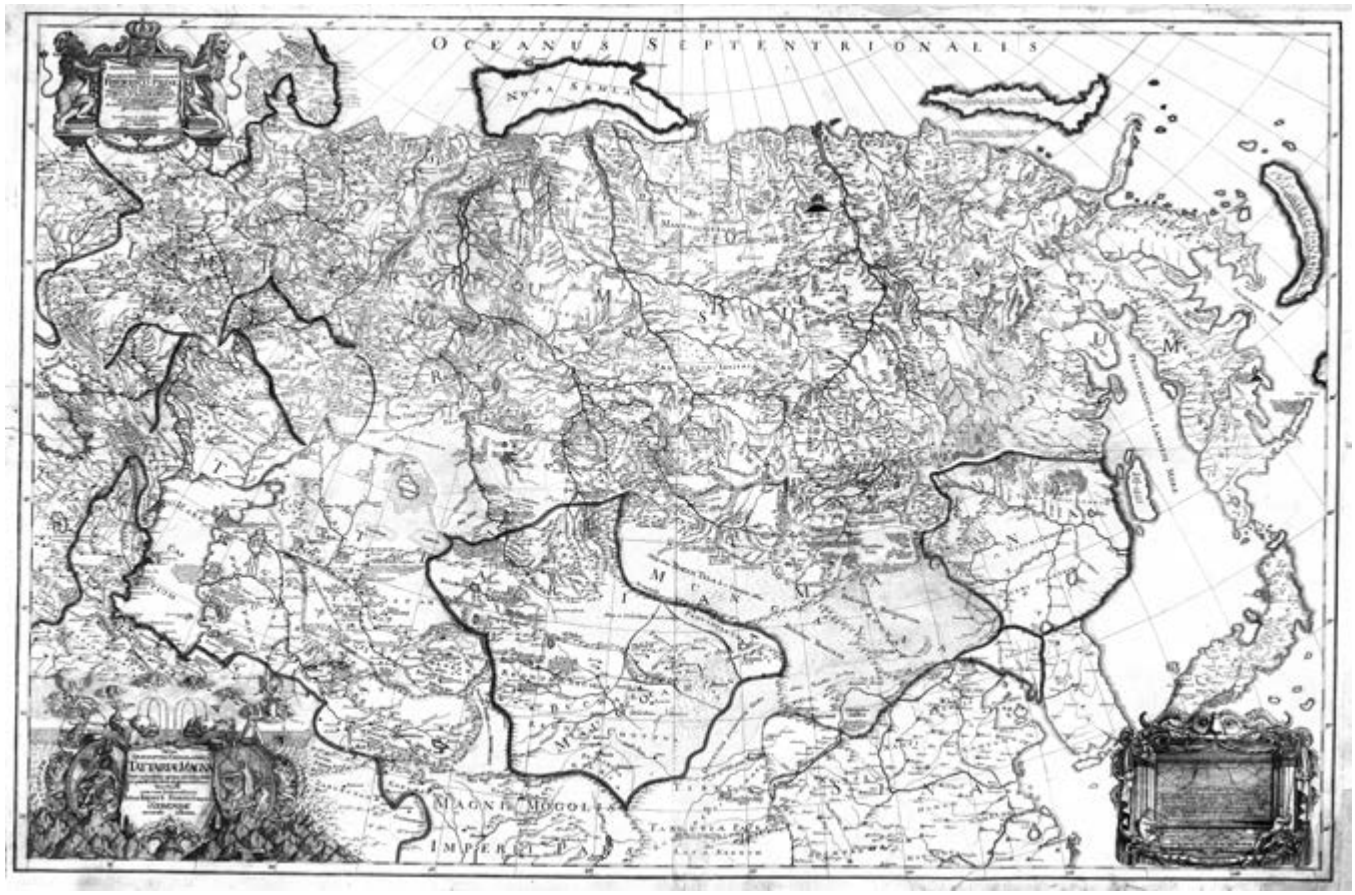

Philipp Johann von Strahlenberg (1676–1747), mapa Syberii

Chmielnikiem (18 listopada 1659 r.) wycofywały się w kierunku na Wołyń. Jazda rosyjska Wasilija Szeremietiewa, ścigając Polaków, spaliła wówczas Chmielnik oraz Starą Sieniawę, Połonne i Korzec (leżący w odległości 65 km od Równego[5]).

Latem 1658 r. rozpoczęło się nieudane oblężenie Kijowa, zakończone klęską armii hetmana Iwana Wyhowskiego. W grudniu oddziały Andrzeja Potockiego ponownie wysłano z Łucka w celu oblężenia Kijowa, które trwało do 16 stycznia. W końcu oblężenie zostało przerwane, a Polacy pokonali armię carską w bitwie pod Konotopem 28 czerwca 1659 roku. W bitwie tej brała udział kawaleria Potockiego. Kolejne wydarzenia doprowadziły do obalenia rządów Wyhowskiego i wyboru Jerzego Chmielnickiego na hetmana zaporoskiego (15 września). Obalony hetman znalazł schronienie w oddziałach Andrzeja Potockiego, wycofujących się do Polski. Dnia 18 listopada 1659 roku zostały one jednak pokonane przez wojska carskie pod Chmielnikiem[6].

Podczas co najmniej rocznej służby w oddziałach Potockiego, pochodzący z rodziny o tradycjach wojskowych Kazimierz Dziewiałtowski zdobył w polu doświadczenie praktyczne i prawdopodobnie dowodził niewielkim oddziałem jazdy. Te umiejętności przydały się później na Syberii.

O życiu szlachcica przed dostaniem się do niewoli wiadomo niewiele, głównie są to informacje pośrednie. Urodził się prawdopodobnie w latach 30. XVII wieku. Wiemy, że jego ojciec nosił imię Andrzej. Petycję do cara Dziewiałtowski podpisał w języku rosyjskim, ale literami łacińskimi. Zapewne, jako katolik wywodzący się ze stanu szlacheckiego, uczył się w jednym z licznych kolegiów jezuickich. Zresztą sam Kazimierz wspomina o swojej umiejętności czytania i pisania w jednym z dokumentów[7]. Należy sądzić, że rosyjski jeniec wywodził się z mało – lub co najwyżej średniozamożnej gałęzi Gintowt-Dziew(i)ałtowskich. Mimo, że w tym okresie rodzina posiadała dość znaczne majętności na obszarze Wielkiego Księstwa Litewskiego, a jej znaczący przedstawiciele piastowali szereg urzędów ziemskich, fakt pochwycenia i zesłania Kazimierza nie wywołał żadnego odzewu w szlacheckiej społeczności, nie mówiąc o podjęciu prób wykupienia jeńca z niewoli. Po schwytaniu szlachcic przebywał jakiś czas w Kijowie, a następnie został wysłany do stolicy państwa rosyjskiego. Na początku lipca

5 Kurbatov O., *Russko-polskaya woyna 1654–1667 gg.* Moskva, Runivers, 2019, s. 142.

6 Kurbatov O., *Russko-polskaya woyna 1654–1667 gg.*, s. 115, 127, 133.

7 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 23.

1660 roku Dziewiałtowski wraz z 57 jeńcami przybył do Moskwy z Kijowa, wysłany przez wojewodę Wasilija Borysowicza Szeremietiewa[8]. Jak wyglądał przyjazd do Moskwy i jaki los czekał Polaków?

Pewien wgląd w możliwy przebieg wydarzeń dają zapiski innego jeńca, Adama Kamieńskiego, który przebywając na zesłaniu w Jakucji, dokonał pierwszych etnograficznych opisów Syberii w języku polskim. Do stolicy Rosji przybył on w styczniu 1661 roku. „Przyjeżdżając do Moskwy, wyszło kilka przykazów strzeleckich przeciwko nas i rajtaryi kilka pułków. Potkali nas na Drogomiłowej Słobodzie i dali nam po dwie czarki gorzałki i piwa po kubku, a potym po przywitaniu i po tej części, kazano nas pobrać między strzelcy: strzelców dwaj a nasz trzeci, lontami powiązany, szedł między strzelcami. Prowadzono nas mimo carskie pałace po przykazu i te działka i chorągwi trzy i kornetów siedm. Tam nas prezentowano w Przykazie i każdego na imię zapisano. (…). Tameśmy byli dwie niedzieli, a czeladź po innych gmachach posadzono i nie wolno nam się było z nimi widzieć”[9].

Jak już wspomniano, Kazimierz przybył do Moskwy latem 1660 r. W późniejszych petycjach zaznaczał, że przebywał w stolicy około trzech tygodni, a jeńcy byli więzieni w zabudowaniach tzw. „dworu Krymskiego”, który w tym czasie znajdował się w południowo-zachodniej części miasta na prawym brzegu rzeki Moskwy: „i na Moskwie siedziałem, na krymskim podwórku, trzy niedzieli”[10]. W czasie pokoju była to rezydencja ambasadorów Chanatu Krymskiego i Siczy Zaporoskiej, ale w czasie wojny przetrzymywano tu jeńców oczekujących na dalsze decyzje władz.

Polskich jeńców poinformowano, że „Hosudar Car” uwolni ich w ramach wymiany. Tym większe było rozczarowanie, gdy zostali oni skazani na długą i ciężką podróż do nieznanego kraju, co tylko zwiększyło ich nienawiść do wroga. Jak pisze Kamiński: „Myśmy się uradowali i uwierzyli, ale nas to bardzo zdradziło, bo nas wziąwszy, do przykazu Sybirskiego zasadzili, żeśmy i świata nie widzieli przez cały tydzień, aż dopiero rano 17. Februarii kazano nam się gotować jak najprędzej w drogę do Litwy. Myśmy się uradowali; pobrawszy ubóstwo dość szczupłe z sobą, szliśmy na podwody po jednemu, a po czterech strzelców za każdym. Powiedzieli, że na odmianę was wieziemy, poprzykrywali nas rozgożami, a potym przyjechaliśmy do Monastyra Trojeckiego, mil 12 od Moskwy. Tam nas pokowali. (…). Tam było płaczu i narzekania miasto radości i odmiany, aż na wielką nędzę i niewolą”[11].

Opisane przez Kamieńskiego zasady postępowania i obchodzenia się z jeńcami były przyjętym przez rosyjskie władze standardem, należy więc sądzić, że podobne doświadczenia stały się losem Kazimierza Dziewiałtowskiego. Wciągnięty zostaje na listę jeńców jako „Dyoltovsky” (błędna transliteracja dźwięku „dź”, będąca skutkiem nieprzyzwyczajenia „rosyjskiego ucha” do polskiej wymowy) i pod tym nazwiskiem figuruje w dokumentach wyjazdu z Moskwy, przybycia do Tobolska i Jenisejska, a także w zestawieniach sporządzonych już w stolicy Syberii[12].

Dnia 26 lipca 1660 r. wydano ukaz carski o zesłaniu całego oddziału „kijowskiego” do Tobolska, gdzie tamtejszy wojewoda miał rozdzielić wszystkich jeńców między miastami i mniejszymi fortalicjami, tzw. „ostrogami”. W Tobolsku miano pozostawić 6 ludzi, 5 zesłać do Mangazi, 7 do Tomska, 10 do Jenisejska, 5 do Kuźnieckа, 10 do Krasnojarska, 5 „nad rzekę Lenę do Ilimskiego ostrogu” oraz 7 Polaków i 3 Tatarów „nad Lenę do Jakuckiego ostrogu” [13]. Każdy jeniec otrzymał przydział żywności (aby nie umrzeć z głodu); do oddziału przydzielono również wozy. Prawdopodobnie następnego dnia po wydaniu ukazu oddział opuścił stolicę i pod eskortą strzelców wyruszył na Syberię w towarzystwie Siemiona Wichodcewa, „syna bojarskiego” z Tobolska[14].

Dnia 30 grudnia oddział dotarł do Tobolska, a 6 czerwca 1661 roku jeńcy dotarli do celu. Podróż z Moskwy do Jenisejska trwała prawie rok. W ciągu dziesięciu miesięcy Dziewiałtowski pokonał więc ponad siedem tysięcy kilometrów – drogami przez tajgę i rzekami. Po osiągnięciu punktu docelowego Dziewiałtowski został zapisany do służby w lekkozbrojnej formacji „kozaków konnych”, gdzie miał otrzymywać roczne wynagrodzenie w wysokości 6 i pół rubla rocznie, a także dodatek żywnościowy: 37,5 pudów żyta, 25 pudów owsa i 2 pudy soli.

Już w pierwszych latach zesłania Kazimierz zawarł związek małżeński z Anną Maksymową, wdową po Aleksym Oleniowie, zmarłym w 1661/1662 r. „jenisejskim kozackim pentatorze” (dowódcy oddziału wojskowego liczącego 50 kozaków). Małżeństwa z wdowami w siedemnastowiecznej Syberii były częstym zjawiskiem. Po pierwsze, praktycznie nie istniała tu zakorzeniona w europejskiej części Rosji bariera stanowa. Po drugie, żeniąc się z wdową, mąż otrzymywał jako posag duży majątek. Było to skutkiem znacznej przewagi ilościowej mężczyzn

8 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.577, s. 44–47.

9 Kamieński Adam Dłużyk. *Dyaryusz więzienia moskiewskiego miast i miejsc spisany przez Adama Kamieńskiego*. // Warta. *Książka zbiorowa ofiarowana księdzu Franciszkowi Bażyńskiemu proboszczowi przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu na Jubileusz 50-letniego kapłaństwa w dniu 23. kwietnia 1874. od jego przyjaciół i wielbicieli*. W Poznaniu. 1874., s. 378.

10 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 16.

11 Kamieński. *Dyaryusz więzienia moskiewskiego*, s. 378.

12 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.577 S.44, 137, 221, 247.

13 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.577 s.44-47.

14 Syn bojarski – niższy stopień szlachecki w Rosji, istniejący w XVII i XVIII wieku.

Polskie stroje wojskowe, XVII wiek

w pierwszym etapie zasiedlania Syberii – dopiero pod koniec XVII wieku struktura płciowa i wiekowa lokalnej populacji osiągnęła typowe proporcje. W 1663 r. Kazimierz posiadał już w Jenisejsku gospodarstwo domowe ze sługą-czeladnikiem, a także gospodarstwo w sąsiedniej wsi Bolszaja Jelan (odziedziczone, oczywiście jako posag żony, po kozackim pięćdziesiętniku)[15]. Można więc powiedzieć, że żeniąc się i zdobywając majątek, Dziewiałtowski rozpoczął proces adaptacji psychologicznej i międzykulturowej do pierwotnie nieznanego środowiska.

W tym okresie kozacki garnizon z Jenisejska wykonywał różnorodne zadania wzdłuż całego Jeniseju: od Kotliny Minusińskiej na południu do Tajmyru na północy, a niektóre oddziały brały nawet udział w zagospodarowaniu Zabajkala i Jakucji. Źródła jenisejskie nie pozwalają określić konkretnych miejsc służby tzw. „kozaków litewskich", jednak można sądzić, że obszar geograficzny ich działań był dość rozległy. W latach 1662–1663 na liście „konnych kozaków Polaków i Czerkasów" znajdowało się tu 38 osób[16]. Jako ciekawostkę warto dodać, że właśnie w Jenisejsku zimę roku 1662 spędził sławny protopop Awwakum, wracający do Moskwy z zesłania daurskiego.

W 1662 roku do Tobolska wysłano carską „Kartę", zezwalającą wszystkim zesłańcom na „wieczną służbę", pod warunkiem przechrzczenia z „wiary rzymskiej" na prawosławie. Za rozprowadzenie „Karty" po miastach syberyjskich odpowiedzialny miał być wojewoda tobolski. W przypadku odmowy cudzoziemcy mieli udać się do Moskwy na zbliżającą się wymianę jeńców. Dnia 8 sierpnia 1663 roku ukaz został dostarczony do Jenisejska. Dnia 15 sierpnia 38 Polaków i Litwinów wraz z zesłanym pułkownikiem Michałem Krisą złożyło do wojewody jenisejskiego Wasilija Gołochwastowa petycję z odmową przyjęcia chrztu. Ponieważ Kazimierz „w tym czasie przebywał w swojej wiosce, (…) jego bracia podali wojewodzie Wasilijowi Gołochwastowi relację, że nie chcą się przechrzcić na prawosławną wiarę, i jego imię zostało wpisane do tej relacji, a zrobił to za niego cudzoziemiec Piotr

15 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 3, 5.

16 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.1 D.443, s. 62–64.

Kaszyński"[17]. Dokument zawiera wpis: „Kazimier Dziewiałtowski rękę przyłożył".

W rosyjskich dokumentach, które dotyczą jeńców z Rzeczpospolitej, bardzo rzadko wspomina się ich ethnos. Nie prowadzono dokładnego podziału na Polaków, Litwinów, Ukraińców czy Rusinów, wyraźnie wyszczególniano tylko osoby pochodzenia tatarskiego. Analizując źródła pisane można odnieść wrażenie, że dla rosyjskiej administracji ten aspekt był mało istotny. W jednym tylko wpisie Kazimierz określony został jako „polski szlachcic", co oczywiście jest pojęciem dość ogólnikowym. Zdecydowanie ważniejszym wyróżnikiem tożsamości była w świadomości rosyjskich urzędników wyznawana wiara – i tu religia katolicka stawała się atrybutem nierozerwalnie związanym z „polskością". Jako „Polak" mógł być określony zarówno „etniczny" Polak, jak i Litwin, o ile tylko był on wyznawcą religii rzymskokatolickiej. Katolicyzm był zawsze wiodącym elementem kształtowania polskiej tożsamości, dlatego dla większości jeńców wojennych i zesłańców konwersja na prawosławie musiała być szczególnie trudna do zaakceptowania.

Nie dowiemy się nigdy, czy Kaszyński – „towarzysz na wygnaniu" – wpisał Kazimierza na listę protestujących z dobrych pobudek, omyłkowo, czy też było to z jego strony działanie mające przynieść szkodę zesłańcowi. Obecność Dziewiałtowskiego na liście świadczy niezbicie, że szlachcic w 1663 roku nie dokonał jeszcze konwersji na prawosławie. Jednak, jak się wkrótce okazało, zaistniała sytuacja nie była zgodna z jego zamierzeniami, tak więc już w tym okresie musiał on rozważać możliwość pozostania na Syberii i przyjęcie religii prawosławnej. Nie wiadomo, co stało się głównym powodem chęci przyjęcia przez Kazimierza rosyjskiego poddaństwa: zawarte tu małżeństwo i dzieci, perspektywa kariery, dobrobyt, czy wszystkie te okoliczności? „Bowiem w Jenisejskim ostrogu mam za wieczne moje życie żonę, dzieci i czeladź, i wszystkie rzeczy moje, i broń, i konie, i wszelkie bydło w kupionym podwórzu moim"[18]. Nie wiemy, czy w momencie dostania się do niewoli szlachcic posiadał na Litwie jakąkolwiek bliską rodzinę (rodziców lub rodzeństwo) – być może stracił ją wraz z całym majątkiem podczas krwawych wojen pustoszących wschodnie rubieże Rzeczpospolitej.

Dziewiałtowski postanowił złożyć w tej sprawie podanie do wojewody jenisejskiego. Ten w odpowiedzi tymczasowo „nakazał mu służbę w Hosudarsku w ostrogu jenisejskim", lecz jednocześnie postanowił wysłać Kazimierza do Moskwy, aby ten „wygłosił prośbę do Wielkiego Hosudara o swoich potrzebach"[19]. Jak się jednak później okazało, szlachcic musiał przekazać olbrzymią łapówkę (w wysokości 21 rubli i konia wartego rubli 15), aby wojewoda Gołochwastow w ogóle przyjął jego podanie. Roczne wynagrodzenie „kozaka konnego", wynosiło wówczas 6,5 rubla, nie licząc dodatku na żywność!

Historia łapówki wyszła na jaw i rozeszła się po całym „ostrogu": „a o tym wie wielu jenisejskich wysokich urzędników". Nasuwa się pytanie: skąd Dziewiałtowski mógł wziąć 21 rubli i drogiego konia za 15 rubli? Nie ma wątpliwości, że nawet szlachcic z bogatego rodu, w momencie wzięcia do niewoli zostawał pozbawiony wszystkiego, co mógł mieć przy sobie. Trzeba jednak pamiętać, że Kazimierz zawarł związek małżeński nie z ubogą niewiastą, lecz z wdową po pentatorze kozackim, który od lat 30. XVII w. służył w Jenisejsku i niewątpliwie pozostawił po sobie znaczny majątek.

Mimo wyrażonej przez szlachcica woli pozostania w Jenisejsku, musiał on udać się do Moskwy. Czekała go daleka wyprawa do stolicy carskiego imperium i pełen niebezpieczeństw powrót na Syberię. Jeńca wraz z „synem bojarskim" Fiodorem Postnikowem wkrótce wysłano z Jenisejska do Moskwy. Zesłańcy pokonali długą drogę między 1 września 1663 r. a początkiem lutego roku 1664 r. Wraz z Dziewiałtowskim «bić czołem Wielkiemu Hosudaru o swoich potrzebach» pojechał mieszczanin jenisejski Kuźma Miszukow.

Dnia 19 stycznia 1664 roku grupa jeńców z Jenisejska i Krasnojarska dotarła do Wołogdy. Jednakże, tydzień wcześniej dostarczono do władz tego miasta list, w którym car nakazał wojewodzie Nikicie Streszniewowi nie wpuszczać zesłańców do Moskwy i zamknąć wszystkich w więzieniu, co bezzwłocznie zostało wykonane. Dzień później, 20 stycznia, „syn bojarski" Postnikow wraz z poświadczającym przyjęcie Polaków listem od Streszniewa, udał się do stolicy, dokąd dotarł 10 dni później[20].

W międzyczasie doszło jednak do konfliktu między Dziewiałtowskim a Postnikowem. Kiedy „Fiodor Postnikow przyjechał do Wołogdy, ukrył przed nim [wojewodą wołogodzkim] list i petycję z powodu nieprzyjazności. A on Kazimierz i Kuźma na Wołogdzie są uwięzieni z tymi samymi Polakami i Litwinami za niewiedzę"[21]. Hipotez dotyczących przyczyny konfliktu może być wiele: od zazdrości o wdowę i znaczny majątek, jaki uzyskał Kazimierz, żeniąc się z nią, do konfliktu wyznaniowego.

Tak czy inaczej Dziewiałtowski, wraz z Miszukowem, znalazł się w więzieniu w Wołogdzie. Postępowanie

17 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 20, 22–23, D.577, s. 473, 477–481.

18 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 5.

19 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 23.

20 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.577, s. 439, 444, 479.

21 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812 s. 8.

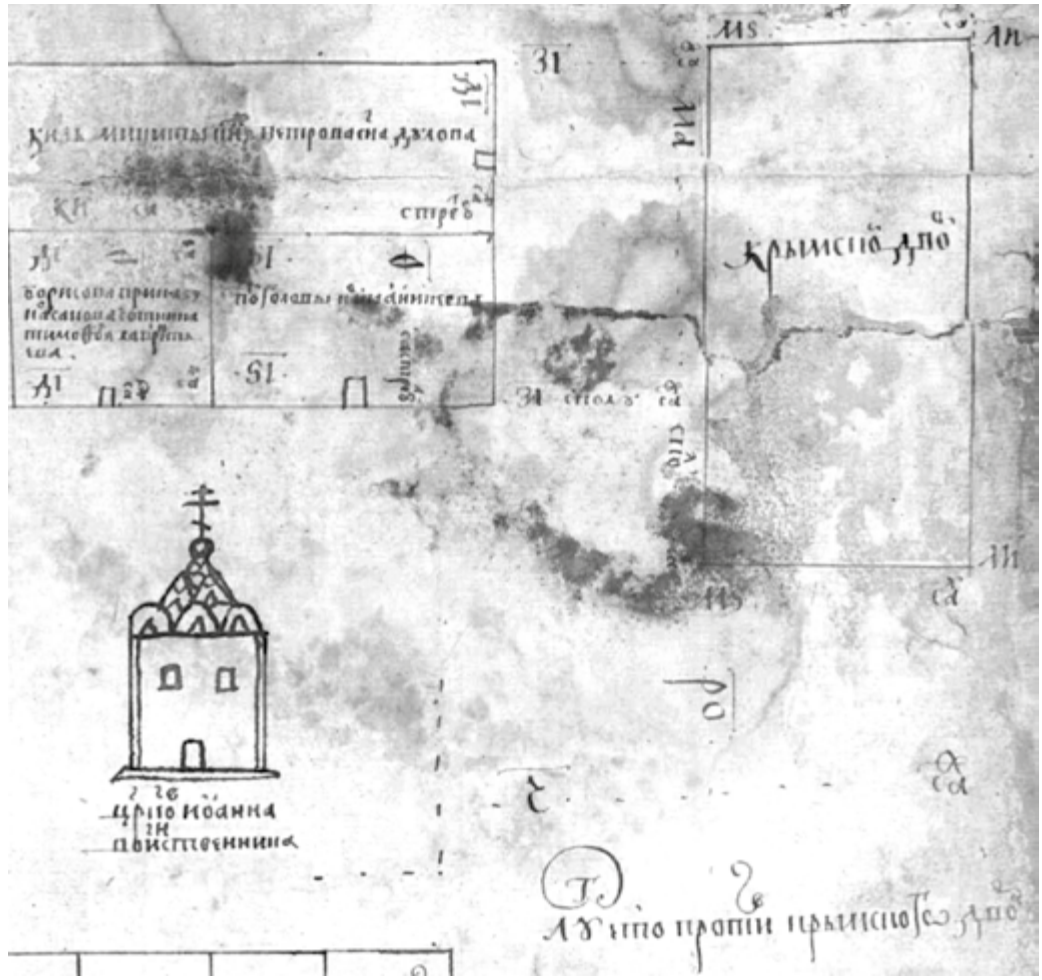

Plan „Dworu Krymskiego" w Moskwie według XVIII-wiecznej ilustracji.

rozpoczęło się dopiero po zmianie władz administracyjnych tego miasta, która nastąpiła na początku października 1664 r. (wojewodą został Stepan Zubow). W swojej petycji Kazimierz napisał o warunkach swojego pobytu w więzieniu: „A teraz ja, Twój sługa, za niewiedzę w Wołogdzie, jestem w więzieniu i zdycham z głodu, i ze wszystkich potrzeb więziennych, umieram na próżno przez długi czas"[22].

Podczas prawie rocznego okresu uwięzienia, Dziewiałtowski zastanawiał się zapewne jaki los go czeka: śmierć z głodu w więziennym lochu czy powrót do Polski? Nie wiedział, czy jego petycja dotrze do cara? Na szczęście zmiana władz administracyjnych okazała się korzystna, otwierając nowy rozdział w życiu Kazimierza. Korespondencja od władz województwa, do której dołączono petycje podpisane własnoręcznie przez jeńców, została wysłana do Moskwy 30 października. Dokumenty dotarły do kancelarii „Syberyjskiego Prikazu" dnia 10 grudnia[23].

Los cudzoziemca, który znalazł się w rosyjskim więzieniu, nie mając w tym kraju jakichkolwiek koneksji, był naprawdę ciężki. Kazimierz nie mógł liczyć na pomoc krewnych swojej żony, dawniej zamieszkujących w Moskwie, gdyż służyli oni w odległych regionach Syberii. Dla uwięzionego szlachcica, znającego zaledwie podstawy potocznego języka rosyjskiego i pozbawionego pieniędzy, trudność musiało stanowić nawet znalezienie urzędnika-pisarza (tzw. diaka), który podjąłby się napisania „petycji" skomplikowanym i górnolotnym językiem prawniczym (aż po wiek XIX prawo do przygotowywania takich dokumentów w Rosji mieli wyłącznie urzędnicy, sam petent składał tylko podpis). O swojej sytuacji Kazimierz pisze (piórem diaka) następująco: „A o mnie, biednym i bezsilnym więźniu, Twoim smerdzie, Twoim nowym słudze z Jenisejska, oprócz Ciebie, Wielki Hosudarze, nie mam do kogo pisać petycji, nie mam krewnych i jestem i cudzoziemcem (…) a poza Panem Bogiem i Tobą, miłosierny i sprawiedliwy Wielki Hosudarze, ja, Twój biedny sługa, nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc. O Hosudarze, postąp proszę zgodnie z raportem wojewody jenisejskiego i z moją petycją, i zgodnie z tą petycją racz zwolnić mnie z więzienia, i do Siebie, do Wielkiego Hosudara do Moskwy wziąć, i z Moskwy rozkaż mnie wysłać na Syberię na wieczne życie w Jenisejskim ostrogu i wziąć mnie na swoją, Wielkiego Hosudara, służbę. O, Hosudarze, zmiłuj się, proszę"[24].

22 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 5.

23 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 2–3.

24 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 5.

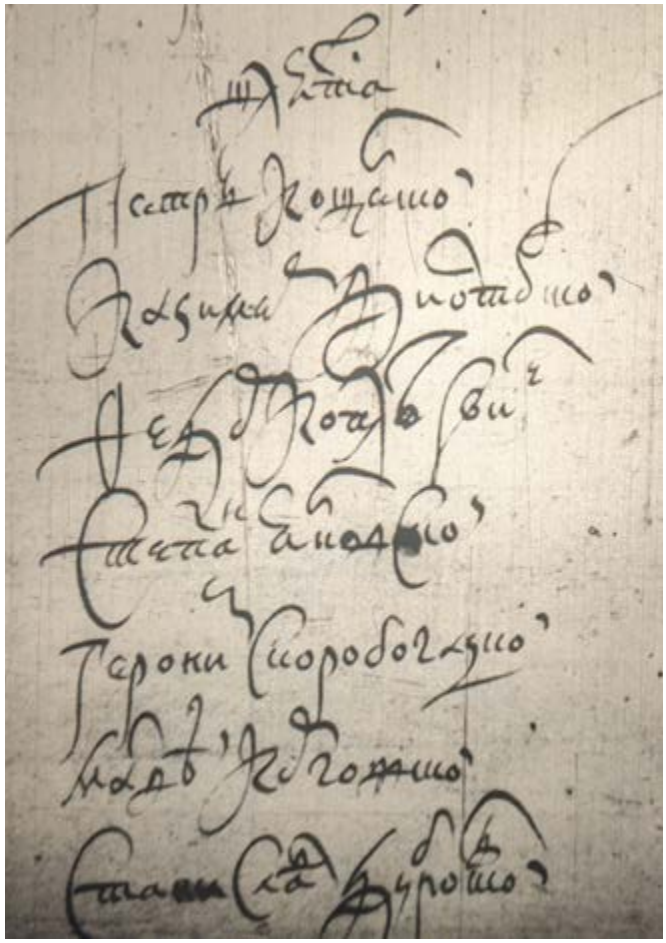

Lista polskich jeńców—drugi w kolejności wymieniony Kazimierz Dziewiałtowski.

„Śledztwo" w stolicy trwało długo. Choć administracja carska niewątpliwie zdawała sobie sprawę z korzyści, jakie stosunkowo dobrze wykształcona szlachta czy biegli rzemieślnicy pochodzący z terenów Rzeczypospolitej Obojga Narodów mogli przynieść państwu, jednak nie spieszyła się z zachęcaniem cudzoziemców do integracji z systemem rosyjskim. Dopiero cztery miesiące później, 9 kwietnia 1665 r. podania zostały rozpatrzone i sporządzono odpowiedni raport. Pół roku później, 17 października, władze skierowały do Wołogdy list, w którym nakazano tamtejszym urzędnikom wysłanie Dziewiałtowskiego i Miszukowa: „A gdy przyszedł do nas list naszego Wielkiego Hosudara, abyście zwolnili z więzienia szlachcica Kazimierza Dziewiałtowskiego i mieszczanina Kuzemkę Miszukowa z komornikiem, odesłali ich do Moskwy i dali im jadła i pieniędzy, aby mogli dojechać do Moskwy, ponieważ są bardzo biedni"[25].

Z powodu niesprzyjającej pogody (lub opieszałości poczty), list cara dotarł do Wołogdy dopiero 23 grudnia, a tydzień później, 31 grudnia, byli więźniowie wraz z komornikiem Wasilijem Nakwasinem zostali wysłani do Moskwy. „I zgodnie z Twoim rozkazem, my, słudzy Wielkiego Hosudara Cara i Wielkiego Księcia Aleksieja Michajłowicza Samodzierżcy całej Wielkiej, Małej i Białej Rusi, my, Twoi słudzy, szlachcica Kazimierza Dziewiałtowskiego i mieszczanina Kuziemkę Miszukowa wysłaliśmy do Ciebie, Wielkiego Hosudara, do Moskwy, z komornikiem wołogodzkim Wasilijem Nakwasinem, 31 grudnia. A my, Twoi słudzy, daliśmy im, Kazimierzowi i Kuziemce, jadła i pieniędzy, aby mogli dotrzeć do Moskwy"[26].

Po dwóch latach więzienia i długiej, odbytej zimą podróży przez Jarosław, Rostów i Peresław Zaleski, Kazimierz dotarł do stolicy 8 stycznia 1666 roku. Szlachcic spędził w Moskwie pięć tygodni, oczekując na wezwanie. Dopiero 10 lutego odbyło się przesłuchanie Dziewiałtowskiego i Miszukowa, po którym sporządzono dokumenty dotyczące „potrzeb" jeńców. „Diak" piszący w imieniu Kazimierza zakończył petycję następującymi słowami: „Miłosierny Hosudarze, Carze i Wielki Księciu Aleksieju Michajłowiczu, Samodzierżcy całej Wielkiej, Małej i Białej Rusi, zmiłuj się nade mną, Twoim sługą, według wiary mojej, i pozwól jak braciom moim, szlachtą, co Tobie, Wielkiemu Hosudarowi, w Tobolsku i Tiumeniu w dzieciach bojarskich służą, wyjechać do Jenisejskiego ostrogu do mojej żony i małych dzieci, i, Hosudarze, pozwól mi służyć w Jenisejsku jako syn bojarski. Carze Hosudarze, zmiłuj się nade mną, proszę"[27].

Tego samego dnia w Syberyjskim Prikazie został wydany dokument uwzględniający prośby Kazimierza i Kuźmy o „wieczną służbę" w ostrogu Jenisejskim. Szlachcic został mianowany „synem bojarskim", a Miszukow setnikiem. Obaj nowoprzyjęci do służby otrzymali specjalnie wyliczoną średnią płacę: 15 rubli, 75 pudów żyta, 62,5 pudy owsa i dwa pudy soli dla pierwszego oraz 12 rubli, 43,75 pudy żyta, 25 pudów owsa i dwa pudy soli dla drugiego. W tych latach największe wynagrodzenie dla „syna bojarskiego" w Jenisejsku wynosiło 23 ruble, zaś pensja minimalna 10 rubli rocznie[28].

Nieco później, dnia 14 lutego, Dziewiałtowski złożył kolejne podanie – o wypłatę przez wojewodę jenisejskiego odszkodowania w wysokości przyjętej przez niego łapówki! Ostatecznie i to żądanie, ze względu na fakt bezprawnego uwięzienia szlachcica, zostało rozpatrzone pozytywnie. Pod koniec miesiąca (28 lutego), wysłano do Jenisejska dwa listy (dotyczące nowej służby Kazimierza i Kuźmy oraz zwrotu łapówki), a także list do Wołogdy, w którym informowano tamtejszego wojewodę o zwolnieniu Polaków na Syberię bez ich zatrzymania[29].

25 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 9, 12.

26 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 13, 14.

27 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 13, 16.

28 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, s. 27, 29.

29 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.3 D.812, d. 1, 29–36.

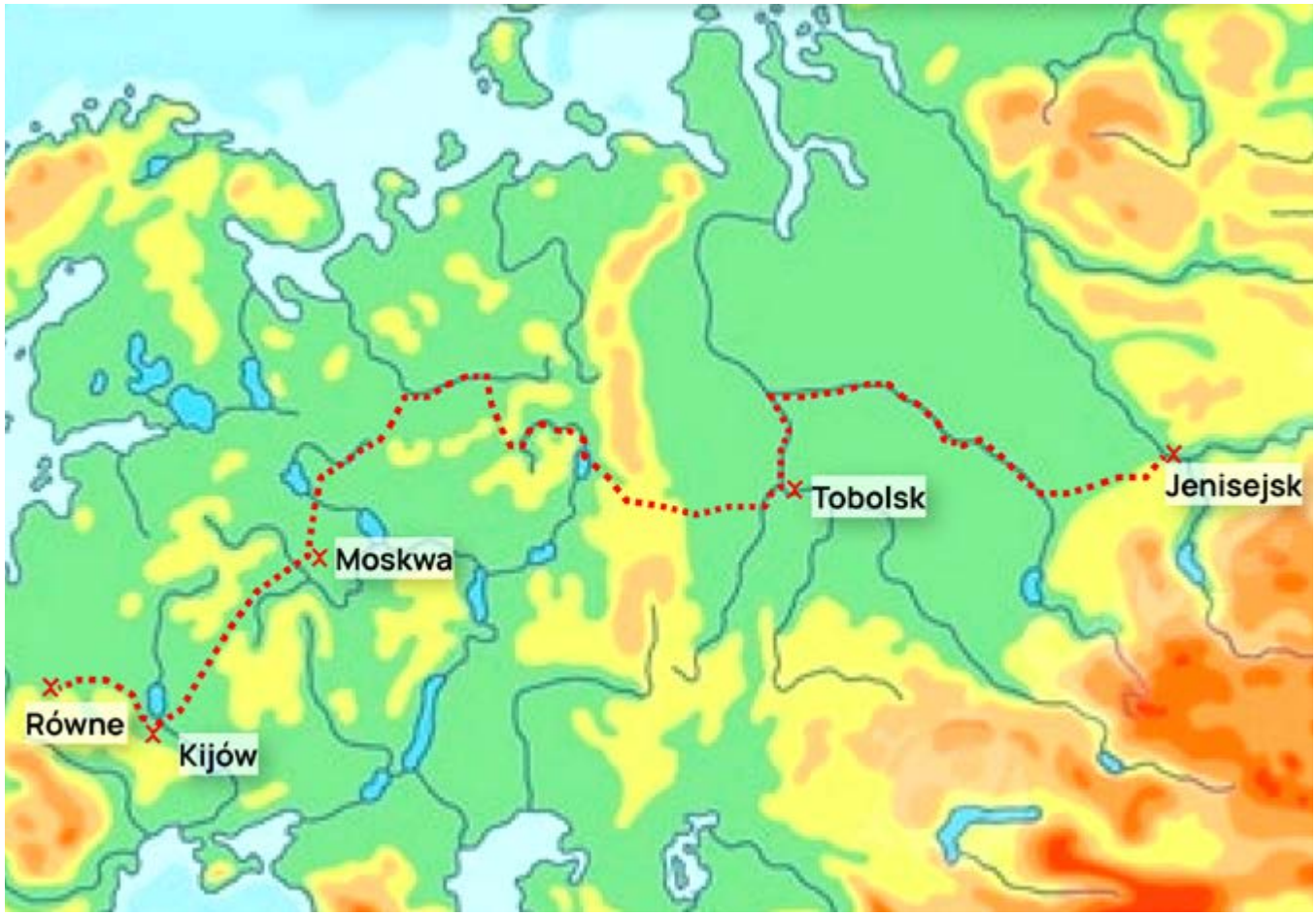

Trasa zesłańca od chwili wzięcia do niewoli po osadzenie na Syberii (listopad 1659—czerwiec 1661).

Wczesną wiosną 1666 r. Dziewiałtowski i Miszukow otrzymali w Moskwie wypłatę żołdu za bieżący rok, co pozwoliło im dotrzeć na Syberię. Prawdopodobnie jesienią, po trzech latach od wysłania do stolicy, Dziewiałtowski powrócił do Jenisejska – tym razem już nie jako jeniec, lecz jako funkcjonariusz państwa rosyjskiego. Wraz z żołdem wypłaconym w Moskwie za rok 7174 (1665/1666) oraz rekompensatą kwoty łapówki, Kazimierz miał otrzymać 51,5 rubla, a po przyjeździe na miejsce, jako pensję na nowy rok, kolejne 15 rubli.

Dokumenty niestety nie podają, kiedy Dziewiałtowski przeszedł na prawosławie, jednak stało się to między 1666 a 1669 rokiem, kiedy były szlachcic nosi już imię Kuźma. W późniejszych dokumentach pojawia się i patronimik (Andriejewicz), dzięki czemu możemy ustalić imię jego ojca. Przejście na prawosławie niewątpliwie było dla Dziewiałtowskiego finalizacją długotrwałego procesu adaptacji formalnej; zgodnie z poglądami tamtej epoki stał się Rosjaninem i został ostatecznie włączony do elity jenisejskiej[30]. Nie ma wątpliwości, że procesowi temu towarzyszyła również stopniowa adaptacja etniczno-kulturowa.

Po zawarciu rozejmu w Andruszowie w styczniu 1667 r. i rozpoczęciu wymiany jeńców, liczba osadzonych na Syberii osób pochodzących z Rzeczypospolitej Obojga Narodów znacznie się zmniejszyła. W Jenisejsku znajdowało się wówczas co najmniej 16 cudzoziemców, wtedy już poddanych rosyjskich, w większości służących jako „synowie bojarscy". W ciągu dziesięciu lat po rozejmie udział „cudzoziemców" wśród tutejszej elity wojskowej wynosił nieco mniej niż jedna trzecia, około 28%. Niektórzy z nich otrzymali ziemię i założyli rodziny, inni uczestniczyli w różnorodnych działaniach militarnych jako „słudzy cara"[31].

Życie na Syberii nie było beztroskie, a otrzymujący ziemię zajmowali się nie tylko jej uprawą. Brali oni udział zarówno w kampaniach wojskowych, jak i w zarządzaniu regionem, zwłaszcza jeśli byli wykształconymi i doświadczonymi ex-jeńcami pochodzącymi z Rzeczypospolitej. W 1679 roku Kuźma Dziewiałtowski wraz ze swoim rodakiem Wasyliem Kaftunowskim przeprowadzili spis ludności klasztoru w Nowej Pustyni. Dokument został

30 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.1 D.527, s. 304.

31 Sokolovski I. *Uchastie sluzhylyh ludey polsko-litovskogo proishozhdeniya v prisoyedinenii i osvoyenii Sibiri v XVII v.* (Tomsk, Eniseysk, Krasnoyarsk). Novosibirsk. 2000., s. 100

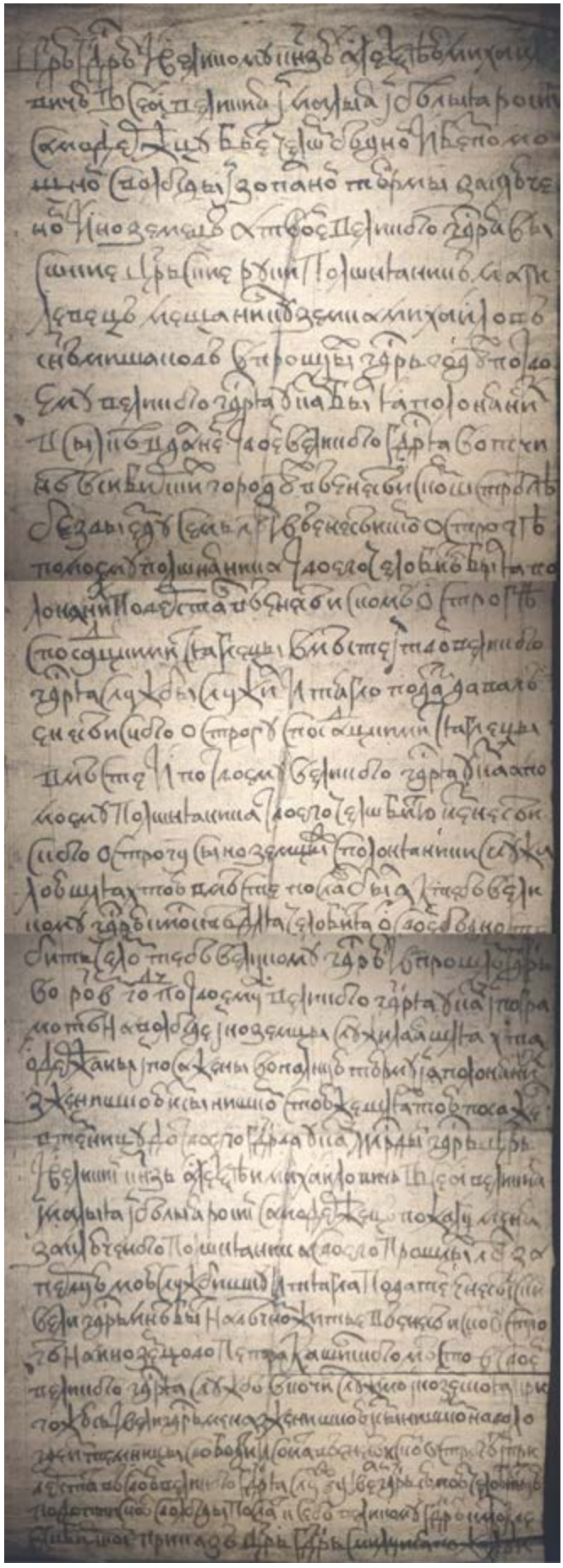

Petycja Kazimierza Dziewałtowskiego skierowana do „Syberyjskiego prikazu".

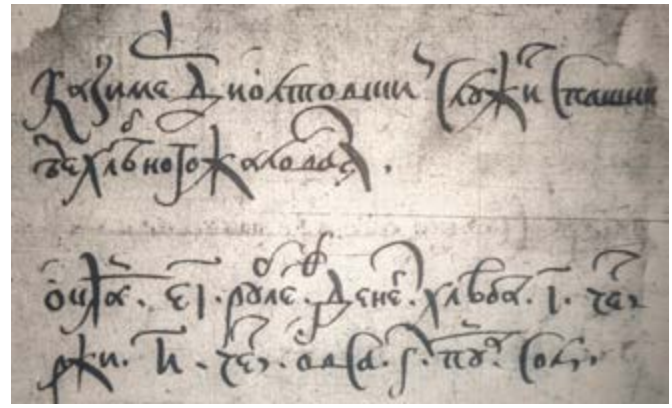

Fragment dokumentu urzędowego – informacja dotycząca wysokości wynagrodzenia rocznego Kuźmy Dziewiałtowskiego

podpisany tylko przez drugiego z nich, co sugeruje, że sam Dziewiałtowski wciąż nie opanował cyrylicy[32].

Rok później, w styczniu 1680 r., Kuźma Dziewiałtowski udał się na czele oddziału liczącego 108 kozaków do Kotliny Minusińskiej, gdzie wziął udział w kampanii przeciwko kirgiskiemu kniaziowi Jereniakowi, który nieustannie organizował najazdy na Krasnojarsk i nie zamierzał podporządkować się Rosjanom. Akcja, prowadzona pod dowództwem Romana Starkowa, miała być kolejną próbą spacyfikowania stepowych nomadów. Początkowo zakładano, że oddziały z Tomska i Kuźniecka połączą się z wojskami jenisejskimi „na skraju ziemi kirgiskiej" (nieco na południe od współczesnego Achińska). Dwa pierwsze oddziały, nie czekając na posiłki, rozpoczęły pościg za „Kirgizami" i ruszyły na południe, podczas gdy pozostałe oddziały z Krasnojarska i Jenisejsku skierowały się na południe wzdłuż zamarzniętego Jeniseju. Brak współdziałania sił rosyjskich nie pozwolił na osiągnięcie zamierzonego rezultatu i pokonanie koczowników. Zabrakło też koni, co doprowadziło do trudności w kontynuowaniu pościgu: „I z pieszych kozaków i kozackich dzieci, po dwóch lub trzech ludzi jechało na jednym koniu, a niektórzy pieszo, na nartach, i z wielką trudnością".

Dnia 8 lutego cztery oddziały spotkały się na Białym Ijuszu, a łączna liczba sił rosyjskich wynosiła ponad 1600 ludzi. Dwa dni później doszło do spotkania wojewodów z kniaziem Jereniakiem, jednak próba skłonienia go do złożenia przysięgi na wierność carowi nie powiodła się. W ciągu kolejnych dni żołnierze carscy, ścigając księcia i angażując się w drobne potyczki, dotarli do południowej części Kotliny Minusińskiej. Roman Starkow zamierzał schwytać jednego z krewnych Jereniaka, aby skłonić przywódcę jenisejskich Kirgizów do złożenia przysięgi. Brak właściwego współdziałania czterech oddziałów, brak współpracy i konflikty wśród dowodzących wyprawą oraz niedobór koni (systematycznie porywanych zresztą przez

32 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.1 D.403, s. 182–183.

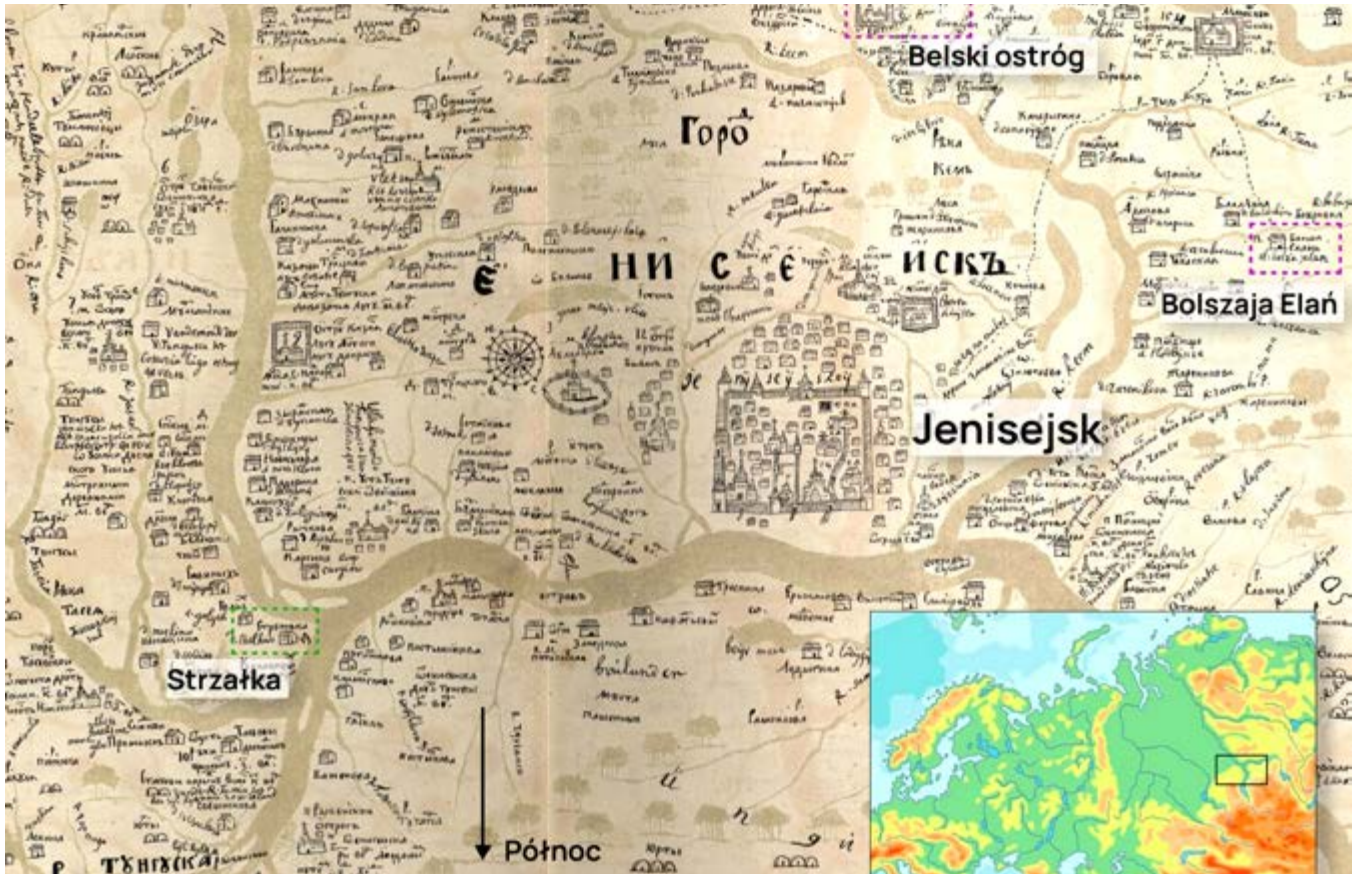

Mapa okręgu jenisejskiego na Syberii, wykonana przez kartografa Remezowa na początku XVIII w. Miejscowości związane z pobytem Dziewiałtowskiego: Jenisejsk (służba w formacji konnych kozaków 1661–1663); wieś Bolszaja Elań (miejsce zamieszkania 1666–1695); „ostróg" Belski (służba urzędnicza 1682–1684); wieś Strzałka (miejsce zamieszkania potomków).

koczowników) doprowadziły do niepowodzenia wyprawy. Ostatecznie, na początku marca, Rosjanie opuścili stepy i odeszli z niczym. Przez następne siedem lat różne oddziały próbowały podporządkować władzy carskiej ten region, jednak dopiero po śmierci Jereniaka w 1687 roku rozpoczął się proces włączania Kotliny Minusińskiej do państwa rosyjskiego[33].

Po nieudanej kampanii Kuźma Dziewiałtowski wrócił do Jenisejska i wkrótce, około 1682 r., został urzędnikiem w ostrogu Belskim. W tym okresie zasymilowani ex-jeńcy aktywnie uczestniczyli w zarządzaniu osadami; urzędnicy byli z reguły mianowani na okres do dwóch lat. W latach 80. Samoilo Klimowski pełnił swe obowiązki we wsi Ust-Tunguska, Wasilij Kaftunowski we wsi Markowo Gorodiszcze, Kuźma Łukaszewski w ostrogu Rybińskim i Stepan Surwilow w ostrogu Makowskim [34].

Prawdopodobnie w tym czasie bohater niniejszego artykułu rozpoczął „osiadłe" życie rodzinne w tajdze koło Jenisejska. Według ksiąg spisowych Dziewiałtowski miał czterech synów: Aleksego (ur. 1682), Fedora (1686–1708), Michała (ur. 1688) oraz Iwana (1691–1712). Wszyscy poszli w ślady ojca, służąc w garnizonie jenisejskim. Starszy Aleksej otrzymał rangę „syna bojarskiego" i przeniósł się wraz z bratem Michałem do wsi Strzałka. Potomkowie szlachcica związali swoje życie z sąsiednią wsią Konnowską i używali nazwiska Dewiatlowski[35].

Kazimierz Dziewiałtowski zmarł w Jenisejsku w 1695/1696 r.[36] Prawie 30 lat swego stosunkowo długiego życia spędził na Syberii. Podobnie jak inni mieszkańcy Rzeczypospolitej, którzy z różnych powodów tu pozostali (a w omawianym okresie w samym „ujeździe" Jenisejskim mieszkało ich kilkunastu) Dziewiałtowski uczestniczył w rozwoju gospodarczym i kulturalnym regionu. Nie należy zapominać, że dla wielu wywodzących się z Rzeczpospolitej Polaków, Litwinów, Ukraińców i Białorusinów, zasiedlających ogromne przestrzenie Syberii ten kraj stał się nowym domem, a ich potomkowie żyją na tej ziemi do dziś, pamiętając o pochodzeniu swoich rodzin i swoich nazwisk.[37]

Wojciech Czarniawski, Aleksandr Konnykh

33 Hilkov G. *Dokumenty po istorii Rossii XVI–XVII vv*. SPb., s. 309, 315–317, 321.

34 Barahovich P. *Sluzhyloye naselenie Tsentralnoy Sibiri v XVII stoletii*. Krasnoyarsk. 2016., s.227, 228.

35 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.1 D.1089, s. 326o6; D.1586 S.160; D.1614., s. 350o6.

36 Rosyjskie Państwowe Archiwum Akt Dawnych Z.214 O.1 S.1229, s. 3.

37 Konnykh A. *Rod Devyatlovskich v istorii naseleniya Priyeniseyskoy Sibiri*. Moskva, 2020.

Bartosz Staręgowski

Zasadzka pod Żyrzynem
– udany manewr majora Heydenreicha

Zryw styczniowy w latach 1863–1864 ostatecznie zakończył polską kartę powstańczą w XIX w. Pytanie o konieczność wybuchu insurekcji pojawia się równie często, co krytyka i zarzuty wobec władz powstańczych, o to czy przy ówczesnych środkach i możliwościach należało je w ogóle organizować. W tym momencie warto jednak wspomnieć o sytuacji w samym Królestwie Polskim, stanowiącym namiastkę polskiej państwowości. Klęska Rosji w wojnie krymskiej przypadającej na lata 1853–1856 i śmierć Mikołaja I Romanowa, spowodowała konieczność reform na obszarze imperium. Miały być one nowym otwarciem dla społeczeństw zamieszkujących jego terytorium. Objęły one również ludność polską z obszaru Królestwa Polskiego. Mimo rzeczywistej czy rzekomej poprawy społecznego losu, wśród dużej części polskiego społeczeństwa wciąż tliły się niewygasłe nadzieje na odzyskanie niepodległości. Poluzowanie cugli przez władzę, którą reprezentował namiestnik Michaił Gorczakow spowodowało, że tworzyły się nowe organizacje konspiracyjne, organizowano manifestacje i wiece oraz śpiewano pieśni patriotyczne. Nastroje patriotyczne i niepodległościowe starały się kanalizować różne organizacje w tym niepodległościowi rewolucjoniści zwani „czerwonymi" czy zrzeszający ugodowych ziemian „biali". Było również Towarzystwo Rolnicze, gotowe na ugodę z Rosją, która w zamian za nią miała przyznać autonomię Królestwa.

W drodze do powstania

Z tych ostatnich kręgów wywodził się margrabia Aleksander Wielopolski, który rozpoczął własną grę z władzami rosyjskimi. Polegała ona na pacyfikacji dążeń niepodległościowych, które miały być ograniczane przez Wielopolskiego, a w zamian oczekiwano ustępstw i przywrócenia pewnych polskich instytucji. Plan Wielopolskiego ostatecznie spalił na panewce w momencie krwawego stłumienia manifestacji 25 lutego 1861 r. w 30. rocznicę bitwy grochowskiej. Takie działania z jednej strony wywołały chęć odwetu w zradykalizowanej części społeczeństwa, z drugiej zaś strony zablokowały plany Wielopolskiego, a jego samego obarczono winą za wspomniane zajścia.

Ruch spiskowy z każdym dniem krzepł, czego dowodem było powstanie Organizacji Narodowej, a w końcu maja 1862 r. Komitetu Centralnego Narodowego, który utworzyły dotychczas działające oddzielnie organizacje spiskowe. Komitet stał się niejako władzą tworzonego w konspiracji państwa polskiego. Sytuacja stawała się coraz bardziej gorąca, a część spiskowców rozpoczęła organizacje zamachów. W jednym miał zginąć wielki książę Konstanty Romanow, a w innym Aleksander Wielopolski.

Widząc zaostrzające się nastroje, nieskuteczność w walce z Komitetem Centralnym Narodowym i prawdopodobieństwo wystąpienia różnych scenariuszy mogących doprowadzić do rozlewu krwi, Wielopolski podjął decyzję o zorganizowaniu „branki" do wojska rosyjskiego. Perspektywa spędzenia reszty życia gdzieś na rubieżach jednego z największych państw na świecie wzbudziła w Polakach naturalny odruch obronny. Choć komitet planował wybuch powstania na wiosnę 1863 r., to rozwój wydarzeń, a mianowicie ogłoszenie branki w styczniu tegoż roku doprowadziły do jego przedwczesnego wybuchu. Pobór chciano przeprowadzić znienacka, w nocy z 14 na 15 stycznia 1863 r. ale już 16 stycznia KCN ogłosił Wielopolskiego zdrajcą, a kilka dni później z 22 na 23 stycznia rozpoczęto pierwsze działania zbrojne. Dyktatorem powstania został generał Ludwik Mierosławski. Beczka prochu wybuchła.

Dysproporcja sił

W każdym kolejnym powstaniu siły polskie były w coraz mniejszym stopniu gotowe do walki z armią rosyjską. O ile w przypadku insurekcji listopadowej sprzed 30 lat, polscy żołnierze mogli wydać Rosjanom jakąkolwiek bitwę w polu, o tyle teraz mogli liczyć jedynie na walkę partyzancką i nękanie mniejszych oddziałów. Dysproporcje były ogromne. Na początku zrywu styczniowego szeregi powstańcze mogły liczyć na ok. 20–25 tysięcy ochotników gotowych do walki, z czego duża część z nich nie posiadała zaprawienia bojowego. Brakowało broni palnej, w szczególności tej wojskowej, a na wyposażeniu znajdowała się jedynie broń myśliwska, pistolety i ewentualnie

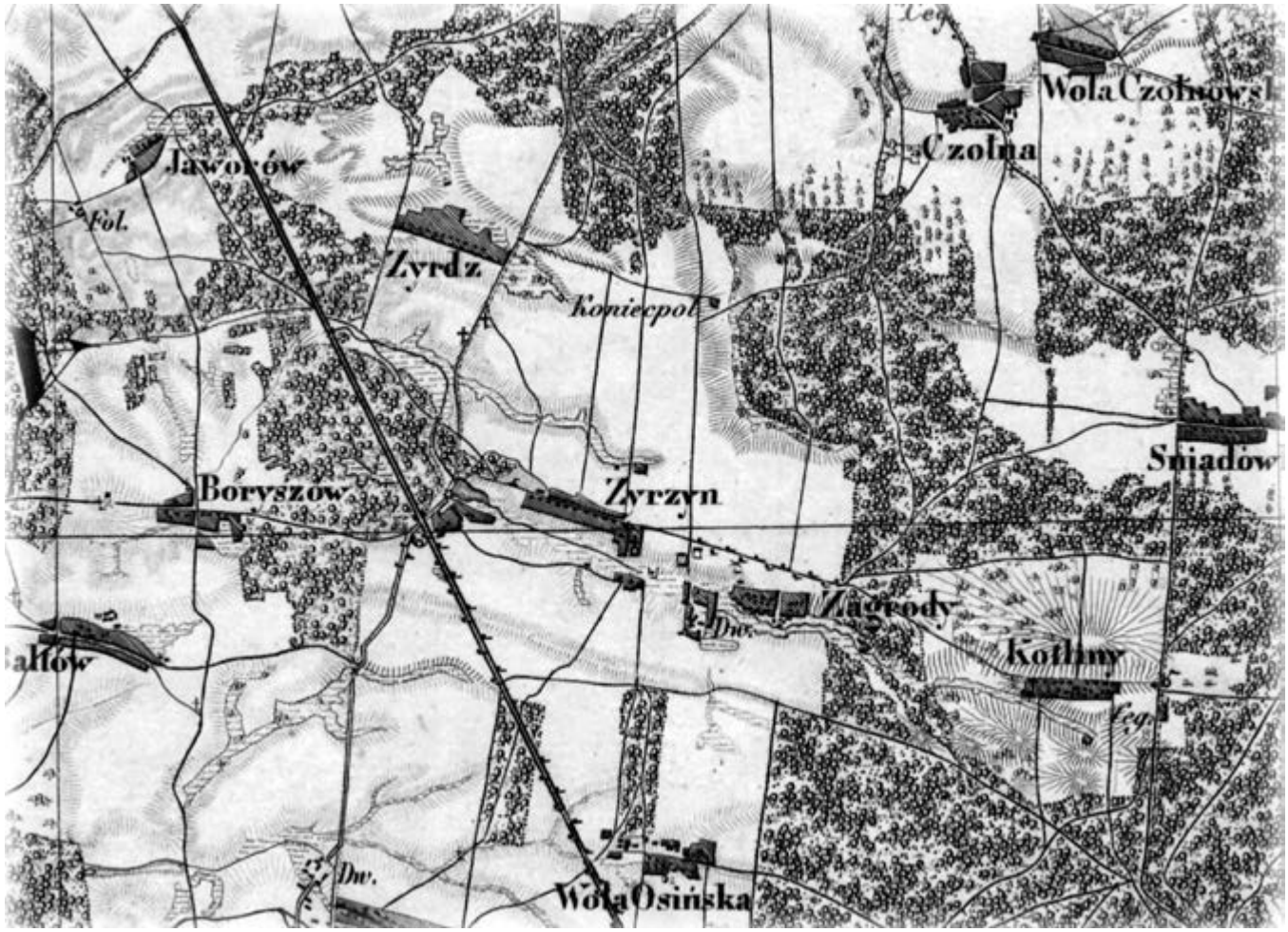

rewolwery. Początkowo nie było nawet sztabu ani służb łączności, a do walki stanęło 7340 powstańców posiadających zróżnicowaną broń palną, ale wciąż w deficycie. Wśród uzbrojenia dominowały kosy osadzone na sztorc i zwykłe kije. Dla ukazania kontrastu Rosjanie w samym tylko Królestwie dysponowali 100 tysiącami żołnierzy, 176 działami oraz licznymi załogami w twierdzach miejskich. Na korzyść powstańców działało rozproszenie sił po mniejszych garnizonach, przez co w wypadku walki partyzanckiej Polacy mogli niwelować tak wielką przewagę liczebną i atakować Rosjan z zaskoczenia. To powodowało, że zamiast dużych bitew z Rosjanami toczono raczej małe lokalne potyczki. Wylicza się, że w trakcie całego powstania miało miejsce ok. 1200 potyczek, jednak jest to liczba wciąż weryfikowana.

Gambit wojenny majora Heydenreicha

Duża spontaniczność działań na początku powstania nie zadziałała na jego korzyść. Rosjanom do wiosny 1863 r. udało się je prawie całkowicie spacyfikować w województwie podlaskim i lubelskim. Dopiero pod koniec kwietnia powstały nowe oddziały z Władysławem Ruckim, Hermanem Wagnerem, Zygmuntem Koskowskim i kilkoma innym dowódcami na czele. Nie były one jednak dość silne, aby stanowić dla Rosjan zagrożenie. Jednakże w miarę upływu kolejnych miesięcy rosło poparcie dla powstania, organizowano broń i werbowano kolejnych ochotników. Przełomem okazało się skierowanie na Lubelszczyznę i Podlasie Michała Jana Heydenreich'a. Ten 32 letni sztabskapitan rosyjskich dragonów, absolwent petersburskiej Akademii Sztabu Generalnego natychmiast przystąpił do działania. Według jego planu należało wyzwolić całkowicie Podlasie, a następnie zorganizować w nim główną bazę operacyjną i wesprzeć powstanie na Litwie, by odciąć Królestwo od ewentualnej pomocy Carstwa. Rząd Narodowy zgodził się na realizację tego planu.

Heydenreich otrzymał stopień majora oraz przyjął pseudonim „Kruk". Major rozpoczął organizowanie powstańców, zabiegał o dostarczenie broni i poprawił dyscyplinę wśród walczących. W miesiącach letnich dysponował już ok. 2500 gotowych do walki partyzantów, a doliczając pozostałe oddziały to liczbę tę mógł zwiększyć nawet do 4000. Przeciwko sobie miał ok. 15 000 rosyjskich żołnierzy. Swoje siły „Kruk" zamierzał skoncentrować w lasach puchaczowsko-łęczynskich. Połączyć się z nim miały oddziały Krysińskiego z Podlasia oraz →

Ruckiego z Lubelszczyzny. 15 lipca 1863 r. major opuścił Żelechowskie, a 18 stycznia połączył się pod Puchaczowem z Ruckim i 19 stycznia z Krysińskim. Złączone oddziały założyły bazę operacyjną w puszczy, a dokładniej w smolarni Skarbina, niedaleko jeziora Piaseczno. Stamtąd przeprowadzono kilka akcji zaczepnych, które organizowano z różnym skutkiem. Z tych większych trzeba zapamiętać dwa. Starcie pod Kaniwolą 23 lipca 1863 r. mimo misternych planów majora zakończyło się klęską powstańców, ale już potyczka pod Chruśliną 4 sierpnia 1863 r. zakończyła się zwycięstwem sił polskich i zmuszeniem Rosjan do odwrotu w stronę Kraśnika. Niestety za ogromną cenę. Walka z Rosjanami wyczerpała całkowicie zapasy amunicji. Gdyby nie stanowcza interwencja Krysińskiego i Grzymały, major z rozpaczy gotów był zakopać swoją broń i rozpuścić żołnierzy. Na szczęście jednak tak się nie stało.

Starcie pod Żyrzynem 8 VIII 1863 r.

Obawiając się pościgu oraz braku amunicji, oddziały majora opuściły Chruślinę i rozpoczęły przemarsz w kierunku Podlasia. W trakcie marszu dołączyły do nich oddziały Jankowskiego i Zielińskiego. 7 sierpnia powstańcy podeszli pod miejscowość Żyrzyn. Dzięki wsparciu opolskich agentów Organizacji Narodowej udało się zakupić 15 000 patronów do nabojów w intendenturze rosyjskiej w Lublinie. Dodatkowo udało się pozyskać informacje o rosyjskim konwoju zmierzającym do Lublina i wiozącym 200 000 rubli.

Heydenreich postanowił zorganizować napad na konwój i pozyskać wspomniane środki pieniężne, a także zniszczyć zbrojną eskortę. Na naradzie dowódców przedstawił swój plan, który zakładał: wpuszczenie Rosjan do lasu obsadzonego z obu stron przez powstańców, którzy maszerując szosą mieli być doskonałym celem dla ukrytych w zaroślach strzelców. Marsz do przodu miał im uniemożliwić oddział Lutyńskiego, od tyłu oddział Wagnera, a wszyscy pozostali mieli rosyjską kolumnę oskrzydlić i zniszczyć. W walce miała wziąć udział jedynie piechota, jazda miała pełnić funkcję pomocniczą i zwiadowczą. Z uwagi na bliskość rosyjskiego garnizonu w Kurowie, potyczkę należało rozstrzygnąć w ciągu maksymalnie trzech godzin.

O świcie 8 sierpnia powstańcy wyruszyli w stronę Żyrzyna. Miejsce pułapki wybrał sam major. Kiedy kolumna rosyjska licząca 532 żołnierzy i dwa działa znalazła się w miejscu zasadzki, przywitała ją zabójcza salwa, kładąca trupem wielu Rosjan. W ciągu następnych trzech godzin wykonano ich jeszcze siedem, raz z jednej, raz z drugiej strony. Szarżowano też na bagnety i broń białą. Heydenreich wzmocnił grupę Lutyńskiego oddziałem Krysińskiego, a grupę Wagnera wszystkimi pozostałymi. Rosjanie mimo zaciekłej obrony nie zdziałali wiele, a ich działa mimo wystrzelania całej amunicji okazały się

Bitwa pod Żyrzynem, 1863, ilustracja anonimowa, Wikipedia

Plan bitwy pod Żyrzynem, 1863. ▲ Michał Heydenreich, fotografia z *carte de visite* nieznanego autora, Wikipedia

bezskuteczne. Jeden z dowódców rosyjskich – porucznik Laudański – rozkazał rzutem na taśmę morderczy szturm na bagnety i za cenę dużych strat udało mu się przebić do Kurowa. Pozostali Rosjanie poddali się i złożyli broń. Bitwa zakończyła się sukcesem powstańców. Zginęło 181 żołnierzy rosyjskich, 132 odniosło rany, 150 wzięto do niewoli, a 69 uciekło do Kurowa. Major stracił zaledwie 12 ludzi, a 40 zostało rannych.

Wielka sława żyrzyńskiego zwycięstwa

Pokonanie Rosjan było wielkim zwycięstwem powstańców oraz samego Heydenreicha. W mistrzowski sposób wykorzystał on zaskoczenie wroga, wyzyskał możliwości terenowe, a przez skrócenie dystansu walki zniwelował dysproporcje sił. Wzięcie przeciwnika w kleszcze umożliwiło jego całkowite rozbicie. Co prawda z punktu widzenia militarnego starcie to nie miało większego znaczenia, gdyż rozbicie niewielkiego oddziału rosyjskiego było zaledwie kroplą w morzu ogromnej armii carskiej, to potyczka zyskała ogromne znaczenie propagandowe. Bardzo pozytywnie wpłynęła na morale walczących i pokazała, że przy odpowiednim rozegraniu starcia możliwe jest zwycięstwo nad Rosjanami, nawet przy ich dużej przewadze liczebnej. Wieści o zwycięstwie powstańców obiegły całą Europę oraz wywołały wściekłość na Kremlu.

W dziejach powstania styczniowego Żyrzyn uchodzi za największe zwycięstwo strony polskiej spośród wszystkich przeszło tysiąca potyczek. Osiągnięto to dzięki zmysłowi taktycznemu i sprytowi dowódcy, który został mianowany generałem brygady. Awanse otrzymali również oficerowie Zieliński i Krysiński oraz inni zasłużeni żołnierze. Sława Żyrzyna przetrwała wiele lat i z wielką estymą mówił o niej sam Józef Piłsudski.

Bartosz Staręgowski

Kazimierz Parfianowicz

KĄDZIEL I WRZECIONO

z poematu Torkwata Tassa „Gofred abo Jerozolima wyzwolona" w Domu Gotyckim w Puławach

W artykule „Kądziel i wrzeciono z poematu biblijnego w Domu Gotyckim w Puławach", autor: Kazimierz Parfianowicz (*Lublin. Kultura i społeczeństwo*, R. XVIII: 2021 nr 1–2, s. 79–83) zostało przedstawione źródło starotestamentowe – *Poemat o dzielnej niewieście* z biblijnej *Księgi Przysłów* (r. 31, w. 10–31, według którego na kolumnach Pokoju zielonego Domu Gotyckiego Księżna Izabela Czartoryska umieściła na jednej kolumnie rekwizyty męskości, a na drugiej rekwizyty kobiecości – kądziel i wrzeciono, które występują w przekładzie w *Biblii Tysiąclecia* (*Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*) […] opracował zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tynieckich, Poznań–Warszawa: Wydawnictwo Pallottinum 1982, wydanie trzecie poprawione, s. 732–733: *Poemat o dzielnej niewieście*, którego wiersz 19 mówi o pracowitości i zapobiegliwości owej wzorcowej niewiasty, która wyciąga ręce po kądziel, jej palce chwytają wrzeciono.

Problem w tym, że jest to przekład dzisiejszy – nam współczesny, a w tłumaczeniu dokonanym przez ks. Jakuba Wujka, wydanym w r. 1599, kądziel i wrzeciono nie występują; w tym przekładzie jest tylko wrzeciono: (*palce jej ujęły wrzeciono*). Z tego wynika, że przy opracowywaniu programu treściowego i symboli na kolumny Domu Gotyckiego posłużono się innym źródłem, nie bezpośrednio biblijnym. Takim źródłem mógł być poemat poetycki Torkwata Tassa [Torquato Tasso (1544–1595)] *Goffred abo Jeruzalem wyzwolona*, wydany w roku 1618 w Krakowie w przekładzie Piotra Kochanowskiego (1566–1629), bratanka wielkiego poety z Czarnolasu, Jana Kochanowskiego (1530–1584). Poemat w tym przekładzie z pewnością był znany w Puławach, gdzie szczególnie pielęgnowano kult Jana Kochanowskiego.

W poemacie Tassa występują kądziel i wrzeciono (Torkwato Tasso, *Goffred abo Jeruzalem wyzwolona* przekładania Piotra Kochanowskiego, na podstawie pierwodruku, wydał, wstępem i objaśnieniami opatrzył Roman Pollak, Wrocław 1951, wydanie trzecie, całkowite, Wydawnictwo Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, Biblioteka Narodowa nr 4 (stron LI, 697).

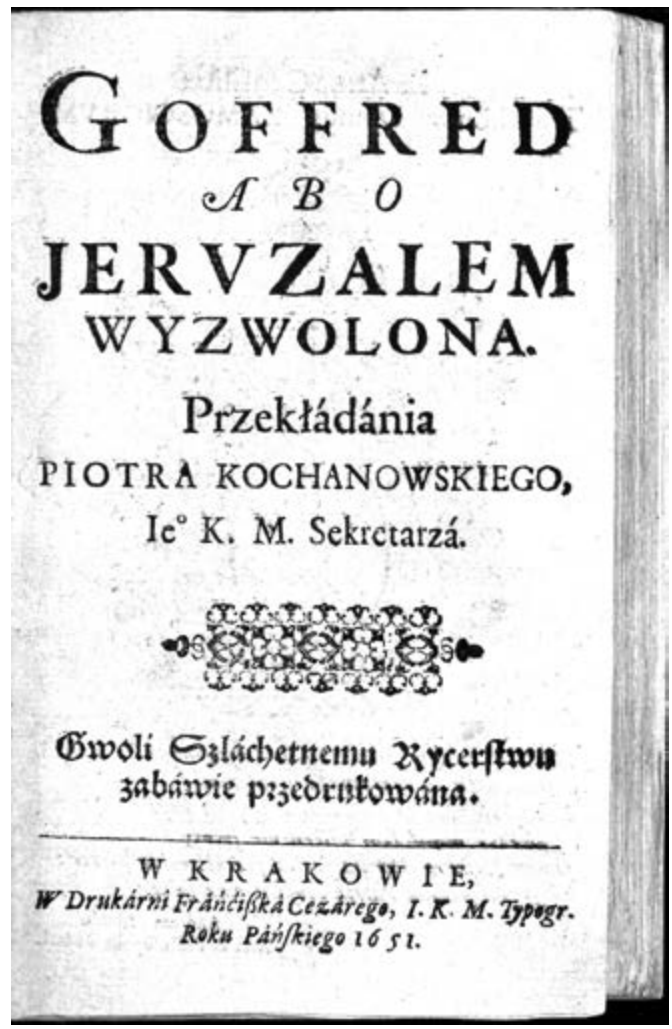
GOFFRED
ABO
JERVZALEM
WYZWOLONA.
Przekładánia
PIOTRA KOCHANOWSKIEGO,
Ie° K. M. Sekretarzá.
Gwoli Szláchetnemu Rycerſtwu
zabáwie przedrukowána.
W KRAKOWIE,
W Drukárni Fráńciſzká Cezárego, I. K. M. Typogr.
Roku Páńſkiego 1651.

Zapewne szczególną okolicznością zainteresowania „Goffredem" była obecność w Puławach rzeźby przedstawiającej parę, jednych z bohaterów „Goffreda", Tankreda i Kloryndę.

Interesujący nas motyw kądzieli i wrzeciona znajduje się w tym poemacie w pieśni dwudziestej, zwrotka 95, na s. 681. Bohaterami tej zwrotki 95 są Odoard i Gildyppa. Przytoczmy tę zwrotkę w całości (s. 680–681):

„Cna bohatyrka tam koń obrociła
Gdzie przed niem z wielkiem lud uciekał strachem,
I natarwszy nań – krwie mu utoczyła
Dosiągszy boku lewego pod blachem.

Poznał ją zaraz po stroju, kto była,
I krzyknie: Anoż pani duszka z gachem!
Twoja rzecz igła, **kądziel i wrzeciono**,
nie wojna, nie bój, nie miecz, dobra żono!"

Tak oto kądziel i wrzeciono, wywiedzione z tekstu biblijnego, mogły z „Goffreda" trafić na kolumnę Pokoju zielonego puławskiego Domu Gotyckiego, poszerzając powyższymi wersami kontekst *Poematu o dzielnej niewieście* z biblijnej *Księgi Przysłów*. W kontekście „Gofreda" puławska inskrypcja na kluczu do Domu Gotyckiego, „Dux femina facti" („białogłowa wodzem chwalebnego czynu") pochodząca z rzymskiej epopei „Aeneis" [„Eneida" Publiusza Wergiliusza Maro (Publius Vergilus Maro 70 r.–15 r. przed Chrystusem), księga I, 363 Zdzisław Żygulski jun., „Dzieje zbiorów puławskich. Świątynia Sybilli. Dom Gotycki" Fundacja Książąt Czartoryskich. Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym, Kraków 2009, s. 133], szczególnie eksponuje i wzbogaca cnoty owej niewiasty, wyrażone w *Księdze Przysłów*.

Inskrypcję na kluczu uwspółcześniła Teresa Grzybkowska w tytule swej książki *Kobieta wodzem chwalebnego czynu. Twórczynie pierwszych polskich muzeów i ogrodów filozoficznych*, Warszawa–Toruń 2018: Instytut Studiów nad Sztuką Świata. Wydawnictwo Tako, s. 212 (il.133).

W kontekście kądzieli i wrzeciona z poematu Tassa nasuwa się jeszcze jeden prawdopodobny problem. Otóż, skoro na kolumnie „kobiecej" były obecne owe rekwizyty kobiecości z „Goffreda", to niewykluczone, że mogły one być obecne wszystkimi trzema rekwizytami wymienionymi w tym poemacie. Mogła tu znaleźć się również igła, choć mogła wystarczyć jej obecność kontekstem literackim z „Goffreda". Wraz z kądzielą i wrzecionem igła tworzyłaby pewną triadę wyrażającą obowiązki domowe kobiety.

Do interpretacji programu ideowego, wyrażonego rekwizytami umieszczonymi na obu kolumnach, można by dodać jeszcze jedno ich znaczenie: otóż do kontekstu cnót literackiej niewiasty może należeć także inskrypcja na kluczu do Domu Gotyckiego: *Białogłowa wodzem chwalebnego czynu*, co reprezentuje również mężność i męstwo, obecnymi rekwizytami na kolumnie „męskiej", co wraz z rekwizytami kobiecości na kolumnie „kobiecej" można by odnieść do owej dzielnej niewiasty z poematu biblijnego i z „Goffreda". Bardzo więc możliwe, że zarówno rekwizyty rycerskie, jak i i rekwizyty kobiecej pracy domowej odnoszą się do owej dzielnej niewiasty, która byłaby tutaj nie tylko „wodzem chwalebnego czynu", ale wodzem **walecznego** czynu, odważną, bojową wojowniczą niewiastą. I zapewne również taki był program przedstawiony na obu kolumnach i na kluczu.

O prawdopodobności powyższej interpretacji świadczą głowy umieszczone nad kolumnami, kobieca i męska,

Prząśniczka—William-Adolphe Bourguereau (1873)

wskazujące, że obecna na kolumnach mężność odnosi się również do kobiety, a niewykluczone, że mogą one reprezentować człowieka jako sumę męskości i kobiecości (rebis).

Takie wielowarstwowe znaczenie symboli jest charakterystyczne dla języka symboliki masońskiej i tak też niewątpliwie funkcjonuje w puławskim Domu Gotyckim. ■

Szczegółowe omówienie symboliki dzieł architektonicznych rezydencji puławskiej w: Kazimierz Parfianowicz, *„Według liczby". Masoński duch symboliki puławskiej kaplicy pałacowej*, Kazimierz Dolny-Puławy 1993: Towarzystwo Przyjaciół M. Kazimierza Dolnego. Towarzystwo Przyjaciół Puław (Dom Gotycki omówiony na s. 22–28

Jan Sęk

Czemierniki – zapomniana stołeczność

W trudnych latach pandemii covid-19 warto było oderwać się czasami od szarej rzeczywistości i powrócić w myślach do minionych lat i stuleci, kiedy wszystko jawiło się treściwiej, a przynajmniej zgoła inaczej. Temu celowi służyły zwłaszcza barwne opowieści o świetlanej przeszłości tej lub innej osady czy miasteczka. W przypadku Ziemi Lubelskiej o palmę pierwszeństwa w tej materii może pokusić się kilka miejscowości, zwłaszcza Czemierniki.

W encyklopedycznym dziele *Miasta małopolskie w średniowieczu i czasach nowożytnych*, wydanym przez profesora Feliksa Kiryka w Krakowie w 2013 roku informacje o Czemiernikach pojawiają się nader często. Taki stan wskazuje na znaczenie miejscowości w historii regionu. Wydana zaś w 2019 r. obszerna monografia *Czemierniki. Dzieje wsi, miasta, osady*, gruntuje wydatnie wiedzę o wielu ważkich a nieznanych szerzej faktach i zdarzeniach zwłaszcza tych, które okryła patyna czasu.

Interesująca nas miejscowość nie ma rzecz jasna tak świetlistego początku jak Grody Czerwieńskie ze stołecznym Czerwieniem czy osiadłe tam plemię Lędzian, których centralny gród można lokować gdzieś w widłach Wisły i Sanu, prawdopodobnie w rejonie Zawichostu. Istotniejsze znaczenie uzyskał później Sandomierz, będący zresztą do 1474 roku siedzibą województwa obejmującego również Lubelszczyznę. Co gorliwsi patrioci tego piastowskiego grodu, lubią przypominać jego stołeczność, o czym zaświadcza zapis w nader wiarygodnej *Kronice* Galla Anonima, który wymienia Sandomierz jako jedną z głównych stolic królestwa, na równi z Krakowem i Wrocławiem. Wedle stawu grobla chciałoby się powiedzieć za naszymi przodkami i zauważyć przy tym, że do podobnej roli pretendowały w swoim czasie Czemierniki. Działo się tak za sprawą króla Zygmunta III Wazy. Taka na pozór obrazoburcza konstatacja byłaby ułomna bez przypomnienia, że władcy Królestwa Polskiego przemieszczali się z dużą częstotliwością wraz z rodziną, dworem i drużyną przyboczną. Panujących do takiego stanu rzeczy obligowały w pierwszym rzędzie obowiązki wynikające z nadzorowania władz lokalnych, konieczności

nadawania tytułów i beneficjów, funkcje sądownicze i rozjemcze, oraz uczestnictwa w zjazdach możnowładców i szlachty. Kancelarie króla i książąt dzielnicowych dokumentowały przy tych okazjach podejmowane decyzje, łącznie z drobiazgowym ustalaniem ilości dni targowych w roku oraz wysokość opłat na komorach celnych.

Upraszczając nieco wywody możemy przyjąć, że stołeczność powiązana była w tamtych czasach, z aktualnym i zarazem wydłużonym pobytem władcy w tej czy innej miejscowości. Tam gdzie zdecydował się on pozostawać dłużej, a towarzyszyła mu żona i dzieci, świta dostojników świeckich i duchownych wraz z nieodłączną kompanią dragonów, tam była wówczas i stolica.

Ta uwaga jest o tyle istotna, by klarowniej odróżnić sytuację, gdy władca zatrzymywał się na krótki popas w podróży, polowanie czy sejmik lokalny. Takie pobyty, nawet cykliczne traktować należy jako li tylko epizody

w życiu monarchy. Klasycznym przykładem jest tutaj Władysław Jagiełło, wyjątkowo mobilny w swych wędrówkach po ziemiach Królestwa Polskiego. Lubił polować w Puszczy Kozienickiej, świętować Wielkanoc w Kaliszu, zaś w Sandomierzu we wrześniu czcić Święto Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. Starał się ponadto w listopadzie odwiedzać Niepołomice, by uczestniczyć w uroczystościach ku czci św. Marcina. Mamy również informacje o jego pobytach w Poznaniu, Gnieźnie, Sieradzu, Wieluniu, Opatowie, Nowym Korczynie, Przemyślu czy Lwowie. Wyjątkowo często będąc w objazdach gościł także w Lublinie, skąd *via regia* udawał się poprzez Brześć w strony rodzinne w Wielkim Księstwie Litewskim.

Kolejnych monarchów do dłuższych pobytów poza Krakowem i Wilnem mobilizowały też kwestie aprowizacyjne i higieniczne. Wyżywienie i kwaterowanie w dłuższym przedziale czasowym kilkudziesięciu lub nawet kilkuset osób było logistycznie skomplikowane. Trzeba było również stale troszczyć się o dostateczną ilość paszy dla koni.

Jeszcze dobitniej dawały się we znaki kłopoty związane z usytuowaniem i opróżnianiem latryn i dołów kloacznych. Nieprzyjemne zapachy z nich, wręcz odory, przymuszały panujących do cyklicznych odwiedzin kolejnych grodów. Powyższe pozwalało uniknąć niejednokrotnie chorób i ich tragicznych następstw w postaci epidemii.

Plagi tego typu występowały w całej Europie z dużą częstotliwością. Na ziemiach polskich powtarzały się regularnie w odstępach 2–3 lat. Na szczęście w przypadku Rzeczypospolitej przy jej powierzchni i stosunkowo słabym zaludnieniu przebieg kolejnych fal zarazy nie przybierał nigdy charakteru pandemii.

Strach przed śmiercią był jednak zjawiskiem powszechnym. Nawet ze średniej wielkości miast mieszczanie uciekali na miejsca odludne i w rejony dużych ostępów leśnych.

Ten wymiar dziejów, obecnie przedmiot zainteresowań bardziej specjalistów od nauk medycznych niż humanistycznych, nie zaistniał nigdy dobitnie w świadomości kolejnych pokoleń rodaków w rzeczywistej skali. Tymczasem nasi przodkowie przez kilka stuleci, aż do XVIII wieku modlili się niezmiennie, by Stwórca oszczędził im doświadczeń związanych z tzw. morowym powietrzem.

Stołeczny Kraków jako siedziba władcy, dworu, urzędów centralnych państwa, licznego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, nader często stawał się ofiarą masowych chorób. Wyrazem strachu przed ich następstwami były zbiorowe modły i procesje pokutne. W 1595 roku w Krakowie z inicjatywy miejscowego biskupa zawiązało się nawet kościelne Arcybractwo Męki Pańskiej, potocznie określane również mianem Bractwa Dobrej Śmierci. Na dodatek w tym samym czasie pożar unicestwił też kilka budynków na Wawelu.

Poczucie zagrożenia nie było więc obce i królowi Zygmuntowi III Wazie. Troska o życie własne i najbliższych była jednym z istotniejszych powodów o podjęciu w 1596 roku decyzji o stopniowych przenosinach stolicy do Warszawy. W literaturze przedmiotu akcentuje się tutaj często jako najistotniejszy fakt, konieczność ulokowania stolicy bardziej w centrum kraju, oraz jej przybliżenie do terenów będących we władaniu Szwecji. Król aspirował bowiem stale do kontrolowania i tego państwa.

Lęk przed śmiercią jeśli nawet nie był decydującym argumentem za przenosinami stolicy do Warszawy, to z całą pewnością poważnie brany był pod uwagę. Zachodzić może pytanie dlaczego więc Zygmunt III Waza pozostawiając Kraków jako siedzibę sejmu, sam tak nieśpiesznie do niej zdążał. Dość powiedzieć, że ta *de facto* stała się stolicą dopiero w 1609 roku, a cały dwór pojawił się tam dopiero dwa lata później. Procesu tego nie sankcjonowały zresztą formalnie żadne uchwały sejmowe, czyli stołeczność była w dalszym ciągu ściśle powiązana z godnością majestatu królewskiego.

Te powolne zabiegi przenoszenia stolicy na Mazowsze wyjaśniają w sposób oczywisty przekazy źródłowe z tamtej epoki. Otóż w tamtym przedziale czasowym, poczynając od 1600 roku przez 30 lat Warszawę nawiedzały aż 14 razy fale złowrogiego morowego powietrza. Wyjątkowo zaś duża śmiertelność towarzyszyła im w 1623 i 1624 roku[1].

Trzeba w tym miejscu dobitnie podkreślić, że wędrówki naczelnych władz kraju z powodu pandemii i pożarów nie były czymś nadzwyczajnym. W latach 1588–1592 kiedy ziemie Rzeczpospolitej dotknęła zaraza, Zygmunt III Waza szukał przed nią ratunku kolejno w Sandomierzu, Lublinie, Warszawie i Piotrkowie. Nigdzie nie było zbyt bezpiecznie. Na dodatek kolejne pośpieszne przemieszczania z nader liczną asystą poczynając od dostojników państwowych a na gwardii przybocznej kończąc, stawały się każdorazowo nader uciążliwe. Nie wolno zapominać, że tym wędrówkom ludzi towarzyszyły jeszcze tabory. Transportowano bowiem dokumenty i pieczęcie, stroje, zastawę kuchenną, meble, oraz uzbrojenie straży, poczynając od muszkietów a na nieporęcznych glewiach kończąc. Mimo to, kiedy morowe powietrze zaczęło w 2 ćwierćwieczu XVII wieku znów dziesiątkować ludność dużych miast, król zdecydował się opuścić Kraków.

Otoczone przepastnymi borami Czemierniki wraz ze swym położeniem blisko centrum kraju, co poniekąd ułatwiało komunikację przede wszystkim z Litwą, jawiły się jako miejsce idealne na dłuższy pobyt króla i jego dworu.

1 *Dzieje Warszawy,* Warszawa 1984, T.II, s. 578–582.

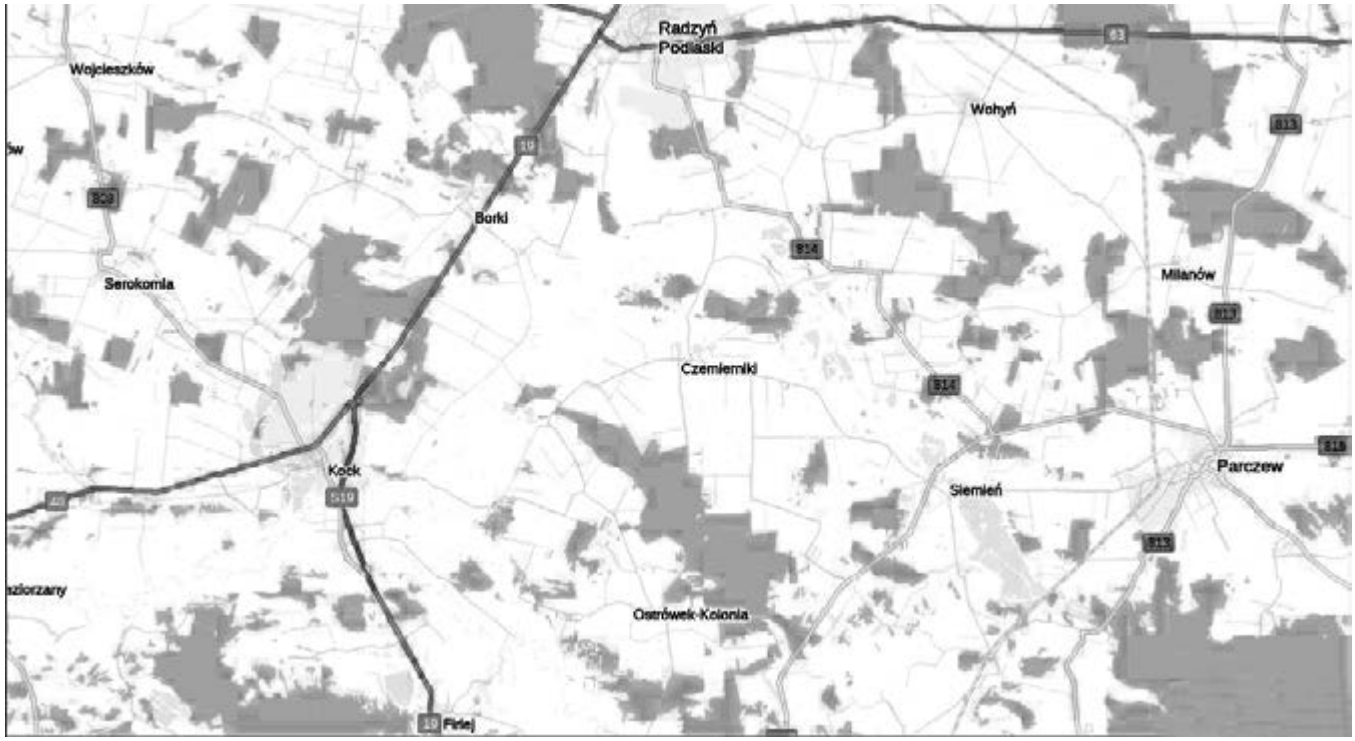

Okolice te były znane Zygmuntowi III Wazie z autopsji, ponieważ już wcześniej bywał w Lublinie i Ziemi Lubelskiej. Ponadto króla łączyły serdeczne więzi z ówczesnym właścicielem Czemiernik prymasem Polski księdzem Henrykiem Firlejem. Ten dostojnik kościelny w latach 1603–1612 rozbudował i dodatkowo uposażył miejscową parafię i kościół pw. Św. Stanisława patrona Polski. Dodatkowo sprowadził do opieki nad miejscem kultu kilku jezuitów z zakonu wyjątkowo cenionego na dworze królewskim.

Jeszcze istotniejsze znaczenie miały liczne pomieszczenia mieszkalne dla przyjezdnych i służby oraz okazały park i rozległe stawy rybne. Ponadto w obrębie murów obronnych – gwarantujących względne bezpieczeństwo – zdobił rezydencję ogród pełen kwiatów i krzewów ozdobnych, którym opiekowali się ogrodnicy sprowadzeni w tym celu aż z Flandrii. Współcześni – zapewne nie tylko przez grzeczność – uważali ten fragment posiadłości Henryka Firleja za najbardziej uroczy w całej Rzeczpospolitej.

Nic więc dziwnego, że król ochoczo skorzystał z zaproszenia prymasa i przebywał w Czemiernikach od października 1625 do stycznia 1626 roku, czyli około 70 dni. Towarzyszyła mu najbliższa rodzina (małżonka Konstancja i dzieci) a także przedstawiciele episkopatu, w tym regent kancelarii Józef Lipski (późniejszy arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski), hetmani wraz z pocztami wojów. Można śmiało założyć, że do posiadłości arcybiskupa Henryka Firleja przyjechało przeszło100 osób.

Przyjąć więc należy, że mały gródek w województwie lubelskim stał się na pewien czas realną stolicą Rzeczpospolitej i zarazem najbezpieczniejszym w niej miejscem. Pamiętać bowiem trzeba, że Król był osobą wyjątkowo wyczuloną w kwestii troski o swoje zdrowie. Z pewnością przedłużyłby swój pobyt w Czemiernikach, gdyby zaraza nie zaczęła ustępować.

Nie popuszczając nadmiernie cugli fantazji, zauważyć jednak trzeba, iż w przeciwnym wypadku stołeczność Czemiernik byłaby dłuższa, a ostateczne instalowanie się dworu królewskiego w Warszawie jeszcze bardziej odległe w czasie.

– Dzisiaj o tym nietuzinkowym wydarzeniu w dziejach miasteczka położonego w pradolinie rzeki Wieprz i zlewisk strumienia Tyśmienica przypominają – naznaczone zębem czasu artefakty i dokumenty w kilku archiwach. Dla miłośników zaś regionalnego dziedzictwa to swoisty powód do dumy.

Kończąc trzeba jeszcze dopowiedzieć, że wpływowy ród Firlejów i ich dobra familijne w postaci Czemiernik, pozostawały stale we wdzięcznej pamięci władców z dynastii Wazów. Król Jan II Kazimierz, syn Zygmunta III jeszcze w 1665 roku sygnował w Warszawie dokument przyznający miastu prawo organizowania dwóch jarmarków, na św. Jana Chrzciciela i na św. Andrzeja Apostoła[2]. Były to terminy nader korzystne do pozyskiwania kupców nawet z odległych rejonów Rzeczpospolitej.

Jan Sęk

2 Por. Ex thesauro, Skarby Biblioteki Uniwersytetu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2019, str. 82, 83.

Zbigniew Włodzimierski

Wyroki i fundacje z Czemiernik

Ksiądz Leon Kaszowski, wikary parafii czemiernickiej, w połowie XIX stulecia odkrył na plebanii wiekową skrzynię wypełnioną po brzegi starymi, pożółkłymi papierami. Były to dokumenty miejskie, kilkuwiekowe, zapomniane już i nikomu niepotrzebne. Przewertował je również Władysław Kornel Zieliński, literat zainteresowany przeszłością regionu, autor przewodnika po Lublinie.

Rozbawiła go dawana sądowa stylistyka, ale zadumał się nad obyczajami, moralnością, surowymi wyrokami. Cóż, nie brakowało wśród obywateli czemiernickich podpalaczy, gwałcicieli, nożowników, złodziei i rozbójników. Nie myślano o ich resocjalizacji. Szybko trafiali w ręce kata. Zieliński wynotował kilka wyroków śmierci, krótkie opisy opublikował w „Gazecie Lubelskiej" z roku 1877. W numerach 97 – 100 czytamy : „W roku 1604 Jan Soczewka z Budzisk poddany imć pana Wojciecha Sobieskiego za kradzież konia i wołu na śmierć szubieniczną skazany został".

W roku1634 Anna Kowerska, zostając – jak zapisano w siedemnastowiecznym protokole – w służbie u p. Branickiej w Siemieniu ukradła ze szkatułki 30 czerwonych złotych. W Czemiernikach oddała je niejakiemu Wojciechowi Kotowi. Ten nie cieszył się długo czerwońcami, niebawem osadzony został w więzieniu, a poddany torturom nie ukrywał do kogo należą pieniądze. Z kolei Kowerska wzięta na tortury i „na tychże po trzykroć wyciągnięta oraz podsycana ogniem" przyznała, jak weszła w posiadanie czerwonych, „przeto oddana została mistrzowi na śmierć".

W roku 1639 Stanisław Sagan, spaliwszy gumno p. Maciejowi Wysockiemu wójtowi czemierzkiemu (nie czemiernickiemu a czemierzkiemu), poddany mistrzowi na tortury, po których przyznał się do zbrodni. Nie wyszczególniono, jakim to torturom został poddany. Mistrz wycisnął z podpalacza prawdę. Przyznanie się do winy nie złagodziło kary. Urząd wydał dekret skazujący Sagana na spalenie.

Rok później, na wiosnę, sensację wywołała sprawa ze wsi Dębica. „Wójt czemierzki z dwoma ławnikami i rajcą

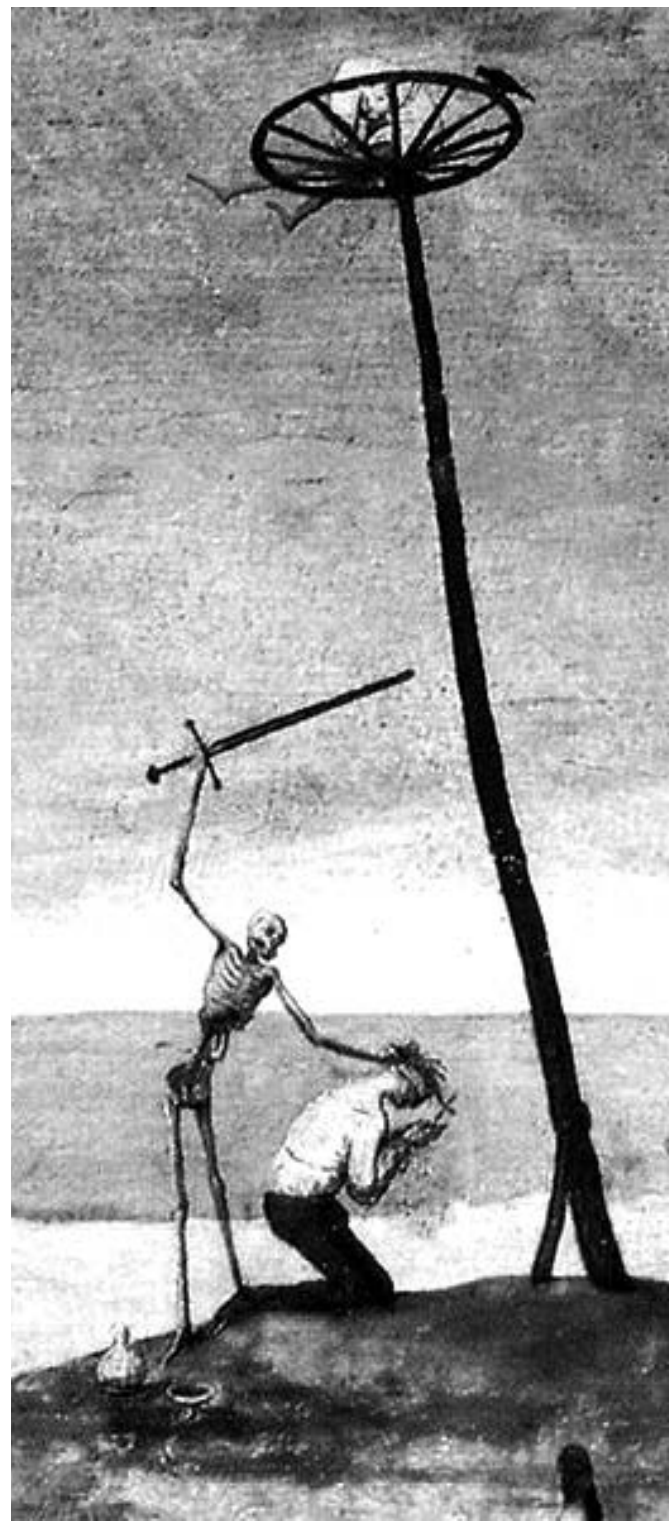

Egzekucja czarownicy w XVII stuleciu. Francja

wydali dekret na Grzegorza Skibiaka, u którego znaleziono dziecię zamordowane i zakopane w komorze, a spłodzone z Grzegorza i jego pasierbicy, skazujący go na ścięcie, lubo powinien sroższą ponieść karę to jest ogniem być skazany".

Z wyroku sądu na szubienicę czemiernicką, czy jak wówczas powiadano: czemierzką, trafiali: Wojciech Grochowiak, Jan Mazur oraz Jakub Sadło za drobne – jak się dzisiaj wydaje – kradzieże, bo jeden ukradł worek zboża, drugi zaś narzędzia. Także w tamtym roku Maciej Marek i Jan Stocki za rozboje „na gardle mieli być karani".

O dawnych przestępcach zapomniano. Bywało, że gwałciciele, podpalacze, rabusie zostali przeklęci, klątwy miały swoją moc, złoczyńcy sczeźli gdzieś pod płotem, ale bywało, że niektórzy trafiali do lokalnej legendy. Jan Stocki, o którym w osiemnastowiecznym dokumencie odnotowano jedynie, iż „na gardle karany być powinien", znany jest do dzisiaj niektórym ludowym bajarzom rozpala wyobraźnię. Pochodził z szaraczkowej, zaściankowej szlachty, był najmłodszym z sześciu braci, starsi podzielili się ojcowską schedą, dla Jana nic nie zostało. Trafił na dwór do Mniszków, smalił cholewki do córki magnata. Mniszkom taki kandydat na zięcia nie odpowiadał, został więc przepędzony ze dworu, nawet poszczuto go psami. Schronił się w lesie, zebrał kompanię, niezbyt liczną lecz silną i nachodził z nią okoliczne dwory. Zrabowane dobra dzielił między biednych. Cóż, trafiali się tacy wśród ludzi Stockiego, którym wspieranie biedaków wcale się nie podobało. Ci – wcześniej czy później – porzucali kompanię. W końcu został tylko ze swoim adiutantem. Nikt już nie pamięta imienia kamrata Stockiego. Może był to właśnie Maciej Marek? I tak działali we dwójkę lat kilkanaście, a może kilkadziesiąt. Do późnej starości. Pochwycono ich jako starców. I wtedy skazano.

I jeszcze jeden wyrok wynotowany przez Zielińskiego

„W roku 1701 sąd czemiernicki (już nie czemierzki – do. ZWF) wezwany przez J. Panią Niemyską, podsędkową lubelską, do swej wsi dziedzicznej Suchowoli wydał wyrok skazujący Wojciecha Ciechanowskiego młynarza bramczyńskiego i syna jego Krzysztofa oraz brata jego stryjecznego za różne kradzieże, łupiestwo, wydarcia pszczół na powieszenie".

*

Kilka słów przypomnienia, wyjaśnienia.

Kat – zwany mistrzem – sam ścinał skazańca, sam też podpalał stos. Jego czeladnicy: butel i hycel dopełniali reszty czynności. Czytamy to o Brucknera. Kat spieniężał również odzież skazańca, która – w myśl prawa – jemu przypadała w udziale. Najdrożej sprzedał sznur wisielca przynoszący ponoć szczęście. W okolicach Czemiernik sprzedaż wisielczego sznura była niemałym wydarzeniem. Pocięty na kawałki znajdował wielu nabywców, wieszano je z reguły na wewnętrznej stronie drzwi. W niektórych obejściach strzępy wisielczych sznurów oglądano jeszcze przed pierwszą wojną światową.

*

W Czemiernikach nie brakowało jednak ludzi bogobojnych, miłujących Boga i bliźnich. Głoszę te słowa po lekturze fragmentów pewnej starej księgi, którą wydobyto z wiekowej skrzyni znalezionej na strychu jednego z warszawskich zakonów. Odkrycia dokonano w roku 2001. Księga trafiła do lubelskiej biblioteki KUL, a skrywała akta sądu grodzkiego w Czemiernikach z lat 1638–1695. Wśród zapisków czynionych rękoma wprawnych skrybów znalazł się fragmencik sporządzony ręką proboszcza ks. Mikołaja Bielickiego. Odnotował, że w Czemiernikach szczególną cześć oddawano świętej Barbarze, działało tu bractwo świętej Barbary, którego fundatorem był szlachcic Jan Puzdrowski. Fundator wystawił w kościele czemiernickim ołtarz patronki i wyjednał w Stolicy Apostolskiej odpusty dla Bractwa. Wśród licznych zasług Jana Puzdrowskiego ks. Bielicki wymienia wydanie własnym nakładem modlitewnika św. Barbary i „nieodpłatne rozdanie 200 egzemplarzy tego dzieła ludziom różnych stanów"!

Zbigniew Włodzimierski

Halina
Ewa
Olszewska

Na katyńskich pomnikach i w pamięci

– Wielkanoc wiosną 1939 roku, po raz ostatni świętowaliśmy razem z ojcem. Jesienią zabrała go wojna i już nigdy nie wrócił. Po wielu latach poszukiwań jego nazwisko odnalazłam na listach katyńskich – ze łzami w oczach mówiła Jolanta Godzińska z Biłgoraja. W tym mieście na cmentarzu przy ul. Lubelskiej znajduje się pomnik – krzyż poświęcony ofiarom Katynia. Co roku w kwietniu, lokalne władze i mieszkańcy spotykają się tam, składają kwiaty i modlą się w intencji ofiar Katynia i Smoleńska.

We wrześniu 1939 roku, na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow zawartego 23 sierpnia 1939 r. między Niemcami i ZSRR, Polska została zaatakowana z dwóch stron. 1 września przez Niemcy hitlerowskie od zachodu, a 17 września przez ZSRR. Wówczas sowieci rozbroili i zaaresztowali wiele tysięcy polskich oficerów i wielu innych polskich obywateli, głównie ze środowisk polskiej inteligencji. Osadzili ich w obozach m.in. w Katyniu, Charkowie, Starobielsku, Miednoje, Kozielsku, Ostaszkowie. Na rozkaz stalinowskich władz, funkcjonariusze NKWD rozstrzelali blisko 22 tysiące polskich jeńców, w większości wojskowych, policjantów i innych służb mundurowych. Zabijano ich strzałem w tył głowy. Wg dotychczasowych ustaleń historycznych egzekucje trwały do maja1940 r. Prawda o tzw. Zbrodni Katyńskiej oficjalnie została ujawniona przez Niemcy 13 kwietnia 1943 r. po odkryciu w okolicach Katynia masowych grobów polskich oficerów. Władze ZSRR jednak przez kilkadziesiąt lat zaprzeczały swojej odpowiedzialności za to ludobójstwo. Dopiero 13 kwietnia 1990 r. oficjalnie ogłosiły, że była to „jedna z cięższych zbrodni stalinizmu". Dwa lata później w okresie tzw. „pierestrojki" Borys Jelcyn, ówczesny prezydent Federacji Rosyjskiej przeprosił za tę zbrodnię. Wtedy też udostępniono wiele skopiowanych dokumentów o ofiarach, otwarto masowe groby. Wg historyków jeszcze wiele spraw katyńskich wymaga wyjaśnienia.

Pod koniec XX wieku, udało mi się dotrzeć do kilkorga mieszkańców Biłgoraja i okolic, których ojcowie wówczas zostali zamordowani. Zginęli jak tysiące innych Polaków zgładzonych w Katyniu, Kozielsku, Charkowie, Ostaszkowie, Starobielsku, Twerze, Miednoje…

Czas nie zatarł pamięci, rodziny ofiar ze wzruszeniem dzieliły się ze mną wspomnieniami o ostatnim pożegnaniu, osieroconym dzieciństwie i wielkiej nadziei, jaka im towarzyszyła bardzo długo.

– Miałam czternaście lat, kiedy widziałam ojca po raz ostatni – opowiadała mi Jolanta Godzińska o majorze Władysławie Wolaninie, ur. w 1897 r. w Lubaczowie. – Był dla mnie wzorem, cudownym ojcem i mężem dla mojej matki. Dbał o moją edukację i już w wieku pięciu lat uczyłam się języków obcych. Sam był wykształcony, ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu we Lwowie. Jako bardzo młody człowiek brał udział w I wojnie światowej, w wojnie polsko-bolszewickiej, walczył w armii Hallera. Od 1920 roku pracował w sądownictwie wojskowym, na początku w Wilnie, potem wiele lat mieszkaliśmy w Warszawie, a w 1937 roku ojca przeniesiono na stanowisko wiceprokuratora Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Grudziądzu. Tam zamieszkaliśmy. Pamiętam, że 24 sierpnia 1939 roku ojciec kazał nam się szybko spakować i wyjechać do kuzynów, bo jest „cicha" mobilizacja. Uściskaliśmy się, nie przypuszczałam, że to ostatnie pożegnanie. Z mamą najpierw zatrzymałyśmy się u wuja w Warszawie, potem pojechałyśmy do kuzynów do Lidy. Tam, pod koniec września, przekazano nam wiadomość od ojca. Pisał on: „Jestem internowany w ZSRR". Major Wolanin podał tę karteczkę przez zakratowane okienko bydlęcego wagonu na stacji w Kowlu. Tym pociągiem sowieci wieźli polskich oficerów do obozów internowania. Ktoś życzliwy zaryzykował i dyskretnie wziął kartkę od majora Wolanina i przekazał pod podany adres jego rodzinie. Potem jego bliscy otrzymali jeszcze dwie kartki ze Starobielska.

> „– Ojciec informował nas, że jest w obozie w Starobielsku i dziwił się, dlaczego do niego nie pisujemy. „Co się stało, dlaczego nie piszecie? – dopytywał się w liście. Widocznie już wcześniej do nas pisał, ale korespondencja ginęła. A potem zapadło milczenie".

Pani Jolanta wraz z matką, pełne nadziei czekały na powrót majora. Po wojnie szukały go przez wiele lat, jakiejkolwiek wiadomości o nim. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku, pani Jolanta odnalazła →

nazwisko i dane swojego ojca na „Liście katyńskiej" w piśmie „Zorza". Został zamordowany w Charkowie w 1940 r. Miał wtedy 45 lat.

Roman Rozwadowski, ur. w 1893 r. w Dołhobyczowie. W czasie I wojny światowej walczył w I wojnie światowej w I Korpusie Polskim 1 komp. 7 Pułku. Po wojnie został policjantem. Tuż przed II wojną światową pracował na stanowisku posterunkowego Miejskiego Posterunku Policji Państwowej w Biłgoraju. We wrześniu 1939 r. został wcielony do zmilitaryzowanych oddziałów. Prawdopodobnie został wzięty do niewoli przez armię sowiecką w okolicach Tomaszowa Lubelskiego. W Biłgoraju została jego żona z czwórką dzieci.

„Byłam dziewięcioletnią dziewczynką, gdy tatuś się z nami żegnał. Mówił do mamusi: «źle jest, sytuacja bardzo niebezpieczna». Później czekaliśmy na niego, niestety nie było żadnej wiadomości. Nadzieje z czasem słabły, mijały lata i nadal nie odnaleźliśmy żadnego śladu. Wtedy pojawiły się przypuszczenia, że może to Katyń. Nieoficjalnie krążyły wieści o tych zbrodniach już w czasie okupacji" – opowiadała mi Teresa Rozwadowska. Pod koniec XX wieku Stowarzyszenie „Rodzina Katyńska" przysłało jej informację, że Roman Rozwadowski był więźniem obozu w Ostaszkowie i prawdopodobnie 27 kwietnia 1940 r. jest datą jego śmierci. Pochowany w masowym grobie w Miednoje. Pani Teresa pełna łez pokazała mi zdjęcie. Na szarej fotografii młody mężczyzna i dziewczynka z jasnymi warkoczami trzymają się za ręce. „To mój tatuś i ja"– wyszeptała.

Znany i ceniony w Biłgoraju lekarz Bogdan Szczypa, opowiedział mi o swoim ojcu Edwardzie Szczypie, ur. w 1901 r. w Milowicach. W czasie I wojny światowej walczył w szeregach WP. Był porucznikiem Korpusu Ochrony Pogranicza, kiedy zaczęła się II wojna światowa. Wtedy mieszkał wraz z rodziną w Rokitnie, w powiecie Sarny, 10 kilometrów od ówczesnej granicy z ZSRR. W mundurze oficera KOP po raz ostatni widzieli go synowie, kiedy się z nimi żegnał we wrześniu 1939 roku.

–„Miałem osiem lat, a brat 7, kiedy ojciec wyjeżdżał. Wpadł do domu na chwilę i dał matce pobory za trzy miesiące, uściskał nas i wyszedł. Pamiętam to był słoneczny dzień 17 września, kiedy to wycofywały się nasze wojska i wkraczała armia sowiecka. Pędzili jeńców bez butów. Uciekliśmy z Rokitna do Łucka. Tak zaczęła się nasza wojenna tułaczka, zakończona w Warszawie. Cudem ocaleliśmy. Od ojca otrzymaliśmy jeden list w styczniu 1940 roku z Ostaszkowa. Uspokajał nas, że jest zdrowy, podtrzymywał mamę na duchu. Obaj z bratem zawsze byliśmy dumni z sukcesów strzeleckich ojca. W domu w Rokitnie pełno było jego dyplomów. Czekaliśmy na niego, tęskniliśmy, a on nie wracał. Łudziliśmy się, że może walczył w Armii Andersa i któregoś dnia wróci z Zachodu. Po latach otrzymaliśmy informację od Rodziny Katyńskiej, że porucznik KOP Edward Szczypa przebywał w obozie jeńców wojennych w Ostaszkowie i prawdopodobnie 18 kwietnia 1940 r. jest datą jego śmierci w Twerze, tam go zamordowano. Pochowany w Miednoje".

Pod koniec naszej rozmowy Bogdan Szczypa poczuł się źle, zapraszał na kolejne spotkanie za kilka miesięcy „Przepraszam, na dziś za dużo wzruszeń, a jeszcze mam pani wiele do opowiedzenia. Umówimy się za jakiś czas, jak tylko wrócę ze szpitala w Lublinie. Moje zdrowie szwankuje, w ogóle wymagam remontu" – żartował. Kilka dni później dowiedziałam się, że doznał udaru. Długo był nieprzytomny, nigdy nie odzyskał sprawności. Ostatnie miesiące życia spędził pod opieką kadry medycznej na oddziale szpitala w Biłgoraju, gdzie przez wiele lat był ordynatorem.

Władysław Błaszczyk był śledczym policji kryminalnej. Urodził się w Łodzi w 1906 roku. W 1931 roku ukończył Śledczą Szkołę Fachową. W swoim zawodzie pracował m.in. w Łukowej, potem w Biłgoraju a także w Zamościu i Sokołowie Podlaskim. Z Sokołowa zabrano go na front wschodni i wszelki ślad po nim zaginął. Nie zapamiętał go syn Daniel Błaszczyk, ponieważ miał zaledwie dwa i pół roku gdy zaczęła się wojna. W starym albumie ze zdjęciami ojciec nosił go na rękach.

„– Mama opowiadała mi, że przez dłuższy czas chorowałem z tęsknoty za ojcem. Na pożegnanie powiedział do niej «pilnuj dziecka», to były jego ostatnie słowa. Matka, w czasie wojny razem ze mną przyjechała do Biłgoraja, swojego miasta rodzinnego. Wojna się skończyła, a ojciec wciąż nie wracał. Ona nigdy nie mogła się pogodzić ze stratą miłości swojego życia. Przypuszczała, że ojciec pewnie nie żyje. Nie chciała się z nikim wiązać. Poszukiwaliśmy go wielokrotnie we wszelki możliwy sposób zanim dotarła do nas wiadomość, że widziano go w Ostaszkowie. Ze wspomnień matki wiem, że był dobrym, spokojnym człowiekiem".

Pan Daniel z goryczą wspominał czas, gdy niektórzy działacze minionego systemu politycznego PRL traktowali go w przykry sposób, bo był synem przedwojennego policjanta.

O porucznika Edmunda Serokę spytałam jego bratanice z Tarnogrodu, Danutę Wancisiewicz i Michalinę Kraczkiewicz.

„Stryj urodził się tutaj, w Tarnogrodzie w 1905 roku. Był w stopniu podporucznika artylerii, gdy

Pomnik w Katyniu

w sierpniu 1939 roku otrzymał kartę mobilizacyjną i z wojny nie wrócił. Po latach okazało się, że Sowieci trzymali go w obozie w Kozielsku". Z książki „Mord w Katyniu" dowiedzieliśmy się, że podczas ekshumacji znaleziono przy zwłokach dokumenty naszego stryja: wojskowe prawo jazdy, odznakę, legitymację, kartę mobilizacyjną".

Nazwisko podporucznika Seroki umieszczono na tablicy katyńskiej, jaka została odsłonięta w Tarnogrodzie w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku.

Na tej tablicy jest również zapisany Feliks Radomski. Jego syn Jan Radomski, mieszkający w Tarnogrodzie tak o nim powiedział:

„Ojciec urodził się w 1899 roku w Końskowoli. Jako ochotnik walczył w I wojnie światowej, w szeregach 9 zamojskiego Pułku Piechoty. Potem wstąpił do policji. W 1939 roku był starszym posterunkowym w Częstochowie. Miał nas troje dzieci. W czasie mobilizacji pożegnał się z nami i już nie zobaczyliśmy go nigdy więcej. Dopiero kilkanaście lat temu w książce o Katyniu, wydanej w wersji rosyjskiej odnaleźliśmy jego dane, że był w Ostaszkowie i na liście pomordowanych. Potem to się potwierdziło, kiedy już władze ZSRR na początku lat dziewięćdziesiątych przekazały listy katyńskie prezydentowi RP".

Na tarnogrodzkiej tablicy katyńskiej znajdują się też nazwiska: Arkadiusza Kuźmińskiego i majora Kazimierza Kraczkiewicza. Ich rodzin już dawno nie ma. Z materiałów archiwalnych wynika, że Arkadiusz Kuźmiński ur. w 1907 r. został w 1940 r. zabity w Lesie Katyńskim koło Smoleńska. Kazimierz Kraczkiewicz, ur. w 1894r. major lotnictwa WP, zamordowany w Katyniu w 1940 r.

W Biłgoraju, oprócz nazwisk ofiar umieszczonych przy Krzyżu Katyńskim (tj. Władysława Wolanina, Romana Rozwadowskiego, Bogdana Szczypy i Władysława Błaszczyka), których rodziny, wnuki, prawnuki bądź kuzyni nadal w tym mieście mieszkają, jest też wykaz wielu innych ofiar Zbrodni Katyńskiej, którzy niegdyś byli związani z ziemią biłgorajską. Na tej liście: Sławomir Nowakowski, harcerz, nauczyciel z Biłgoraja, Stanisław Sobieszczański, policjant z Puszczy Solskiej, Czesław Bagiński, podporucznik lotnictwa, Tadeusz Niezabitowski, porucznik artylerii, Kazimierz Dudziec, policjant z Goraja, Mieczyslaw Zarzycki, funkcjonariusz policji z pobliskiego Krzeszowa (miejscowości dawniej należącej do powiatu biłgorajskiego), Józef Brygier, posterunkowy policji w Biłgoraju, Jan Puch, funkcjonariusz policji, Jan Sobczak, policjant urodzony w Józefowie. Niewykluczone, że w Katyniu zginęły także inne osoby z tego terenu, uznane za zaginionych w czasie II wojny światowej.

Gdyby nie Zbrodnia Katyńska nie byłoby dziewięćdziesięciu sześciu ofiar Smoleńska, którzy wiosną 2010 r. stracili życie wraz z prezydentem Lechem Kaczyńskim i jego żoną, Marią Kaczyńską podczas lotu na uroczystość pamięci o polskich ofiarach z okazji siedemdziesiątej rocznicy ludobójstwa w Katyniu i innych sowieckich obozach. Św. Jan Paweł II nazwał zbrodnie katyńskie Golgotą Wschodu.

HALINA EWA OLSZEWSKA

Zbigniew Herbert

Guziki

(*Pamięci kapitana Edwarda Herberta*)

Tylko guziki nieugięte
przetrwały śmierć świadkowie zbrodni
z głębin wychodzą na powierzchnię
jedyny pomnik na ich grobie

są aby świadczyć Bóg policzy
i ulituje się nad nimi
lecz jak zmartwychwstać mają ciałem
kiedy są lepką cząstką ziemi

przeleciał ptak przepływa obłok
upada liść kiełkuje ślaz
i cisza jest na wysokościach
i dymi mgłą katyński las

tylko guziki nieugięte
potężny głos zamilkłych chórów
tylko guziki nieugięte
guziki z płaszczy i mundurów

Stanisław Żurek

Groby Katynia 1943

wiosną pękają groby Katynia
z ziemi tysiąc za tysiącem

jeden po drugim wychodzą
zabici polscy oficerowie

wyłaniają się z mroków zbrodni
na światło oczu świata pokazują

małe otwory w potylicy
wyjmują kule z czaszek wyciągają

do nieba powiązane drutem ręce
w milczeniu tłumiąc ból

stają do apelu w zwartych
długich szeregach wiernej służby

do końca warstwa na warstwie
ale świat nie chce przyjąć

tego raportu psuje mu obraz
malowanego porządku wpycha

z powrotem w doły śmierci
pospiesznie zadeptuje ślady

umywa ręce by uścisnąć dłoń
kata szykując razem zdradę

bezradnie klęczała
moja Ojczyzna Mała

Jan Twardowski

Bez kaplicy

jest taka Matka Boska
co nie ma kaplicy
na jednym miejscu pozostać nie umie

przeszła przez Katyń
chodzi po rozpaczy
spotyka niewierzących
nie płacze
rozumie

Kazimiera Iłłakowiczówna

Matka Boska Katyńska

Nad Katyńskim lasem –
miesiąc, nad Katyńskim piaskiem szelest,
Zeszła tam Pani Niebios, ściśle się ku niej ziele,
Piołuny gną liście srebrne całe,
Żeby po nich stąpała.

Przystanęła cała w świetle, rozpostarła
płaszcza połę,
Nabiera do niej piasku z Katyńskiego
krwawego dołu,
Nabiera go płynnego jak srebro,
Żeby go zabrać do Nieba.
Pyta się Jej księżyc biały, na co Jej
ten piasek krwawy?
Mówi mu Pani Niebios: „Uleczę nim świat cały
Miłość poległa w bitwach:
Potrzebna wielka Relikwia".

Halina Ewa Olszewska

W odkrytej ziemi

Strzępy dokumentów, cygarnice, kawałki różańca,
zdjęcia w kolorach sepii, żołnierskie guziki,
zaśniedziałe medaliki… czaszki z dziurą w głowie.
Strzelano im w potylice.
Katyńska szkatuła dopełniła się w 70. rocznicę
smoleńskimi pamiątkami,
bezmiarem łez, zaciśniętymi pięściami.

Lecieli z Warszawy

lecieli z Warszawy
trochę osobni ale razem
z kwiatami do Katynia

w sobotni ranek
słońce zaspało we mgłach
byli już blisko
gdy nagle czas stanął dęba
i runął w dwa ognie
ponad granice cierpienia
i nic
już tylko cisza
na zgliszczach

nie zdążyli zapalić zniczy
zapalono im

już tylko żałobne marsze
modlitwy
fotografie biografie
i łzy Polaków
ponad podziałami

10 kwietnia, 2010 r.

Jan Orłowski

Polskie serce

Już osiemdziesiąt minęło lat
jak ta wieść o strasznej zbrodni
obiegła świat.

Wyrok Stalina, bandycki strzał
w katyńskim lecie
polska krew w piach.

Nic im z twej śmierci
krzyknij im w twarz
Polska trwać będzie po wieczny czas!

2023, w lutym

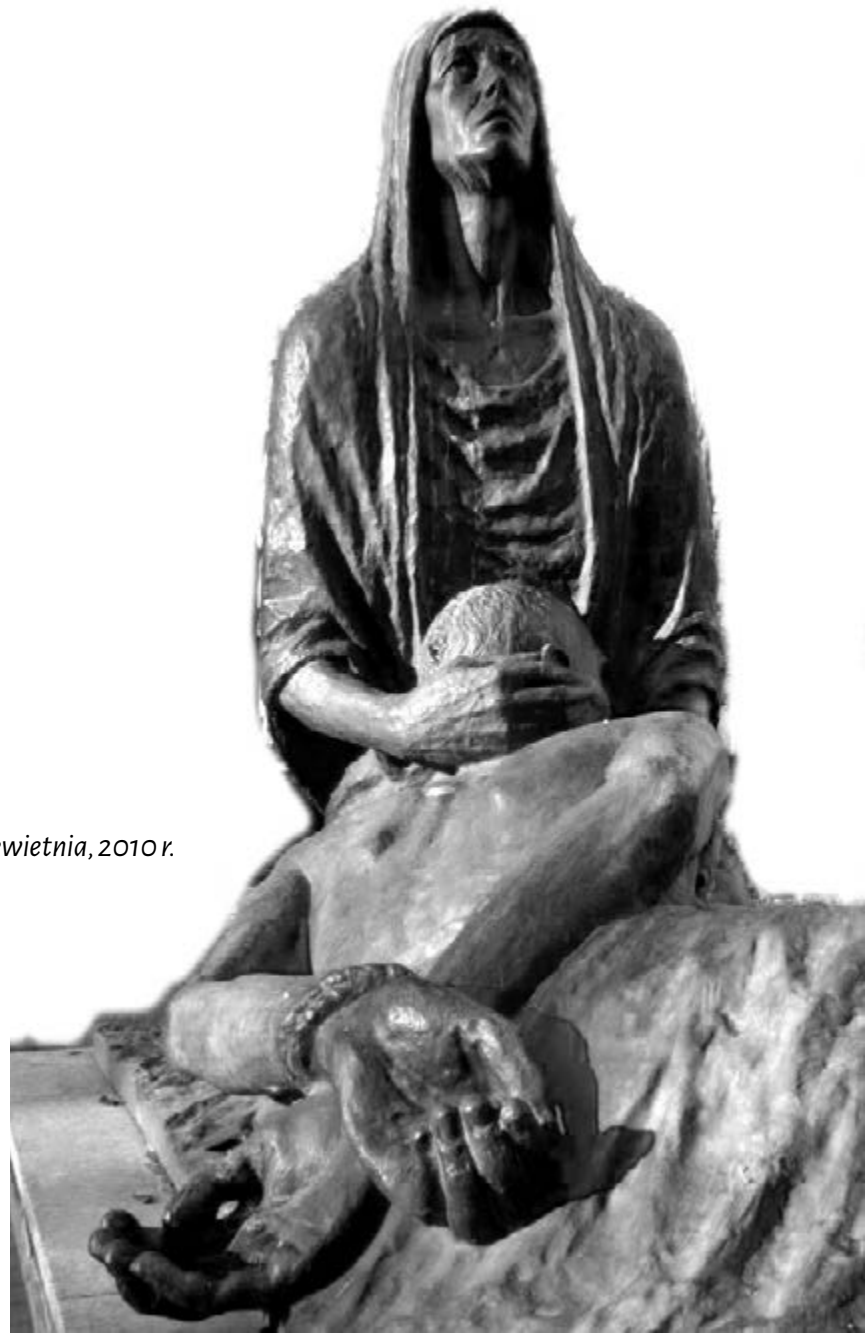

Wiktor Kowalczyk

LUBELSKI „ROK WINCENTEGO POLA”

M. Fajans, *Wincenty Pol*, litografia barwna, przed 1862 r.

Choć lista patronów 2022 roku, ustanowionych przez najpoważniejsze gremia w kraju, była długa, nie mogła przecież uwzględnić wszystkich rocznic. Stąd, prócz celebracji ku czci postaci wymienionych w parlamentarnych uchwałach, w różnych miejscach i o różnym czasie pojawiały się obchody i wspomnienia, dotyczące pozostałych.

Lubelski „Rok Wincentego Pola” został ogłoszony samozwańczo. W proklamacji z 15 marca 2022 roku, sygnowanej przez dra Tadeusza Piersiaka (pomysłodawcę) i piszącego te słowa (współautora), można przeczytać: przed 215 laty urodził się w Lublinie, a 150 lat temu zmarł w Krakowie żołnierz, poeta, krajoznawca, geograf i etnograf, człowiek kochający „ziemię naszą”, jej krainy i jej historię – WINCENTY POL. Powodowani serdecznym obowiązkiem pamięci o nim pragniemy czas od kwietnia (* 20 IV 1807) do grudnia († 2 XII 1872) poświęcić naszemu Krajanowi w formie lokalnego lubelskiego Roku Wincentego Pola. To inicjatywa społeczna, do której włączają się lubelskie instytucje i organizacje. Będzie to także nasz lubelski wkład w ogłoszony przez Sejm RP Rok Romantyzmu.

O naszej inicjatywie postanowiliśmy poinformować Komisję Kultury i Ochrony Zabytków Rady Miasta Lublina, brak reakcji uznając za życzliwą, acz milczącą aprobatę.

Przedsięwzięcie miało charakter otwarty. Zechcieli się weń włączyć liczni i zacni partnerzy: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II (w szczególności Kolegium Filologii Polskiej, Edytorstwa i Humanistyki Cyfrowej), Muzeum Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Muzeum Narodowe w Lublinie z oddziałami: Muzeum Literackim, wraz z Filią Muzeum Dworek Wincentego Pola, oraz Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka im. Komisji Edukacji Narodowej w Lublinie, Miejska Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie (Filia nr 13), Młodzieżowy Dom Kultury „Pod Akacją” w Lublinie, Klub Osiedlowy „Odeon” Pracowniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Kolejarz” w Lublinie, jak również lubelskie oddziały: Polskiego Towarzystwa Geograficznego, Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy oraz Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza; Roztoczańska Konna Straż Ochrony Przyrody im. 25. Pułku Ułanów Wielkopolskich, Amatorski Teatr Towarzyski działający przy Stowarzyszeniu Kulturalno-Oświatowym „Węglin Północny” w Lublinie, a także redakcje „Spotkań z Zabytkami” i „Kuriera Lubelskiego” oraz Radio Lublin i TVP Lublin.

Spektrum propozycji programowych było szerokie: od zabaw edukacyjnych z dziećmi, przez widowiska słowno-muzyczne, wystawy, odczyty i publikacje, po konferencje naukowe.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, niejako na inaugurację obchodów, nakładem Muzeum Narodowego w Lublinie ukazał się (w ramach całej serii) przewodnik

Dworek Wincentego Pola w Lublinie—muzeum poety-geografa, fot. Wiktor Kowalczyk

po Dworku Wincentego Pola. Wobec spowodowanej remontem niedostępności obiektu, książka mogła stanowić jego namiastkę. Była też upominkiem dla osób angażujących się po stronie pamięci o autorze *Mohorta*.

Z początkiem lutego na łamach pierwszego z tegorocznych numerów „Spotkań z Zabytkami" ukazał się również artykuł poświęcony lubelskiemu muzeum Wincentego Pola.

Podczas zimowych ferii szkolnych w Klubie Osiedlowym „Odeon" na Kalinowszczyźnie zorganizowano zajęcia dla dzieci zatytułowane *Zgadywanki, skojarzonka, wymyśladełka*. Zimowy przekładaniec muzealny z Wincentym Polem w tle.

Wiosną, niezależnie od naszej inicjatywy, Fundacja Działań Edukacyjnych KReAdukacja, przy wsparciu finansowym Miasta Lublina, ogłosiła kolejną edycję konkursu inicjatyw mieszkańców „Mój Lublin". W tym roku jego celem było uczczenie pamięci Wincentego Pola – wieszcza i uczonego.

Starając się zwiększyć zasięg propagacji Polowskich fal, przeprowadziliśmy dwie akcje mailingowe. Przed kwietniowymi urodzinami wysłaliśmy listy elektroniczne do 15 instytucji, firm i organizacji mających dziś siedziby w pobliżu kamienicy, w której przyszedł na świat Wincenty Pol, uświadamiając, iż są jego „sąsiadami z przyszłości". Efektem był konkurs plastyczny oraz pokonkursowa wystawa prac dzieci i młodzieży, zorganizowane jesienią przez Młodzieżowy Dom Kultury „Pod Akacją" w Lublinie.

Akcję drugą, jaka nastąpiła przed rocznicą grudniową, zaadresowano do czterdziestu miejsc w kraju, z którymi bądź za życia był związany Wincenty Pol, bądź też które dziś są depozytariuszami jego spuścizny, miejscami pamięci o nim albo kontynuatorami jego dzieła. W wysłanym liście pozwoliliśmy sobie przypomnieć o tegorocznych rocznicach i zachęcić do ich zaznaczenia w stosownej formie.

W przededniu urodzin wieszcza autor niniejszego artykułu postanowił odwiedzić kamienicę przy ul. Grodzkiej 7, w której przyszedł na świat. Na pierwszym piętrze, gdzie znajdowało się mieszkanie jego rodziców, dziś mieszczą się Warsztaty Kultury, a w salonie państwa Polów ma gabinet dyrektor tej instytucji.

20 i 21 kwietnia gościliśmy (on-line) na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie odbywała się konferencja pod hasłem „«Byłem tu i tam» (Wincenty Pol) – Romantyzm rozdwojony? Pytanie nierozstrzygnięte". Podczas sesji noszącej tytuł „Urodziny Wincentego Pola", wśród wielu referatów poświęconych jego twórczości, znalazł się i nasz, zatytułowany *Rzut oka na życie i twórczość Wincentego Pola ze stanowiska muzealnictwa biograficznego*.

Niespełna półtora miesiąca później w Muzeum Narodowym w Lublinie miała miejsce konferencja pod hasłem „Reprezentacje przeszłości", w trakcie której zaprezentowane zostało m.in. wystąpienie nt. *Dworek Wincentego Pola – reprezentacje przeszłości w przestrzeni symulakrum*.

Koncert pieśni z okresu powstania listopadowego w wykonaniu artystów lubelskich scen muzycznych – Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej, 29.11.2022, fot. Wiktor Kowalczyk

Zaś pod koniec czerwca w lubelskim klasztorze oo. Dominikanów dr Tadeusz Piersiak wygłosił odczyt pt. *Ukraina Wincentego Pola*.

Zorganizowano także dwie ekspozycje. W maju, w Muzeum UMCS otwarta została wystawa „Ilustratorzy dzieł romantyków. Od Adama Mickiewicza do Wincentego Pola", a jej wernisaż uświetnił wieczór poezji Wincentego Pola w wykonaniu Amatorskiego Teatru Towarzyskiego.

Druga prezentacja, która odbyła się w Filii nr 13 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Lublinie, to wystawa fotograficzna pt. „Nasze Pol-owanie", na której pokazano zdjęcia Dworku Wincentego Pola, jego otoczenia i wnętrz oraz odbywających się w nich wystaw i wydarzeń kulturalnych.

Dwa kolejne punkty obchodów miały miejsce w bezpośrednim sąsiedztwie Dworku. Pod koniec sierpnia w przydworkowym ogrodzie pracownicy Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej, włączając się w akcję „Narodowego Czytania", dokonali nagrania fragmentów *Ballad i romansów* Adama Mickiewicza.

Natomiast na początku października, z okazji „Dnia Drzewa", nadaliśmy imię żony Wincentego Pola – Kornelia posadzonej kilka lat temu lipie (o czym więcej na łamach „Lublina" w tekście *Chrzciny Kornelii* – nr 6(116)/2022 s. 38

Tydzień później grupa przewodników turystycznych zorganizowała spacer po lubelskim Starym Mieście śladami upamiętnień Wincentego Pola oraz nawiązań do jego biografii i twórczości. Poprzedził on jubileuszową sesję z okazji 70-lecia Koła Przewodników Miejskich i Terenowych im. Mikołaja Stanisława Pajdowskiego PTTK w Lublinie, odbywającą się pod hasłem „Prekursorzy krajoznawstwa lubelskiego. Historia przewodnictwa PTTK w Lublinie i regionie w latach 1952–2022". Jednym z „gości honorowych" był na niej również Wincenty Pol, a w programie znalazły się m.in.: odczyt zatytułowany *Wincenty Pol jako krajoznawca* oraz spektakl pt. *Pieśni Wincentego Pola*, przygotowany przez Amatorski Teatr Towarzyski oraz uczniów z Prywatnej Szkoły Podstawowej im. Królowej Jadwigi w Lublinie.

23 października, dzięki staraniom Fundaci EduArtte i wsparciu Województwa Lubelskiego, autor Pieśni o ziemi naszej wraz z młodym Fryderykiem Chopinem mogli zawitać w Poturzynie, u Tytusa Woyciechowskiego. Za sprawą artystów lubelskich scen muzycznych oraz grona muzycznej młodzieży, odbyło się widowisko poetycko-muzyczne *Lubelskie szlaki romantyków polskich*, które uświetniło otwarcie Centrum Promocji Wsi Poturzyn (o czym też już pisaliśmy na łamach „Lublina" w tekście *A czy znasz ty, bracie młody,…? Lubelskie szlaki romantyków polskich* – nr 5(115)/2022 s. 45

Pod koniec listopada Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Lublinie przygotowała okolicznościową prezentację Polianów ze swych zbiorów.

Własny wkład w upamiętnienie swego patrona wniosła również Akademia Nauk Stosowanych Wincentego Pola w Lublinie.

W dniu 182. rocznicy wybuchu powstania listopadowego, w Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej miał miejsce koncert pieśni z tamtego okresu. Usłyszeliśmy Mariolę Zagojską (sopran), Fryderyka Pieńkosia (tenor), Patrycjusza Sokołowskiego (bas) i Andrzeja Kozdrowieckiego (fortepian), a w ich wykonaniu m.in.: *Polak nie sługa*, *Bywaj dziewczę zdrowe*, *Grzmią pod Stoczkiem armaty*, *W krwawym polu srebrne ptaszę*, *Marsz obozowy*, *Leci liście z drzewa* i *Warszawiankę*. Po koncercie nastąpił odczyt Zdzisława Czyżewskiego ze Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy pt. *Wincenty Pol jako uczestnik wojny polsko-rosyjskiej 1831 roku na Litwie*.

Kulminacyjnym punktem lubelskich obchodów było wydarzenie zorganizowane 2 grudnia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim – „Wincenty Pol in memoriam". Tego dnia, prócz przypadającej 150. rocznicy śmierci autora Obrazów z życia i z podróży, mijało 50 lat od otwarcia Dworku Wincentego Pola dla publiczności. Akcja rozgrywała się kolejno w trzech przestrzeniach uniwersyteckiego kampusu o różnym charakterze.

Rozpoczęto Mszą św. w Kościele Akademickim w intencji śp. Wincentego Ferreriusza Pola oraz zmarłych i żyjących, byłych i obecnych pracowników i przyjaciół Dworku Wincentego Pola.

Następnie w Czytelni Biblioteki Filologii Polskiej miała miejsce konferencja pod hasłem „Galicja – ojczyzna i świat Wincentego Pola. Polski Piemont i polska Galileja – pamiętanie i zapominanie". Referaty wygłosili: dr Joanna Wiśniewska – *Gloria virtuti resonat. Wincentego Pola żywot parenetyczny*, prof. Władysława Bryła – *O kryteriach tożsamości narodowej Polaków w twórczości Wincentego Pola*, Dorota Seweryn-Puchalska – *Kulisiewicz – Szlembark – „świat w miniaturze"*, prof. Władysław Makarski – *O Galicji onomastycznie*, prof. Anna Czapla – *Obraz dawnego powiatu husiatyńskiego nazwami pisany* oraz dr Tadeusz Piersiak – *Tryptyk galicyjski* (Janusz Szuber, Monika Sznajderman, Radek Rak).

Sarkofag Wincentego Pola w Krypcie Zasłużonych pod kościołem oo. Paulinów na krakowskiej Skałce, fot. Wiktor Kowalczyk

Na koniec, w Sali Teatralnej Centrum Transferu Wiedzy odbyło się widowisko poetycko-muzyczne pod tytułem „Pieśni z ziemi naszej" w wykonaniu Teatru ITP pod kierunkiem ks. dr. Mariusza Lacha oraz: Marioli Zagojskiej (sopran), Fryderyka Pieńkosia (tenor), Patrycjusza Sokołowskiego (bas), Magdaleny Maciąg (skrzypce) i Alesii Aleksandrowicz (fortepian). W programie znalazły się wiersze Wincentego Pola oraz pieśni, arie i utwory kameralne Fryderyka Chopina, Stanisława Moniuszki, Franza Schuberta, Józefa Sierosławskiego i Henryka

Występ uczniów z Prywatnej Szkoły im. Królowej Jadwigi w Lublinie w spektaklu „Pieśni Wincentego Pola", Trybunał Koronny, 16.10.2022, fot. W. Kowalczyk

Prof. Władysław Makarski wygłasza referat O Galicji onomastycznie podczas konferencji „Galicja—ojczyzna i świat Wincentego Pola. Polski Piemont i polska Galileja—pamiętanie i zapominanie"— Katolicki Uniwersytet Lubelski, 02.12.2022, fot. Wiktor Kowalczyk

Wieniawskiego do słów Jana Chęcińskiego, Adama Mickiewicza, Ludwika Osińskiego, Wincentego Pola, Władysława Syrokomli i Stefana Witwickiego.

Współautorami programu, wraz z gronem uczonych i artystów, byli: Kolegium Filologii Polskiej, Edytorstwa i Humanistyki Cyfrowej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, Muzeum Dworek Wincentego Pola, Filia Muzeum Literackiego, Oddziału Muzeum Narodowego w Lublinie, a także Oddział Lubelski Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Wreszcie 8 grudnia, na spotkaniu lubelskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Geograficznego wygłoszono odczyt nt. *Rzut oka na twórczość Wincentego Pola jako geografa*.

Zapowiedzi poszczególnych wydarzeń pojawiały się na antenie Radia Lublin. W przeddzień grudniowej rocznicy o Wincentym Polu i jego muzeum rozmawiano w porannym programie „Między Wisłą a Bugiem" w TVP Lublin. Odnotujmy także okolicznościowy artykuł Anny Chlebus zatytułowany *Wincentego Pola nosiło po całej Europie*. Wyrzucili go z jego własnej katedry, a jego wiersze komentował Mickiewicz, jaki 2 grudnia ukazał się na łamach „Kuriera Lubelskiego". Natomiast 14 grudnia biografia i twórczość Wincentego Pola były tematem rozmowy w internetowym programie telewizyjnym Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej „Poranek u Hieronima". O większości wyżej wymienionych wydarzeń informowaliśmy także na profilu facebookowym Dworku Wincentego Pola.

Niefortunnie się stało, że jedyne w kraju muzeum poświęcone Wincentemu Polowi (nie licząc dwóch izb pamięci) przez cały rok jubileuszowy było nieczynne. Cieszyło nas jednak, że dzięki dotacji Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego mógł rozpocząć się jego remont, co pozwala mieć nadzieję na przywrócenie obiektowi i jego otoczeniu należytego stanu. Potraktowaliśmy to jako jeszcze jeden ukłon w stronę Poety-Geografa.

Gwoli uczciwości dodajmy, że lubelskie obchody Polowskie nie były odosobnione. Wieloma inicjatywami mogą pochwalić się zwłaszcza Podkarpacie i Małopolska – tereny, które w sposób szczególny zapisały się w biografii Wincentego Pola.

Za symboliczne zwieńczenie i przypieczętowanie wszelkich działań pozwalamy sobie potraktować uchwałę Sejmu RP z 15 grudnia br. w sprawie upamiętnienia Wincentego Pola w 150. rocznicę jego śmierci.

Wszystkim, którzy zechcieli wraz z nami czy niezależnie od nas i na różne sposoby wyrazić wdzięczną pamięć o Wincentym Polu, serdecznie dziękujemy.

Wiktor Kowalczyk

Pracownicy Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Lublinie nagrywają *Ballady i romanse*, ogród przy Dworku Wincentego Pola, 24.08.2022, fot. W. Kowalczyk

Alicja
Pihan-Kijasowa

Kraszewscy na Podlasiu

III Wisznicka Sesja Naukowa w 196. rocznicę urodzin Kajetana Kraszewskiego

Na kulturowej mapie Polski Wisznice i nieodległy Romanów zajmują miejsce szczególne. Z tą bowiem ziemią związane były w XIX wieku dzieje rodu Kraszewskich – Jana i jego żony Zofii z Malskich oraz ich potomstwa: Józefa Ignacego (1812–1887), Joanny (1813–1889), Anny (?–1853), Lucjana (1820–1892) i Kajetana (1827–1896). O losie córek Jana i Zofii wiemy znacznie mniej niż o ich synach. Z informacji genealogicznych dowiadujemy się, że Joanna była żoną Jana Moraczewskiego, z którym miała trzy córki – Wandę, Jadwigę, Zofię, zaś Anna poślubiła Gabriela Łuniewskiego (w czasie powstania styczniowego agenta Rządu Narodowego we Włoszech), z którym miała jednego syna – Stanisława. Znacznie więcej wiadomości historia przechowała o synach Jana i Zofii. Najstarszy z nich, Józef Ignacy, urodzony w Warszawie, to jeden z najpoczytniejszych pisarzy polskich – powieściopisarz, dramaturg, poeta, publicysta, autor prac popularnonaukowych i naukowych, wydawca, rysownik, działacz społeczny i polityczny. Ożeniony był z Zofią Woroniczówną, z którą miał czworo dzieci: Franciszka, Jana, Konstancję i Augustę. Zmarł w Genewie, pochowany w Bazylice św. Michała Archanioła i św. Stanisława Biskupa w Krakowie, potocznie zwanej kościołem Na Skałce. Średni syn Jana i Zofii Kraszewskich, Lucjan, urodzony w Prużanie, to artysta malarz, rysownik i fotograf, jeden z prekursorów polskiej fotografii artystycznej, ilustrator opowiadań staroszlacheckich i powieści ludowych najstarszego brata Józefa Ignacego, zesłaniec postyczniowy. Jego żoną była Stefania Sułkowska, z którą miał jedną córkę Kazimierę. Pędził życie ziemianina w rodzinnym majątku Dołhe na Grodzieńszczyźnie, po powrocie z zesłania zamieszkał w Warszawie. Zmarł w Honiatyczach, pochowany na starym zabytkowym cmentarzu w Wisznicach. Najmłodszy z braci Kraszewskich, Kajetan, urodzony w Dołhem, to człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach – był malarzem, rzeźbiarzem, literatem, muzykiem, astronomem, kolekcjonerem antyków, bibliofilem. Ożenił się z Marią z Rulikowskich, z którą miał siedmioro dzieci: Władysława, Bogusława, Stanisława, Krzysztofa, Antoninę, Józefę i Zofię. Dwoje dzieci Kajetana i Marii było

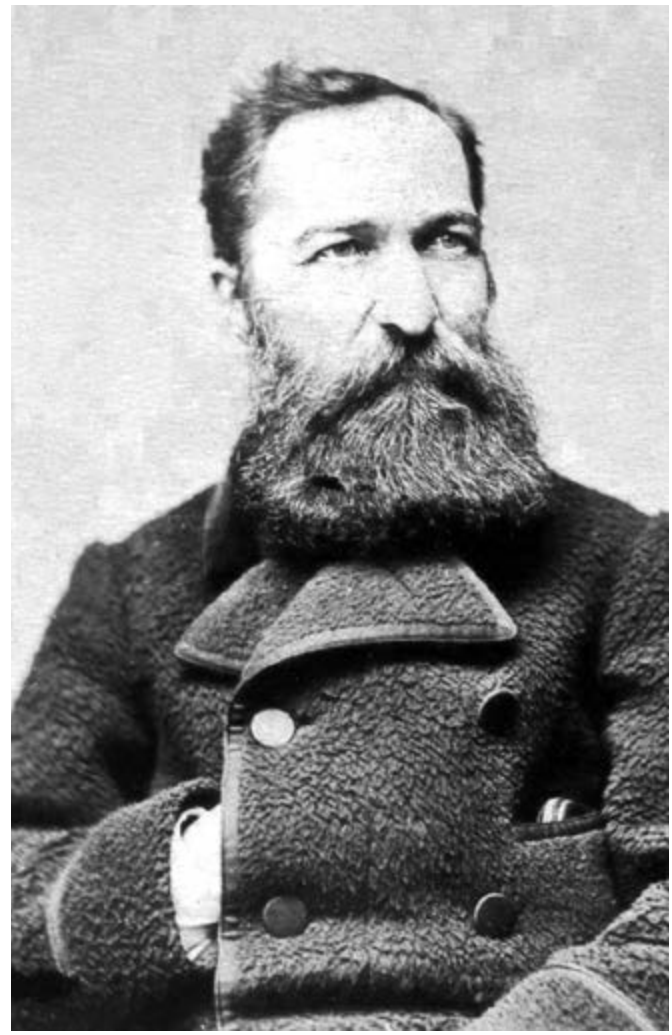

Kajetan Kraszewski, foto Walery Rzewuski, ok. 1880, Wikipedia

głuchoniemych – Bogusław i Józefa. Kajetan zmarł w Starym Kuplinie, pochowany na starym zabytkowym cmentarzu w Wisznicach. Cmentarz ten, który stanowi nekropolię rodu Kraszewskich, powstał w 1800 roku i funkcję grzebalną pełnił do 1908 roku. Poza Lucjanem i Kajetanem znajdują się tu również groby innych członków rodziny Kraszewskich – pochowana jest tu też matka pisarza, Zofia z Malskich, oraz żona najmłodszego brata pisarza, Maria z Rulikowskich Kajetanowa.

Romanowski dwór, pierwotnie własność Sanguszków, następnie Leszczyńskich, wreszcie Sapiehów, w 1801 roku

przeszedł, drogą kupna, w ręce Malskich – Błażeja i Anny. Ich córka, Zofia, została żoną Jana Kraszewskiego i w ten sposób dwór stał się własnością Kraszewskich. I choć dzieci Jana i Zofii rodziły się w różnych miejscowościach, to romanowski dwór był ich gniazdem rodzinnym – wpierw dziadków Malskich, później ich rodziców – Kraszewskich. Po śmierci Jana w 1864 roku romanowskie dobra odziedziczył najmłodszy syn Kajetan. Obecnie w Romanowie mieści jedno z dwóch polskich muzeów poświęconych Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu[1], które pielęgnuje też pamięć o pozostałych członkach rodu, szczególnie o Kajetanie, który w czasie swego gospodarowania w dobrach romanowskich zrobił dużo tak dla rozbudowy i unowocześnienia majątku, jak i dla rozwoju swoich pasji astronomicznych, kolekcjonerskich, pisarskich.

Pamięć o Kraszewskich, zwłaszcza o Józefie Ignacym i Kajetanie, jest pielęgnowana nie tylko w Romanowie i Wisznicach, ale i szerzej – w powiecie bialskim. Poza Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie i nekropolią wisznicką, w Białej Podlaskiej, w centralnym punkcie tego miasta, postawiono pomnik pisarza, a I Liceum Ogólnokształcące nosi jego imię. Natomiast patronem Gminnej Biblioteki Publicznej w Wisznicach jest Kajetan Kraszewski. W 2023 roku, w 196. rocznicę urodzin Kajetana Gminna Biblioteka Publiczna jego imienia, Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie, Wójt Gminy Wisznice, z inicjatywy lubelskiego uczonego, prof. Feliksa Czyżewskiego, zorganizowały III Wisznicką Sesję Naukową „Kraszewscy na Podlasiu". Sesja odbyła się w dniu 14 kwietnia 2023 roku w Centrum Kultury Chrześcijańskiej w Wisznicach, w miejscu bardzo charakterystycznym i ważnym lokalnie, które jak w soczewce skupia w sobie skomplikowane dzieje tych ziem. Centrum mieści się bowiem w dawnej cerkwi początkami sięgającej XVI wieku, wpierw prawosławnej, a od 1596 roku, po zawarciu do Unii Kościelnej, unickiej, kilkakrotnie niszczonej (głównie przez pożary – budynek był drewniany) i odbudowywanej. W 1870 roku rozpoczęto budowę świątyni z cegły, w stylu neogotyckim. Po kasacie w 1875 roku Kościoła greckokatolickiego w Królestwie Polskim, cerkiew ponownie pełniła funkcje świątyni prawosławnej, a po 1920 roku została przekształcona w kościół rzymskokatolicki. W połowie XX wieku, w 1955 roku, przestała być użytkowana. Pod koniec lat 70. XX wieku jej wnętrze po raz kolejny strawił pożar. Ze względu na historię obiektu został on wpisany w 1997 roku do rejestru zabytków, a w 2007 roku gmina Wisznice rozpoczęła starania o fundusze na jego renowację. 25 października 2010 roku Centrum Kultury Chrześcijańskiej w Wisznicach zostało uroczyście otwarte i odtąd służy miejscowej społeczności i lokalnym inicjatywom kulturalnym. I w tym unikalnym miejscu odbywały się obrady III Wisznickiej Sesji Naukowej „Kraszewscy na Podlasiu", nad którą patronat honorowy objął Starosta Bialski, Pan Mariusz Filipiuk. Część naukową sesji poprzedziła uroczystość na miejscowym zabytkowym cmentarzu przy ul. Kościelnej, celebrowana przez proboszcza miejscowej parafii pw. Przemienienia Pańskiego, ks. Jana Pieńkosza. W jej trakcie złożono kwiaty i zapalono znicze przy rodzinnym grobowcu Kraszewskich. Zasadnicza część sesji odbywała się w Centrum Kultury Chrześcijańskiej. Uroczystego jej otwarcia dokonał wójt Gminy Wisznice, gospodarz spotkania, dr Piotr Dragan. Po oficjalnych wystąpieniach lokalnych władz i przedstawicieli lokalnych instytucji kultury i edukacji, odbyła się ceremonia uhonorowania Profesora Feliksa Czyżewskiego brązowym Krzyżem Honorowym Związku Piłsudczyków Rzeczypospolitej Polskiej za Jego zasługi dla lokalnej kultury, nauki i społeczności. Aktu dekoracji dokonał wiceprezes Zarządu Związku Piłsudczyków, generał Związku okręgu lubelskiego, pan Leszek Kalinowski.

W części naukowej spotkania zebrani wysłuchali ośmiu referatów zaprezentowanych przez przedstawicieli świata nauki, kultury i edukacji – z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Centrum Edukacji i Pracy Młodzieży OHP w Białe Podlaskiej i Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie.

Pierwszy referat, zatytułowany Józef Ignacy Kraszewski jako historyk Litwy i Wielkiego Księstwa Litewskiego, wygłoszony przez prof. Artura Kijasa z UAM w Poznaniu, pokazał mniej znaną, bo naukową stronę zainteresowań i pisarstwa Józefa Ignacego, pisarstwa historycznego dotyczącego dawnych dziejów Litwy i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Prelegent historyczne pisarstwo Józefa Ignacego zestawił z wiedzą zawartą w źródłach historycznych i z dzisiejszym stanem wiedzy. Drugi referat, przedstawiony przez dr Annę Mikiciuk z UMCS w Lublinie, zatytułowany *Toponomastyka w świetle Silva rerum Kajetana Kraszewskiego (na tle XIX-wiecznych szlaków komunikacyjnych)*, zwrócił uwagę na nazwy miejscowe przywoływane przez Kajetana Kraszewskiego w jego *Silva rerum*. Młoda badaczka z Lublina nakreśliła drogi, jakimi poruszał się, czy też mógł poruszać się autor „lasu rzeczy", jak się tłumaczy tytuł jego pamiętnika. Kolejnym referentem był prof. Dariusz Tarasiuk z UMCS w Lublinie, autor referatu *Kajetan Kraszewski jako ziemianin Południowego Podlasia*. Swój wywód prof. Tarusiuk oparł na pamiętniku Kajetana *Silva rerum*. Pokazał bohatera swego wystąpienia jako typowego przedstawiciela części

1 Drugie to poznańska Pracownia-Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego przy ul. Wronieckiej 14. Poza granicami Polski, w Dreźnie, znajduje się również Muzeum Kraszewskiego w budynku, w którym pisarz mieszkał w czasie swego pobytu w Niemczech, a więc przy ul. Nordstraße 28.

Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie—Wikipedia

ziemiaństwa podlaskiego drugiej połowy XIX wieku, człowieka ogromnie konserwatywnego, ugodowego wobec ówczesnych władz carskich, a więc również przeciwnika ruchów konspiracyjnych i walk niepodległościowych, ale też jako antysemitę i przeciwnika emancypacji kobiet. Ostatni referat przed krótką przerwą (tzw. kawową), *Sąsiedzi Kajetana Kraszewskiego z Opola i Antopola*, wygłosiła mgr Ewa Koziara z Centrum Edukacji i Pracy Młodzieży OHP w Białej Podlaskiej, która także odniosła się do *Silva rerum* Kajetana Kraszewskiego, pokazując jego stosunek do sąsiadów z najbliższej okolicy, pokazując jego „sąsiedzkie" sympatie i antypatie. Ta część obrad prowadzona była przez mgr Justyną Bajkowską, dyrektorkę Gminnej Biblioteki Publicznej im. Kajetana Kraszewskiego w Wisznicach, i dr hab. Agnieszkę Dudek-Szumigaj z UMCS w Lublinie.

Drugą część obrad otworzył referat dr hab. Agnieszki Dudek-Szumigaj, zatytułowany *Inskrypcje nekropolii wisznickiej jako przyczynek do badań nad XIX-wiecznym ziemiaństwem Podlasia (formuły identyfikacyjne napisów nagrobnych)*, w którym autorka zebrała ciekawy materiał w postaci krótkich form literackich umieszczanych na grobie lub tablicy upamiętniającej zmarłego, dziś już często mało czytelnych, a zawierających wartościowe dla badacza informacje. Kolejny referat, *Kraszewscy o sobie. Na podstawie dokumentów prywatnych (listy, pamiętniki, zapiski)*, wygłosiła prof. Alicja Pihan-Kijasowa z UAM w Poznaniu. Autorka skupiła się na mniej eksponowanych w oficjalnych biogramach Józefa Ignacego i Kajetana faktach dotyczących życia ich i ich najbliższych, na sprawach zdrowotnych, majątkowych i stosunku do bieżących wydarzeń społecznych i politycznych, do zaangażowania przedstawicieli rodu Kraszewskich i osób z nimi spowinowaconych w działalność niepodległościową. Mgr Dorota Uryniuk z Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie w prelekcji *W cieniu brata i romanowskich jodeł, czyli rzecz o Kajetanie Kraszewskim*, nawiązując do artykułu prof. Tadeusza Mencla *Z dziejów Romanowa*, spojrzała na przedstawiany problem oczami przewodnika w Muzeum Józefa Ignacego Kraszewskiego w Romanowie. Ostatni referat III Wisznickiej Sesji Naukowej przedstawił jej inicjator i przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, prof. Feliks Czyżewski z UMCS w Lublinie. W wystąpieniu zatytułowanym *Antroponimia w* Silva rerum *Kajetana Kraszewskiego jako odzwierciedlenie XIX-wiecznego statusu społecznego ziemian* skupił się na nazewnictwie własnym, na nazwiskach zapisanych na kartach pamiętnika Kajetana Kraszewskiego, dowodząc, jak forma nazwiska mogła odzwierciedlać, przynajmniej w odczuciu środowiskowym, status społeczny jego nosiciela. Drugą część obrad, prowadzoną przez dyrektorkę Gminnego Ośrodka Kultury i Oświaty w Wisznicach, panią Elżbietę Sokołowską, i prof. Alicję Pihan-Kijasową z UAM w Poznaniu, zamknęła krótka dyskusja nad wysłuchanymi referatami i podsumowanie obrad.

Wydarzeniu naukowemu towarzyszyła niezwykła wystawa dzieł artystki urodzonej w Wisznicach, dr Małgorzaty Dawidiuk, zatytułowana „12 bram Nowego Świata". Prezentowana ekspozycja, o wyraźnie ekumenicznym charakterze, łączyła w sobie dwie sąsiadujące na wschodnich rubieżach religie – prawosławie i katolicyzm. Na wystawie znalazły się zarówno prace na płótnie nawiązujące do prawosławnej ikony, jak i prace na desce (zwane cieniami ikon). Deski te pochodzą z nieistniejących już podkarpackich cerkwi, które artystka pozyskała w czasie prowadzonych prac konserwatorskich. Zarysowane na nich kształty świętych postaci podkreślone zostały wyraźnymi złotymi aureolami. Przewodniczką po wystawie i jej komentatorką była sama twórczyni, pani Małgorzata Dawidiuk.

Alicja Pihan-Kijasowa

(RED)

Witajcie w mojej bajce
Dominika Wilk – serigrafia

(foto fujcik)

Dominika Wilk – urodzona w 1991 roku w Lublinie. Absolwentka Kolegium Sztuk Pięknych w Kazimierzu Dolnym oraz Grafiki na Wydziale Artystycznym UMCS w Lublinie. Dyplom zrealizowany w 2015 roku w pracowni Zakładu Grafiki Warsztatowej i Eksperymentalnej pod kierunkiem prof. Artura Popka. Członek Związku Polskich Artystów Plastyków. Uczestniczyła w wielu wystawach zbiorowych m.in.: Międzynarodowym Biennale Plakatu w Lublinie, w wystawie „Między grafiką a chemią" w Zielonej Górze, w wystawie „Drogi stąd wychodzą na północ. Grafiki z miasta Czechowicza" w Poznaniu, w studenckiej wystawie plakatów Res Non Verba i w Międzynarodowym Biennale Plakatu w Muzeum Plakatu w Wilanowie oraz wielu innych. W 2016 roku brała udział w wystawie konkursowej 4th Art Biennale of Szeklerland. Rok później odbyła się jej indywidualna wystawa w A.R Gallery w Nowym Yorku. W 2018 r. w grafiki artystki były prezentowane w ramach Lubelskiego Festiwalu Nauki. W tym samym odbyła się jej indywidualna wystawa „Moje miasto" w Domu Kultury „Przyjaźni". W roku 2020 r. prace były prezentowane na wystawie w restauracji „Legendy Miasta". W tym samym roku miała miejsce premiera spektaklu „Kocie opowieści o Lublinie" gdzie wystąpiły postacie i elementy architektury pochodzące z grafik autorki. Projekt realizowany był przy wsparciu finansowym miasta Lublin. Od kilku lat autorka współpracuje z kawiarnią i sklepem muzycznym „Święty Spokój", dzięki czemu jej prace są stale obecne w przestrzeni miejskiej Lublina. W 2022 roku w ramach projektu Objazdowa Galeria Sztuki Związku Polskich Artystów Plastyków odbyła się kolejna indywidualna wystawa w Domu Kultury LSM.

W swoich obecnych działaniach autorka wykorzystuje, dającą ogromne możliwości, technikę sitodruku. Główną osią twórczości są bajkowe

Wręczenie Nagrody Okolicznościowej Prezydenta Miasta Lublina za dokonania w dziedzinie twórczości artystycznej.

Fotografie z wernisażu w Domu Kultury Czechów, 02 grudnia 2022 r. (foto fujcik)

wizerunki miast. Inspiracją do tych ilustracji są nie tylko realnie odwiedzane miejsca, ale także surrealistyczne wizje. Temat miasta jest w twórczości punktem wyjścia do zabawy bogatym wachlarzem elementów. Wszystkie prace utrzymane są w podobnej ilustratorskiej konwencji, pozbawionej koloru; gdzie główną rolę gra czerń i biel.

KS

Balon

M jak Mazury

Dominika Wilk – o sobie

W roku 2010 rozpoczęłam studia licencjackie w Kolegium Sztuk Pięknych w Kazimierzu Dolnym. W okresie studiów aktywnie angażowałam się w życie artystyczne. Współtworzyłam i brałam udział w wielu inicjatywach studenckich m.in: „Pokaż co masz" – cyklicznej imprezie prezentującej dokonania twórców związanych z Kolegium Sztuk Pięknych. W 2011 r. brałam udział w zbiorowej wystawie plakatów „Res non verba" w Galerii Zajezdnia oraz „V wystawie majowej" w Kolegium Sztuk Pięknych. W tym samym roku miałam przyjemność spróbować swoich sił nie tylko w grafice ale także w filmie – uczestniczyłam w warsztatach kina niezależnego zakończonych projekcją na festiwalu „Dwa brzegi" w Kazimierzu Dolnym; stworzonego grupowo filmu „Odwrócony czakram". W 2012 r. moje plakaty zadebiutowały na wystawie „Bezpieczny internet" organizowanej przez Muzeum Plakatu w Wilanowie. Rok później mój plakat zdobył wyróżnienie oraz brał udział w wystawie zbiorowej organizowanej przez Zakład Grafiki Projektowej i Litografii Wydziału Artystycznego w Lublinie. Dyplom licencjacki wykonałam pod kierunkiem dr hab. Anny Perłowskiej-Weiser i był on prezentowany na zbiorowych wystawach studenckich. W 2013 roku rozpoczęłam studnia magisterskie na Wydziale Artystycznym UMCS w Lublinie na kierunku grafika. W późniejszym etapie moją specjalizacją stała się grafika warsztatowa, z którą związałam swoją działalność artystyczną. W 2014 r. brałam udział w wystawach zbiorowych: „Między grafiką a chemią" w Zielonej Górze; wystawie pokonkursowej 24. Biennale Plakatu w Muzeum Plakatu w Warszawie, w kategorii złoty debiut H. Tomaszewskiego.

W roku 2015 r. moje grafiki trafiły na wystawę zbiorową „Drogi stąd wychodzą na północ… Grafiki z miasta Czechowicza" w Poznaniu. Realizowałam także autorską instalację artystyczną dla dzieci w przestrzeni miejskiej w ramach inicjatywy „Miasto bez chmur". Był to projekt realizowany przez nieformalną grupę artystyczną „Skrzyżowanie" – CrossRoad – Poland w partnerstwie Pracowni Sztuki Zaangażowanej Społecznie „Rewiry" oraz galerii KONT.

W kolejnym roku brałam udział w wystawie zbiorowej podsumowującej konkurs „4th Graphic Art Biennal of Szeklerland" w Rumunii. Rok później odbyła się moja pierwsza indywidualna wystawa w A.R Gallery w Nowym Yorku. W 2017 r. mój plakat z okazji 700-lecia Lublina trafił na wystawę pokonkursową Biennale Plakatu w Lublinie.

W 2018 r. moje grafiki były prezentowane w ramach Lubelskiego Festiwalu Nauki. W tym samym roku odbyła

K jak Kazimierz Dolny nad Wisłą

Górskie miasteczko

się moja indywidualna wystawa „Moje miasto" w Domu Kultury „Przyjaźni". W roku 2020 r. moje prace były prezentowane na wystawie w restauracji „Legendy Miasta". W tym samym roku miała miejsce premiera spektaklu „Kocie opowieści o Lublinie" gdzie wystąpiły postacie i elementy architektury pochodzące z moich prac. Projekt realizowany był przy wsparciu finansowym miasta Lublin. Od kilku lat współpracuję z kawiarnią i sklepem muzycznym „Święty Spokój" dzięki czemu moje prace są stale obecne w przestrzeni miejskiej Lublina. W 2022 roku w ramach projektu Objazdowa Galeria Sztuki Związku Polskich Artystów Plastyków odbyła się moja indywidualna wystawa w Domu Kultury LSM. W tym samym roku otrzymałam Nagrodę Okolicznościową Prezydenta Miasta Lublin za dokonania w dziedzinie twórczości artystycznej.

TROCHĘ PRYWATY O MNIE

Gdy cofam się do czasów przed studiami pamiętam, że niezbyt interesowałam się sztuką, choć można powiedzieć miałam dużo z nią styczności. Moja mama jest absolwentką lubelskiego Liceum Plastycznego, a moja starsza siostra studiowała także grafikę na Wydziale Artystycznym. Nie raz byłam gościem jako nastolatka w pracowniach. Pozowałam siostrze do zdjęć, rysunków. Przez długi czas miałam inne plany na przyszłość. Nie wybrałam liceum plastycznego, jak mama i siostra. Przełomowy okazał się właśnie ostatni rok w liceum. Sama już nie wiem dlaczego zmieniłam zdanie i z dnia na dzień postanowiłam zdawać na uczelnię artystyczną. Moim marzeniem była architektura wnętrz, choć już wtedy w moich można powiedzieć mocno amatorskich pracach było widać zacięcie graficzne. Jak łatwo się domyśleć nie odstałam się na wymarzony kierunek, czas egzaminów na uczelnie artystyczne skończył się. Wtedy jakoś pocztą pantoflową dowiedziałam się, że będą przeprowadzane egzaminy na grafikę w filii Wydziału Artystycznego UMCS czyli w Kolegium Sztuk Pięknych w Kazimierzu Dolnym. W Kazimierzu rozpoczęłam swoją artystyczną przygodę. Czas studiów licencjackich był bardzo intensywny. Człowiek miał możliwość spróbowania wszystkiego, poszukiwał swojego stylu, ulubionych metod pracy. Początkowo dość dużą rolę w mojej twórczości odgrywał plakat, a co za tym idzie zagadnienia związane z grafiką projektową. Z czasem pojawiła się nowa fascynacja: grafiką warszatową. Pierwsze swoje prace stworzyłam w technice akwaforty i akwatinty. Ich tematyka nie była związana

Wilki w lesie

W jak Wrocław

z Lublinem. W technikach tych powstał mój dyplom licencjacki. Wkrótce jednak za sprawą zajęć w pracowni serigrafii pojawiła się „nowa miłość" czyli sitodruk. Technika ta towarzyszy mi do dziś. Najlepiej oddaje mój sposób ekspresji. Daje mi też ogromne możliwości. To na zajęciach z serigrafii (sitodruku) z Amadeuszem Popkiem stworzyłam swoją pierwszą pracę. „Realne i nierealne". Wymyśliłam, że zrobię miasto, które będzie składało się z fantastycznych rzeczy: bloki były kasetami, albo książkami. Normalne przedmioty użytkowe były wkomponowane w ten fantastyczny pejzaż.

Studia magisterskie kontynuowałam w Lublinie na Wydziale Artystycznym. Szybko wpadłam na pomysł, że głównym bohaterem moich prac stanie się Lublin – miasto, z którego pochodzę, w którym dorastałam i które mnie wciąż zachwyca na każdym kroku. Jako pierwszy motyw wybrałam, dla mnie symbol miasta, Bramę Krakowską. Był to początek mojej przygody z Lublinem w roli głównej.

Technika w której wykonuję prace, daje mi szeroki wachlarz możliwości. Sitodruk pozwala na tworzenie artystycznych grafik, komercyjnych plakatów czy aplikacji na ubrania, tkaniny, torby. W mojej twórczości można dlatego znaleźć także realizacje komercyjne jak koszulki czy torby z motywami koziołka lubelskiego.

Nie jestem chyba zawodową artystką w sensie organizacji wystaw. Lubię wolność, którą mam i to, że pokazuję Lublin taki, jaki on jest dla mnie – fantastyczny, nierealny, bajkowy i wyjątkowy. Moje prace nie są realistyczne, uciekam w twórczości w ilustrację, bo uważam, że każdy ma w sobie coś z dziecka. Bardzo chętnie podejmuję się współpracy; także komercyjnej; gdy właśnie tematem jest moje miasto. Dzięki takim projektom powstały grafiki z cyklu „Legendy lubelskie". Na cykl składa się 7 grafik ilustrujących 5 wybranych lubelskich legend. Prace są stałym elementem wystroju restauracji „Legendy miasta". Wnętrze lokalu w wielu detalach nawiązuje do dziedzictwa kulturowego Lublina.

Lubię łączenie wielu dziedzin sztuki i pracę z ludźmi. Z takiego właśnie połączenia powstał spektakl „Kocie opowieści o Lublinie", gdzie elementy moich grafik i postacie pojawiające się w pracach stały się głównymi bohaterami historii. Spektakl grany był przez lubelskich aktorów: Bogusława Byrskiego, Kacpra Kubca i Adama Organistę.

Od kilku lat współpracuję z kawiarnią i sklepem z płytami winylowymi „Święty Spokój". Chodź jest to współpraca komercyjna wspominam o niej, gdyż dzięki niej moje prace ujrzały światło dzienne i cieszą oko przechodniów i turystów. Grafiki zostały umieszczone na elewacji kamienicy, tuż za Bramą Krakowską, w samym sercu Lublina. Mam nadzieję, że moje prace mieszkają w domach wielu osób, nie tylko Lublinian. Jeszcze wiele lubelskich prac przede mną. :)

Prywatnie do rozwijania mojej twórczości pchnął mnie mąż, który był moim mentorem i nauczycielem. Poza swoją twórczością staram się angażować w różne inicjatywy. Kilka razy miałam przyjemność pomagać w organizowaniu pokazów sitodruku na Lubelskim Festiwalu Nauki. Zawodowo realizuję się w pracy w kulturze – w Domu Kultury Kalinowszczyzna oraz Domu Kultury Przyjaźni, gdzie jestem instruktorem. Mogę pomagać w tworzeniu wydarzeń kulturalnych, a także mam możliwość przekazywania swojej wiedzy tym najmłodszym – dzieciom. ■

Brama Grodzka, Stare Miasto w Lublinie

Lublin, ul. Bramowa, «Święty spokój»

Lublin, Carnaval Sztukmistrzów

DRINKI
WINO
whi key
BRANDY
WINO
RUM
PIWO
666
RUM
GIN
MIÓD
DRINKI
WINO

Koty w barze

Lubelska sztuka eksperymentalna i performatywna

Małgorzata Wielgosz

Wybór form wypowiedzi performatywnych na lubelskim rynku jest bardzo różnorodny. Różne są drogi i postawy twórcze, ale cel zawsze ten sam. Performerzy zachęcają „Przyjdź i wymień się myślą". Tworzy się zatem przestrzeń wymiany między artystą a odbiorcą, społeczny kontekst. Performances zakładają bowiem interaktywne działania. Eksperymentowanie, doświadczanie i wzajemne inspirowanie to najlepsze sposoby na edukację poprzez zabawę i sztukę. Performerów najczęściej cechuje odwaga twórcza. Czy warto być odważnym? Prezenter telewizyjny Tomasz Zalewa stracił pracę przez to, że był odważny. Wykonał performance rozrzucając śmieci na Placu Lecha Kaczyńskiego. Wymowa: dużo jest śmieci na Placu Lecha Kaczyńskiego, dużo jest śmieci w polskim krajobrazie. Dziennikarz w swoim performance nawiązał również do powieści „Chiński dysydent" Nell Freudenberger, w której zawarte są słowa: „Żyjąc, ludzie beztrosko rzucają informacje na prawo i lewo, jak śmieci. A pisarz podąża ich tropem, niczym śmieciarz."[1] Sztuka, jeśli ma spełniać swoją rolę, często musi być polityczna, społecznie zaangażowana. Chińska grupa, a właściwie awangardowa wspólnota East Village, często dobierała takie środki wyrazu jak w swoich performance'ach Szymon Pietrasiewicz, tworząc odważne i wymagające poświęcenia performances, wystawiając „na tortury" własne ciało, by coś wyrazić. Performerzy niejednokrotnie posługują się bowiem nagością. Jedna ze szczecińskich aktywistek, chcąc zwrócić uwagę na ryzyko, jakie niesie ze sobą napromieniowanie, rozebrała się, pokazując trzecią, sztuczną pierś. Pojawiły się hasła: „W Szczecinie: Czarnobyl, Fukushima... Polska? Nie dla atomu". Kobieca pierś została użyta w proteście przeciw budowie elektrowni atomowej w Polsce. Aktywistka w mniej lub bardziej zamierzony sposób nawiązała do dramatu Ireneusza Iredyńskiego „Trzecia pierś", budując platformę łączącą język, ciało i przestrzeń. W Chinach istnieje tradycja, że przeciwnicy ustroju uciekają w góry lub na wieś. Często zostają mnichami, a niektórzy poetami i malarzami. Redaktor Zalewa przypłacił swój performance utratą pracy. Czy powinno się karać za twórczy entuzjazm? Artysta może wykonać performance, dziennikarz już nie? Jak się okazało, to nie pierwszy performance Tomasza Zalewy. Zasłynął on bowiem tym, że w czasie wakacji w 2002 r. wdrapał się na słup przy supermarkecie Leclerc i przez tydzień sprzedawał z wysokości wodę mineralną. Cały dochód przeznaczając na zakup pomp insulinowych dla chorych dzieci.

Wymowny okazał się w pocovidowej rzeczywistości performance Teatru Nowszego „Blisko" w choreografii Tomka Ciesielskiego prezentowany w Centrum Kultury w Lublinie. Dotyczył różnych rodzajów bliskości. Opowiadał o tym, jak obecność drugiego człowieka ogromnie wpływa na życie każdego z nas i jak ważną rolę w bliskości odgrywa czas. Pomiędzy performerami tworzącymi spektakl, bazujący na pracy z ciałem, cały czas obecne jest wahadło ze swoją zwierciadlaną powierzchnią, w której przeglądają się zarówno wykonawcy, jak i widownia. Stalowa kula – wahadło Foucaulta – jest także symbolem nieubłaganego upływu czasu, który wykrzywia się naginany przez przestrzeń. Wykorzystanie kuli będzie rozwinięciem poszukiwań rozpoczętych w monodramie Martyny Jagodzińskiej pt. „e-obecność" w choreografii Ciesielskiego.

Temat czasu porusza również Piotr Łucjan, niełatwego czasu. Na bazie kilkuset zdjęć i 1000 szkiców z III części *Tryptyku drohobyckiego* Artysta opracował *Kroniki drohobyckie*, które, jego zdaniem, wykazują duże pokrewieństwo ideowe z maszynami do produkcji czasu. Ciesielski stawia pytanie o spotkanie wprost z drugim człowiekiem. Nawiązuje do idei sztuki jako wehikułu. To działanie artystyczne pomiędzy happeningiem, teatrem, tańcem, tak jak Łucjana wizualno-muzyczne. Performance rzadko jest bowiem sztuką jednorodną, a częściej interdyscyplinarną.

W obecnych czasach artyści chętnie się włączają w działania na rzecz pokoju. Powstała w efekcie sztuka wizualna Piotra Łucjana zatytułowana „Idź i patrz. Performance z rzemieślniczych produktów rysunkowych" to artystyczna instalacja wykonana z portretów ukraińskich uchodźców, narysowanych przez twórcę i zamieszczonych w Kaplicy Paryskiej w Bazylice Dominikanów →

1 Nell Freudenberger, *Chiński dysydent*, Warszawa 2009.

Performance Piotra Łucjana w kaplicy Paryskiej Bazyliki Dominikanów w Lublinie

w Lublinie. Dlaczego w takim miejscu? Piotr Łucjan celowo przedstawia ten konkretny performance w kościołach, cerkwiach, bo uważa miejsca sakralne za właściwe do wyrażania tego typu emocji. Jestem zdania, że słusznie. Zresztą jak wybuchła wojna na Ukrainie, to ludzie nie pobiegli do sztabu Koalicji Obywatelskiej czy Prawa i Sprawiedliwości, nie pod Belweder, a właśnie do kościołów. Za inspirację posłużył Łucjanowi film Elema Klimowa oraz Apokalipsa św. Jana. Wymowa: 19 listopada 1942 w Drohobyczu, w następnym roku w białoruskiej wiosce oraz współcześnie w Buczy i Mariupolu zawsze i wszędzie morduje ta sama Bestia. Celem tego tryptyku drohobyckiego „Ukraińcy" jest reaktywacja schulzowskiego „półtora miasta", bo o Drohobyczu mówiono, że jest w połowie żydowski, w połowie polski i w połowie ukraiński. W efekcie powstała interaktywna, plastyczno-muzyczna, mocno przemawiająca do odbiorcy za pomocą wizji i fonii instalacja artystyczna. Siłą jej oddziaływania jest mnogość obrazów. To jednakże jeden z najbardziej statycznych performance'ów spośród opisanych.

Kolejnym oswajaniem traumy, jak u Piotra Łucjana, jest nostalgiczny projekt performersko-fotograficzny Zmicera Waynowskiego, który swoim stypendium Prezydenta Miasta Lublin „Na naszym miejscu" zasilił kulturę lubelską i polską. Projekt łączy w sobie działania performerskie i fotografię. Jego efektem była wystawa-eksperyment, wystawa-happening. To swoista gra z odbiorcą, forma czynnego dialogu, wczucia się w sytuację, zaproszenie do wejścia w świat sztuki sytuacji uchodźcy. W listopadzie 2020 r. Zmicer został zatrzymany podczas jednej z licznych wówczas akcji protestacyjnych, które odbywały się na Białorusi po wyborach prezydenckich. Razem z milionem swych rodaków wystąpił w obronie prawa do wolności, wypowiedzi oraz pokojowych zgromadzeń, walcząc jednocześnie o sprawiedliwość, protestując przeciwko fałszowaniu wyników wyborów i braku poszanowania prawa przez władze państwowe. Za tę działalność Zmicer został ukarany 13 dniami aresztu na mocy mającego złą sławę artykułu 23.34 („Udział w nielegalnych zgromadzeniach masowych"). Po wyjściu na wolność, nadal prześladowany Zmicer opuścił Białoruś i wystąpił o azyl polityczny w Lublinie. W ciągu dwóch ostatnich lat ponad 50000 Białorusinów zostało zmuszonych do wyjazdu ze swego kraju. Większość z nich znalazła schronienie w Polsce. W lutym 2022 r. – po rosyjskim ataku na Ukrainę – do fali emigrantów z Białorusi dołączyły miliony Ukraińców. Po dotarciu do nowego, bezpiecznego miejsca uchodźcy spotykają się z licznymi problemami

Performance Zmicera Waynowskiego, plac Litewski Lublin

związanymi z niepewnością finansową, z nieporozumieniami wynikającymi z nieznajomości języka, z szokiem kulturowym, a także z polską biurokracją, z którą trudno sobie poradzić bez wsparcia lokalnych urzędników, niejednokrotnie szczerze współczującym przybyszom. „Na naszym miejscu" to projekt „dosłownie" zapraszający lublinian, by choć na chwilę wcielili się w skórę uchodźców w obcym kraju i spróbowali odnaleźć równowagę na niewygodnym chwiejnym stołku, przy którym brakuje jednej nogi. – Pojawienie się stołka bez nogi jako metafory było w tym projekcie fotograficzno-performerskim sprawą bardzo naturalną – opowiada Waynowski. – Bo „Proszę usiąść" to pierwsze zdanie, które słyszy się w urzędach ds. cudzoziemców. Uchodźca niepewnie siada na krzesło i wsłuchując się z napięciem w słowa urzędników, bierze udział w rozmowach na temat swojego statusu, dokumentów koniecznych do złożenia, uzupełnienia czy podpisania. Nerwowo ściskając stołek, człowiek próbuje zgadnąć jaki sens, kryje się za słowami pracownika urzędu, co wyrażają jego mina i gesty. Zdarzały się dni, kiedy czułem się tak bezradny, że byłem bliski utraty wszelkiej nadziei, traciłem równowagę i ducha, i ciała. Prosząc lublinian, by spróbowali poczuć się na naszym miejscu, obserwowałem różne ich reakcje. Widziałem, że niektórzy niemal „zawodowo" siadają na chwiejnym stołku, jakby nie miało to znaczenia, że brakuje jednej nogi, nie myśląc o tym, jak to może być trudne. Byli jednak i tacy, którzy podobnie jak ja, walczyli o zachowanie równowagi. Niezależnie od tego, jak uczestnicy mojego projektu walczyli ze stołkiem, jestem wdzięczny każdemu mieszkańcowi i każdej mieszkance Lublina za to, co dla nas robią. Czuję się szczęśliwy i jestem zadowolony, że jestem tu, gdzie jestem i że spotykam ludzi, którzy szczerze troszczą się o tych mniej uprzywilejowanych, lecz pełnych determinacji, by iść dalej – przyznaje Zmicer.

Zapis fotograficzny dopełnia i wieńczy projekt, dokumentując działania performatywne.

Waldemar Tatarczuk z Galerii Labirynt, propagator Performance Platform wykonał w ramach Performance Platform 2021 następujący performance:

„usypał na chodniku napis z ziaren: WAITING FOR BIRDS. Litery zostały niemal natychmiast rozdziobane przez gołębie. Tytułowe oczekiwanie na ptaki trwało więc zaledwie chwilę. Plac Litewski to miejsce, które upodobały sobie gołębie – siedzące na pomniku Piłsudskiego, swobodnie spacerujące po bruku, bez strachu przed ludźmi. Plac Litewski to dla nich swoista enklawa. Litery zaplanowane na nieistnienie połączyły się z przyrodą. →

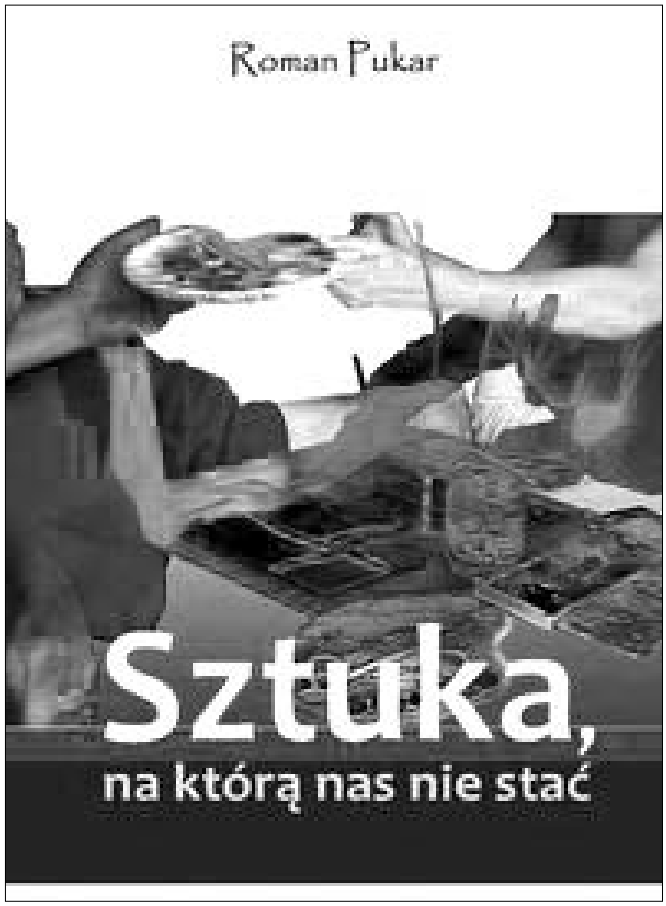

Efemeryczna akcja Tatarczuka wskazywała na cyrkulację materii i nieuchronność zmian".[2] Ten rodzaj sztuki podkreśla ulotność i transformację wyrazu. Podobnie ulotny, choć nie tak jak Tatarczuka, był performance Nezaket Ekici „Latający pył" również zrealizowany na Placu Litewskim. Polegał na ozdabianiu Placu Litewskiego dywanami malowanymi kredą, i ja swój namalowałam. Z czasem dywany zdmuchnął wiatr i zmył deszcz, ukazując ulotność, efemeryczność piękna świata.

Jednakże performance Tatarczuka nawiązuje również do zwyczajów kultywowanych w Chinach:

„Pierwszy dzień drugiego miesiąca księżycowego wyznaczał początek okresu zbiorów, stąd właśnie Święto Wyganiania Ptaków. Tego ranka kobiety z naszej rodziny wstały wcześnie, aby przygotować kleiste kuleczki ryżowe. A na polach gromadziły się już ptaki, czekające, aż mężczyźni przystąpią do sadzenia ryżu. Pracowałam ramię w ramię z teściową, mocno ugniatając kuleczki z ryżu, które miały ochronić inny ryż, najcenniejszy z naszych codziennych pokarmów. Gdy nadszedł czas, niezamężne kobiety z Tongkou wyniosły kulki na dwór i powtykały je na paliki, aby zwabić ptaki, mężczyźni zaś wysypali zatrute ziarno na obrzeżach pól. Kiedy ptaki zaczęły przełykać pierwsze zatrute ziarenka mężatki z Tongkou wsiadły do palankinów, na wozy lub wdrapały się na plecy służących o dużych stopach, które miały przetransportować je do rodzinnych wiosek. Stare kobiety mówią, że jeżeli nie opuścimy mężowskich domów, ptaki zjedzą świeże ziarno, które mężczyźni mają dopiero rzucić w ziemię, a my nie będziemy mogły urodzić kolejnych synów."[3] Lubelscy artyści często nawiązują do chińskich zwyczajów, gdyż ta tradycja robienia performance'ów jest bardzo silna od czasów wspomnianego East Village.

Perfomance „Ostry Dyżur Literacki w księgarni Dosłowna" prowadzonej przez Rafała Rutkowskiego w Centrum Kultury w Lublinie to oryginalna sesja z książką, mająca na celu promować czytelnictwo w zaskakującej happeningowej formie. W scenografii i konwencji gabinetu lekarskiego specjaliści literatury dla dzieci w kitlach lekarskich rekomendują wartościowe książki. Tytuły i ich dawkowanie przepisywane są na receptach. Akcja ma za zadanie uzdrowić uznających czytanie za nudne i zarekomendować kolejne wartościowe tytuły dzieciom, które od książek nie stronią. To dobór odpowiedniej lektury indywidualnie do wieku i preferencji oraz dotychczasowych doświadczeń czytelniczych, ze szczególnym uwzględnieniem wartościowych nowości. Lekarze dyżurni w Dosłownej zwracają się do Czytelników słowami: – Czy zdarza się, że przy lekturach szkolnych wszystko Cię swędzi, oczy same Ci się zamykają i podejrzewasz że masz uczulenie na nudne historie? Jeśli tak, przyjdź i odbierz receptę literacką na fantastyczne książki lub audiobooki! Wydarzenie odbyło się w ramach projektu „Ostry dyżur literacki w księgarniach niezależnych" finansowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Partnerstwo dla książki 2022 r.

W Lublinie pokazywanych jest wiele nowatorskich performance'ów. W omówionych pracach liczy się oryginalność, świeżość spojrzenia, intensywność przekazu. Przedstawione różnorodne nurty i koncepcje zachęcają społeczeństwo do uczestniczenia w kulturze. Stanowią ważny element integrujący społeczność. W kontekście zmieniających się uwarunkowań polityczno-społecznych performances stanowią platformę dialogu, rozwoju i wymiany doświadczeń. Podejmowane działania zachęcały uczestników do interaktywnego udziału w wydarzeniach. Czy aby podstawą projektów nie było poszukiwanie uniwersalnego języka sztuki? Obecnie mamy czas sprzyjający swobodnej refleksji i pogłębianiu świadomości dotyczącej sztuki performance, tworzenie narracji z widzem daje, jak można zauważyć, interesujące, ważne społecznie i kulturowo efekty.

Małgorzata Wielgosz

2 Marta Ryczkowska, *Przestrzenie sztuki performance* [w:] *Performance Platform Lublin 2012*, red. Alicja Burek, Paulina Kempisty, Lublin 2012.

3 Lisa See, *Kwiat Śniegu i sekretny wachlarz*, Warszawa 2012.

Wściekli sześćdziesięcioletni

(autobiografia) odcinek siódmy*

Jerzy Jacek Bojarski

*Dlaczego siódmy – ktoś zapyta – skoro nie było szóstego. Był szósty w 6. numerze „Lublina" z roku 2022! *Refleksje bożonarodzeniowe Anioły nad Londynem* to właśnie szósty odcinek mojej autobiografii.

KUL SKRADŁ MI SERCE!
OCZYWIŚCIE ZA MOIM CICHYM PRZYZWOLENIEM

Siódmy odcinek autobiografii – tego się nie spodziewałem, że aż tak daleko dojadę i dotrwam. Skąd ta wytrwałość? W tym miejscu muszę podeprzeć się autorytetem, jakim był i jest dla mnie Zbigniew Herbert. „W przesłaniu Pana Cogito" – Poeta ujął rzecz krótko, a jakże treściwie: „ocalałeś nie po to, aby żyć, masz mało czasu, trzeba dać świadectwo". Tak też było w moim życiu. Dałem świadectwo, co było nie w smak władzy PRL i jej Służbom Bezpieczeństwa – to było w latach siedemdziesiątych ubiegłego tysiąclecia. Zbrodniczej ideologii powiedziałem krótkie: NIE i byłem zawsze konsekwentny. Poniosłem tego „NIE" – srogie konsekwencje, ale nie żałuję tego. Przez sześćdziesiąt lat życia nie obnosiłem się z tym, absolutna c i s z a odnośnie mego świadectwa. To było tylko moje. Nigdy nie myślałem, nie planowałem, ani nie marzyłem, że będę się tym dzielił, pisał autobiografię. Ta cisza przypomina mi pokój w fabryce fortepianów w Japonii, gdzie się stroi te instrumenty. Absolutna cisza, miejsce jedyne na świecie. Teraz dotykam fragmentów swojego życia i chcę być muzykalny jak wiersze Józefa Czechowicza! Czy ja, afon, potrafię to zrobić? Nie wiem!? Teraz to moje świadectwo utrwalam na papierze. To nie jest świadectwo tylko o mnie, to jest także wydobywanie z mojego archiwum pamięci i pomroków fragmentów przeżytych w epoce i o epoce minionego PRL-u. Sam o sobie nie chcę wydawać świadectwa. To inni mogą zrobić o mnie i mówić, jaki byłem w domu, szkole podstawowej, zawodowej, technikum czy Liceum dla Pracujących, w Duszpasterstwie Akademickim na Złotej u o. Ludwika, na studiach historii na KUL lub i gdziekolwiek pracowałem.Czy też w rodzinie i małżeństwie. Rzecz niebywała i niespodziewana. Przeszło osiem lat temu, świadectwo wydał o mnie IPN (Instytut Pamięci Narodowej). Kiedy startowałem w wyborach do senatu w 2002 roku musiałem podać, że nie byłem świadomym „TW" (Tajnym Współpracownikiem) SB (Służby Bezpieczeństwa), co zrobiłem zgodnie z moją posiadaną wiedzą. Po kilkunastu latach dostałem list z IPN / Oddziału Lubelskiego, że prokuratura umarza śledztwo (sic!) – nie wiedziałem, że takie trwało w mojej sprawie! W owym liście doczytałem się, że prokuratura, nie tylko umarza śledztwo, ale znalazły się dokumenty świadczące o tym, że byłem inwigilowany i represjonowany za swoją postawę i wyznawanie wiary: pielgrzymki i uczestnictwo w życiu Duszpasterstwa Akademickiego na Złotej u oo. Dominikanów. →

A co oznacza liczba siedem?

By trochę do swoich wywodów wprowadzić element zaskoczenia na jednym wydechu wymawiam: duchowość, sekret, intelekt! Wprawdzie nie jestem intelektualistą, ale muszę znowu zacytować Zbigniewa Herberta – „Herbert nieznany – rozmowy" – „Podstawowym obowiązkiem intelektualisty jest myśleć i mówić prawdę. (…). Myśleć to znaczy zastanawiać się nad tym, kim jesteśmy i jaka jest otaczająca nas rzeczywistość. Oznacza to siłą rzeczy odpowiedzialność za słowo". Zawsze starałem się brać taką odpowiedzialność, czy się udało? Wobec systemu okrutnego tak. Skojarzenia, jakie cisną mi się obecnie pod klawisze komputera, w które stukam jak kiedyś chłop cepem w stodole o kłosy zboża. To taki prosty omłot. Liczba siedem symbolizuje filozofię oraz mądrość, ta liczba wiąże nam się z życiowymi rozmyśleniami i tajemnicą. Prawdziwa siódemka poszukuje odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Siódemka to również ważna liczba w Biblii. Występuje wiele razy.

W sześć dni stwarzał Pan Bóg świat, a siódmego odpoczął. Tak więc idziemy szlakiem wiary, szlakiem liczby siedem. Moją autobiografię nazwałbym „gawędą wspomnieniową".

Daleko mi do wspomnień świętego Augustyna, czy do dzienników Witolda Gombrowicza, a na pewno daleko, daleko do dzieła Karola Wojtyły „Dar i tajemnica". Nie jestem ani wyjątkowy, ani święty, ani tym bardziej Gombrowicz. Podziwiam Redaktora Zbigniewa Włodzimierza Fronczka, że wyciągnął mnie z kapelusza, jak iluzjonista wyciąga królika! Zaufał mi! (choć w mailu wyznał, że od początku okłamuje swoich autorów, mówiąc im, że piszą dobre teksty, tymczasem ich materiały powinny lądować w koszu. To pytam Redaktora po co pisać teksty do „Lublina"? – tego nie wie nikt?). Dlaczego mnie? Miał do dyspozycji wielu innych i rasowych pisarzy, ludzi z charyzmą i piórem bez kleksów, a wyciągnął mnie z tego czarnego kapelusza, nieznanego, być może bez wyrazu, a jednak podpowiedział tytuł: „Wściekli sześćdziesięcioletni" i zachęcił do roboty! To mnie zobowiązuje i wzywa, bym wypłynął na tej autobiografii w świat nieznanych mi czytelników i ich upodobań. Postanowiłem pisać, tylko pisać zapamiętaną prawdę i tylko prawdę. Moje małe „ja" i w tle epoka. Bez konfabulacji i kolorowania. Czytelnik zdecyduje czy pokonać tę pisaninę? Czy karty czasopisma „Lublin" przewertować dalej? Tanio skóry nie sprzedam, będę się starał, zmagał i kokietował Czytelnika innością wspomnień, języka i epatował swoją tożsamością? Fronczek wymagający, choć w trakcie okazało się, że Pinokio, a ja emeryt, cukrzyk, tarczyca i jest tych chorób od cholery i jeszcze trochę! Jednak w tym wieku to norma i nic nadzwyczajnego.

Kiedy zacząłem pisać te słowa, mamy już Nowy Rok AD 2023, 13 stycznia. Dzień, w którym 41 lat temu urodził się mój pierworodny syn Szymon Piotr. Byliśmy wtedy w Kluczborku u teściów, województwo opolskie. Stan wojenny. Porodówka w Kluczborku miała akurat remont, kiedy przyszedł czas na rozwiązanie, żona Ania pojechała do szpitala do Olesna województwo częstochowskie. Po co ta wyliczanka aptekarska? – by przybliżyć Czytelnikowi tamten czas. Aby przekraczać granice województwa, trzeba było mieć urzędowe pozwolenie. Takowego nie miałem. Pojechałem do Olesna, by zobaczyć z dala przez okno Anię. Więcej zachodu niż kontaktu wzrokowego. Zostaliśmy rodzicami w czasie najgorszym z możliwych. Atmosfera wojny? Jakiej? Jaruzelskiego z Narodem. Świadomie nie podaję stopnia wojskowego, gdyż polskim suwerennym żołnierzem to on nie był. Był z nadania sowietów. Ba, niektórzy nawet dowodzili, że był ruską matrioszką przeszczepiony na nasz grunt. Na rogatkach wojsko. W sklepach pustki. Przerwa od studiów. To tak tytułem wprowadzenia do daty 13 stycznia. Obecnie jest sporo po północy! Nie mogę usnąć. Myślę już o następnym odcinku mojej autobiografii. Usiadłem do komputera, aby ogarnąć siódmy odcinek. Wcześniejszy odcinek szósty ukaże się w kwietniu 2023 roku. Nie jest dla mnie proste, jak redaktor naczelny czasopisma „Lublin", Zbigniew Fronczek, za jedne rzeczy mnie chwali, za inne strofuje: „Dobrze wychodzi Ci relacjonowanie, sprawozdawczość to Twoja mocna strona. Refleksje, wynurzenia są znacznie gorsze, przepraszam, powiem szczerze: nieudolne. Zgoda, opinie czytelników interesujące, powinny się w tej relacji znaleźć, ale po przedstawieniu opinii przechodzisz do refleksji i to są już – jak powiadam – nieudolne bajdurzenia". Tracę pewność siebie. Przyjąłem na klatę to pouczenie. Będę się starał: On literat, prozaik wytrawny, może sobie pozwolić na różne gry i zabawy słowne, ja, historyk, muszę się trzymać nagich faktów, a nie aktów. Nie jestem Tamarą Łempicką.

Do rzeczy! W tym wspomnianym okresie wiele wydarzyło się w moim życiu, nie wiem, czy potrafię to wszystko ogarnąć i przypomnieć, bo tych wydarzeń było multum. Po obronie pracy magisterskiej dowiedziałem się, że jest vacat w księgarni uniwersyteckiej: Dział Wydawniczo-Poligraficzny Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Działem kierował Norbert Wojciechowski, który poszukiwał pracownika do księgarni. Złożyłem podanie o przyjęcie mnie do pracy, z dniem 1 lipca 1984 zostałem pracownikiem Księgarni Uniwersyteckiej KUL, w której przepracowałem 17 lat, zastąpiłem na tym stanowisku mojego brata Tomasza Adama Bojarskiego, absolwenta Socjologii KUL. W tamtym okresie to był dla mnie ogromny zaszczyt pracować w „sercu intelektualnym" katolickiej Polski. Czułem

się tak dumny i szczęśliwy, jakbym Pana Boga za nogi uchwycił. Ale czy na pewno? Jedyny prywatny i katolicki uniwersytet między Łabą a Władywostokiem, który wtedy wydawał mi się być wolną uczelnią i poza kontrolą, poza wpływami władzy komunistycznej z nadania sowieckiego. Wtedy tak myślałem: to był inny kosmos i inna galaktyka? Szczęściarz ze mnie, bez protekcji, ot tak z ulicy, ale moją ulicą były studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dzisiaj to trudno wytłumaczyć, kiedy mamy państwo suwerenne i niepodległe. Wtedy zaś panował wszechogarniający komunizm, kontrolujący wszystkie przejawy życia społecznego od żłobka po grób. Nawet klepsydry żałobne były w gestii cenzury. Nieustająca walka z kościołem o rząd dusz. Kiedy ja starałem się o przyjęcie do pracy na KUL, moja żona Anna wraz synem Szymonem Piotrem (miał dwa lata i pięć miesięcy oraz z synem Krzysztofem pod sercem) udała się wraz z Lucyną Montusiewicz na wspólne wakacje do leśniczówki Stary Tartak w Lasach Kozłowieckich. Lucyna była z dwójką synów: Marcinem i Markiem. To było bardzo urocze i miłe miejsce. Lasy te pełniły rolę zielonych płuc dla Lublina od strony północnej miasta. Pamiętam Elę Chrzanowską, pół roku później już po mężu Słowińską, młodą lekarz pediatrę, która również tam krótko była, wypoczywała i zbierała grzyby. Wspominam zagranicznych myśliwych polujących na koziołki. Wówczas po opłaceniu dewizami mogli polować w naszych Państwowych Lasach i wziąć ze sobą do domu poroże jako trofeum myśliwskie. Moja żona często wychodziła na drogę z Szymonkiem czy przypadkiem tatuś nie przyjechał? Wtedy nie miałem samochodu, nie było telefonów komórkowych. Kontakt był prawie zerowy. Owszem był telefon stacjonarny, ale po godzinie szesnastej trudno było się tam dodzwonić. Transport nie funkcjonował na miarę pragnień. Do dzisiaj ma do mnie żal, że tak rzadko ich odwiedzałem. Biję się w piersi, moja wina. Kiedy piszę ten tekst, w środku nocy wg czasu angielskiego 23.00, urodziło się moje 11 (jedenaste!) wnuczę! Bardzo piękne dziewczę, z dołkiem na policzku, o imieniu Judyta Tatiana, wadze 3750 gramów. Ten dar życia w mojej rodzinie u syna Andrzeja i synowej Doroty dodaje mi powera w pisaniu. Judyta urodziła się w Milton Keynes jako poddana króla Karola III, choć rodzice są Polakami.

W tamtym okresie do pracy przyjmował mnie ks. rektor bp Piotr Hemperek (1983–1988). Po jego nagłej śmierci stanowisko rektora objął bp Jan Śrutwa (1988–1989), który tylko dokończył kadencję poprzednika. Pamiętam pogrzeb rektora. Kondukt szedł z katedry, przez ulicę Królewską, plac Łokietka, Krakowskie Przedmieście, na cmentarz przy ulicy Lipowej. To była także wielka manifestacja wiary. Kilka tysięcy ludzi brało udział w tych uroczystościach pogrzebowych. Długi czas, bo trzy kadencje „Alma Mater" KUL zarządzał ks. prof. Stanisław Wielgus (1989–1998), dopóki nie został wybrany przez papieża Jana Pawła II na ordynariusza diecezji płockiej. Zaś ostatnim moim pracodawcą był rektor ks. prof. Andrzej Szostek MIC – marianin (1998–2004). To u niego byłem na święceniach kapłańskich w 1974 roku w Górze Kalwarii z Halą Rycerz, święcenia wraz z nim miał współbrat o. Jan Gajek. Kiedy ks. Szostek był rektorem, to Wielkim Kanclerzem KUL był ordynariusz diecezji – od 1992 roku, po reformie administracyjnej Kościoła katolickiego, archidiecezji – abp Bolesław Pylak, następnie abp Józef Życiński (1997–2011). Prymasem Polski był ks. Józef kardynał Glemp (1981–2009).

Ktoś może zapytać po co wymieniać te wszystkie nazwiska, funkcje, czas kadencji? Tak się dzieje w historii, zwłaszcza zaś w historii zbawienia, że nic się nie dzieje anonimowo. Za wszystkim stoją konkretni ludzie, którymi Bóg się posługuje, stąd moja decyzja, by ich tutaj przywołać, tym bardziej, że znałem ich wszystkich osobiście. To oni mieli także pośredni wpływ na to, kim byłem i co robiłem! Co nie znaczy, że byłem bezkrytyczny wobec nich. Po sensacyjnym odejściu Norberta Wojciechowskiego z KUL w 1989 roku, jego stanowisko objął ks. magister Edward Pudełko TW (tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa, kolega księdza Wielgusa). Do dziś nie wiadomo, jaką rolę odegrał w tych zmianach ks. bp Jan Śrutwa, a jaką ks. rektor Stanisław Wielgus? To wszystko się działo jeszcze za czasów końcówki PRL. Czy ich decyzje były suwerenne, niezależne? Mój szef Norbert Wojciechowski miał wielkie wątpliwości. Na ten temat możemy się więcej dowiedzieć z publikacji Macieja Sobieraja „Między oporem a lojalnością. Działania SB wobec KUL na przykładzie rozpracowania prof. Jerzego Kłoczowskiego" oprac. dokumentów Michał Mroczek, Lublin 2015, s. 848.

Myślę, że warto stawiać pytania, a jeszcze bardziej szukać odpowiedzi. Nie ulega wątpliwości, że kościół katolicki był rozpracowywany, a w tym także ludzie pracujący na KUL.

Trzeba jednak ostrożnie podchodzić do dokumentów znajdujących się w IPN i umieć je interpretować. W moim na przykład przypadku źródła z IPN nazwałbym, jak to się ładnie w historii ujmuje, „autentyk falsyfikat". Wszystko się zgadza: nazwisko, miejsce i co robiliśmy oprócz jednego, odnośnie do niektórych rzeczywistości. To zadanie dla wytrawnych historyków, a nie polityków i dziennikarzy! Uważam, że wszyscy uwikłani we współpracę ze Służbami Bezpieczeństwa sami powinni się do tego przyznać i wypuścić demona uwięzionego w teczkach. „Tak–tak, nie–nie" – jak pisał Zbigniew Herbert w wierszu „Kołatka".

Studenci historii KUL zgromadzeni na spotkaniu z papieżem, rok 1987

Maria Ryznar, Zofia Furmanek, J. J. Bojarski

Autor, ks. prymas J. Glemp, rektor KUL ks .prof. S. Wielgus, H. Suchocka

J. J. Bojarski, ks. prymas J. Glemp, ks. K. Wierzchowski

Są tacy którzy w głowie
hodują ogrody
a włosy ich są ścieżkami
do miast słonecznych i białych
łatwo im pisać
zamykają oczy
a już z czoła spływają
ławice obrazów
moja wyobraźnia
to kawałek deski
a za cały instrument
mam drewniany patyk
uderzam w deskę
a ona mi odpowiada
tak–tak
nie–nie
innym zielony dzwon drzewa
niebieski dzwon wody
ja mam kołatkę
od niestrzeżonych ogrodów
uderzam w deskę
a ona podpowiada
suchy poemat moralisty
tak–tak
nie–nie

[Wiersz z tomu *Hermes, pies i gwiazda*; cyt. za: Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane*, opracowanie edytorskie R. Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2008, s. 102–103]

Współpracował lub nie współpracował? Jak współpracował to dlaczego? – szantaż, pieniądze, strach, z podłości czy dla idei? Sprawa prosta jak budowa cepa! W Polsce mści się brak lustracji na uczelniach, w kulturze, u literatów (nawet na stronach czasopisma „Lublina" są nazwiska osób, które współpracowały, ba – brały nawet za to pieniądze!), w mediach, służbach mundurowych, urzędach, sądach, polityce, a jakże – nawet w instytucji kościelnej itd. To właśnie stąd się wzięła „gruba linia" Tadeusza Mazowieckiego zwana następnie, by złagodzić brzmienie i oswoić rzeczywistość, „grubą kreską". Nazwa komiczna, eufemistyczna, ale cel został osiągnięty! Sam był umoczony we wspieranie dawnego systemu komunistycznego, był kiedyś oskarżycielem przed komunistami bpa kieleckiego Czesława Kaczmarka, to czy mógł postąpić inaczej? Z braku lustracji płyną podziały. Nie uczynił ich na pewno Jarosław Kaczyński, jak chcą jego przeciwnicy polityczni. Okrągły stół nie służył do dialogu, jak chcą niektórzy uprawiający taką narrację, ale służył zabetonowaniu i umocnieniu starego sytemu czyli „betonoza komunizmu". Z wielką przykrością muszę przyznać, że brali udzia w tych rozmowach nieliczni ludzie Kościoła,

wydelegowany ks. Bronisław Dembowski – jako obserwator czy bp Alojzy Orszulik, którzy uwiarygodnili wszystkie „kanty" tych ustaleń przy okrągłym stole!

Z satysfakcją muszę odnotować fakt, że moja autobiografia jest nie tylko czytana, ale także doszły mnie słuchy od ks. Jacka Piotrowskiego, który wraz z moim bratem Tomaszem Adamem Bojarskim odbył wycieczkę śladami moich wspomnień, co wprawiło mnie w osłupienie i zadziwienie, ale połechtało moją próżność. Wracając do osoby ks. Jacka Piotrowskiego, muszę zaznaczyć, że dwadzieścia pięć lat temu został wyświęcony na prezbitera przez ks. prymasa Józefa Glempa – 27 maja 1995 roku, wcześniej w latach 1990–1995 był seminarzystą warszawskiego „Redemptoris Mater". Ukończył je przyjmując święcenia. Zanim jednak miał powołanie i poszedł do seminarium, był wcześniej studentem w latach 1971–1977 Akademii Medycznej w Lublinie. Później pracował w latach 1977–1978 w Bydgoszczy, w latach 1978–1986 roku w Lublinie, a następnie w latach 1987–1990 w Lubartowie. Tak więc z lekarza ciała został lekarzem dusz, przepowiadając ewangelię. Obecnie ewangelizuje.

Księgarnia Uniwersytecka KUL – na parterze uczelni w latach 1984 –1987

Pierwsza księgarnia mieściła się na parterze we frontonie i była umieszczona przy głównym wejściu na Katolicki Uniwersytet Lubelski od al. Racławickich, naprzeciwko portierni, przy hollu głównym. Na początku sprzedawałem tylko książki Redakcji Wydawnictw KUL. Ponadto posiadałem dwieście numerów „Tygodnika Powszechnego", dla którego miałem założone teczki z nazwiskami. W tamtych czasach czasopismo było z autorytetem, były w nim zaznaczone ingerencje cenzury. Wtedy można śmiało było powiedzieć, że czytelnicy to elity intelektualne katolickiej Polski. Ale czy na pewno? Co tydzień wydawałem to interesujące pismo swoim klientom i miałem kontakt z ciekawymi odbiorcami. Tutaj poznałem Tomasza Pietrasiewicza, później dyrektora „Ośrodka Brama Grodzka Teatr NN". Muszę wyjaśnić, że normalnie to medium nie było do zdobycia w kioskach Ruchu (tę schedę przejąłem po moim poprzedniku Tomaszu Adamie Bojarskim). Nie ukrywam, że był to także ogromny zastrzyk pieniędzy. Natomiast książki RW KUL uzupełniałem codziennie z kolportażu, na czele którego stała pani Alfreda Sobkowicz. Kolportaż znajdował się w baraku od strony ulicy Łopacińskiego (dawniej mieściły się tu stajnie, gdyż były to budynki koszar wojskowych). Księgarnia była też bardzo ważnym miejscem, gdzie bezpłatnie rozprowadzałem Pismo Święte w językach słowiańskich, dla chętnych odwiedzających uczelnię z „krajów demoludu".

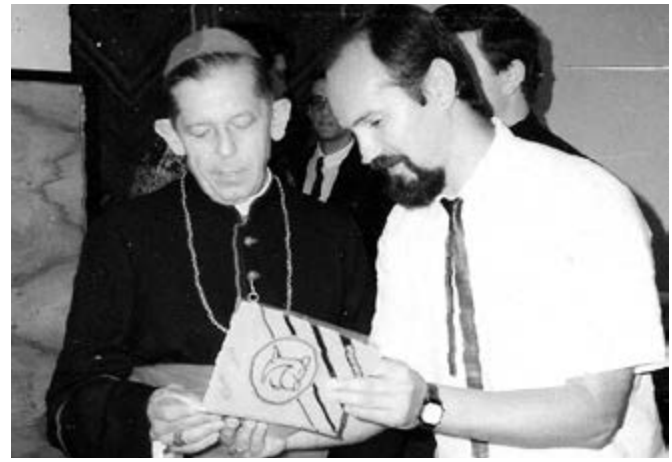

Ks. prymas J. Glemp i J. J. Bojarski

J. J. Bojarski, ks. prymas J. Glemp, ks. prof. B. Bartkowiak

Premier RP Hanna Suchocka i J. J. Bojarski

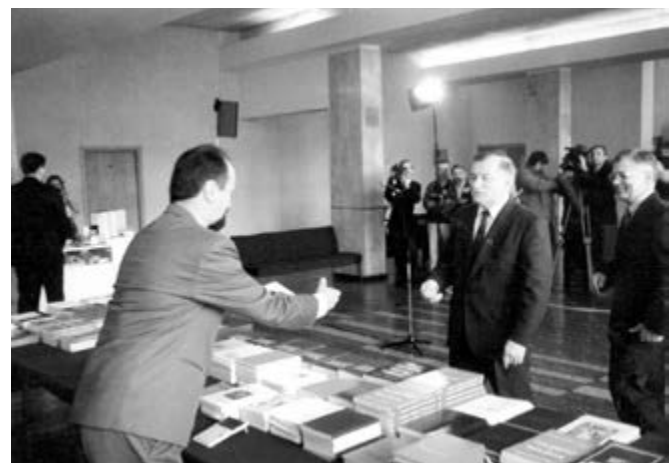

Lech Wałęsa zapraszany do stoiska J. J. Bojarskiego

Lech Wałęsa z książką podarowaną przez J. J. Bojarskiego

J. J. Bojarski i rabin Rzymu Elio Toaff

Prof. J. Kłoczowski i J. Krupski

J. J. Bojarski i ks. prof. S. Budzik

Robiłem to bardzo dyskretnie i rozsądnie. Stamtąd, z kolportażu przywoziłem na wózku wiele paczek z książkami. To szło w tony. Wszystko później musiałem wnieść na pierwsze piętro. Ponadto na stanie miałem – tylko dla ludzi zaprzyjaźnionych – książki bezdebitowe i bibułę oraz znaczki „Solidarności", a także cegiełki, o czym nie wiedział nawet mój przełożony Norbert Wojciechowski (choć był Solidarnościowcem z krwi i kości, w stanie wojennym się ukrywał). W tym miejscu wypada mi wspomnieć, że z drukarni, z odpadów, sprzedawałem bloczki zrobione z fińskiego papieru. Pieniądze były przeznaczone dla fachowców z państwowych zakładów, którzy reperowali sprzęt w Małej Poligrafii, gdy zaszła taka potrzeba. To była usługa poza księgowością. Nie miałem w te operacje wglądu i tym się specjalnie nie interesowałem. Wszystkie usterki były robione na „cito", bez wystawiania rachunków, bo ci fachowcy przychodzili naprawiać nasz sprzęt poza godzinami swojej pracy. Byli godziwie wynagradzani, skoro to naprawiali. Praca w księgarni to także śmieszne sytuacje. Pewnego razu wezwał mnie szef Wojciechowski telefonem wewnętrznym. Przyjdź natychmiast do mnie do gabinetu i zamknij księgarnię, wywieś kartkę, że jesteś u mnie. Polecenie przełożonego, to się nie dyskutuje. Zrobiłem, jak nakazał, przyszedłem. „Siadaj i czekaj" – polecił. Rozmawiał przez telefon. Jedna rozmowa, druga, zagraniczne rozmowy, wreszcie skończył. Siedziałem u niego ze 20 minut i czekałem. On pyta, co ja robię u niego. Odpowiadam: „Wezwałeś mnie (byliśmy po imieniu), to czekam. On ciągnie dalej. Nie pamiętam, po co ciebie wezwałem, wracaj do księgarni. Wcześniej mnie zrugał, że nie jestem na swoim stanowisku tylko wysiaduję u niego. Podkuliłem „ogon" i wyszedłem, takich sytuacji miałem wiele… hahaha.

Innym razem wpadł do mnie do księgarni i zaczął mi myszkować w biurku. Otworzył drzwiczki, wyciągnął wypasiony koniak! – Co to jest? – pyta. – Alkohol?! A ty wiesz, że w pracy nie można pić?! Odpowiadam, że wiem i dodaję: „Ja w pracy nie piję, wychodzę z księgarni na holl, walnę sobie lufkę i wracam do pracy". Zrobił zdziwioną minę. Chciał mi zabrać tę niezwykłą w kształtach i nalepce butelczynę, ale nie dałem jej sobie odebrać. To był napój „bogów" dla gości. „Nie zabieraj mi – poprosiłem". Flaszka się ostała.

W październiku 1984 roku przez kraj przeszła bardzo smutna, a zarazem tragiczna wiadomość, ks. Jerzy Popiełuszko, kapelan Solidarności z kościoła na Żoliborzu został uprowadzony przez Służby Bezpieczeństwa. To był czas bardzo tragiczny i smutny w Polsce. Śmierć poniosło wielu kapłanów m.in. Niedzielak, Zych czy Suchowolec.

Muszę nadmienić, że bardzo ważne były dla mnie wyjazdy na majowe Międzynarodowe Targi Książki

w Warszawie, które odbywały się w Pałacu Kultury (dawniej im. Józefa Stalina, te litery nazwiska jeszcze były nie skute, umieszczone pod neonem Pałac Kultury i Nauki. Stalin, właściwie Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili – radziecki rewolucjonista bolszewicki, dyktator, polityk i zbrodniarz komunistyczny pochodzenia gruzińskiego, odpowiedzialny za śmierć milionów niewinnych ludzi). Na targach książki poznawałem niezwykłych wydawców, autorów, pasjonatów książki. Zdobywałem mozolnie i powoli wiedzę książkową. Byłem wiele razy na takowych eskapadach za dyrektorowania Norberta Wojciechowskiego, potem ks. Edwarda Pudełko, a następnie, po 1991 roku sam jako prywatny wydawca „Wydawnictwa Kerygma".

Inne wspomnienie, to opowieść, która znalazła swój epilog w zakazanej bibule. Z niej wynika wielka afera, w którą zostałem wkręcony. Na długo przed wizytą papieską w 1987 roku KUL odwiedził ktoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ze Służbami Bezpieczeństwa. Trwały ustalenia co do wizyty papieskiej na KUL. W witrynie księgarnianej miałem wyłożone płyty z Lechem Wałęsą i Czesławem Miłoszem z wizyty w uczelni w 1981 roku. (wtedy nie miałem tej wiedzy o Panach noblistach, którą obecnie posiadam, dzisiaj bym ich już nie promował). Przed drzwiami na gości oczekiwał rektor bp Piotr Hemperek. Zobaczył witrynę i polecił mi natychmiast ściągnąć te płyty z wizerunkami noblistów oraz kasety. Odpowiedziałem, że jako podwładny odmawiam wykonania polecenia, ale ze względu na posłuszeństwo biskupowi, w wymiarze wiary, to ściągnę drażniące jego oczy albumy płytowe i kasety. Z dala obserwował ktoś nasze zajście. Po odejściu rektora z gośćmi, redaktor podziemnego biuletynu – to był chyba Andrzej Peciak, zapytał mnie, o co chodziło w tym zamieszaniu? Wyłożyłem całą sprawę, że dostałem takie polecenie. Na drugi dzień ukazała się notka w podziemnej prasie, że jak tak dalej pójdzie to na KUL-u każą krzyże ściągać ze ścian. Oczywiście nie wiedząc nic o tej notatce, zostałem wezwany na dywanik do rektoratu. Na samym wstępie dostałem pytanie: „Czy ja wiem, kto to napisał i czy to moja była w tym sprężyna?" Odpowiedziałem przecząco zgodnie z prawdą. Ktoś rektorowi zasugerował, by mnie zwolnić z pracy. Odpowiedział, że się nie da, bo ten pan jest w „mafii" (neokatechumenacie). Tak się nas bali? Sic! Powiem więcej, na drugi dzień po tej notce nad wejściem do uczelni powieszono wielki krzyż! To był mój cichy sukces i satysfakcja, nad drzwiami powieszono krzyż Jezusa Chrystusa!

Tak jak w każdym zawodzie pracownicy mieli swoje bonusy, tak i w Redakcji Wydawnictw KUL redaktorzy dostawali egzemplarz nowego tytułu za darmo. Ci, którzy

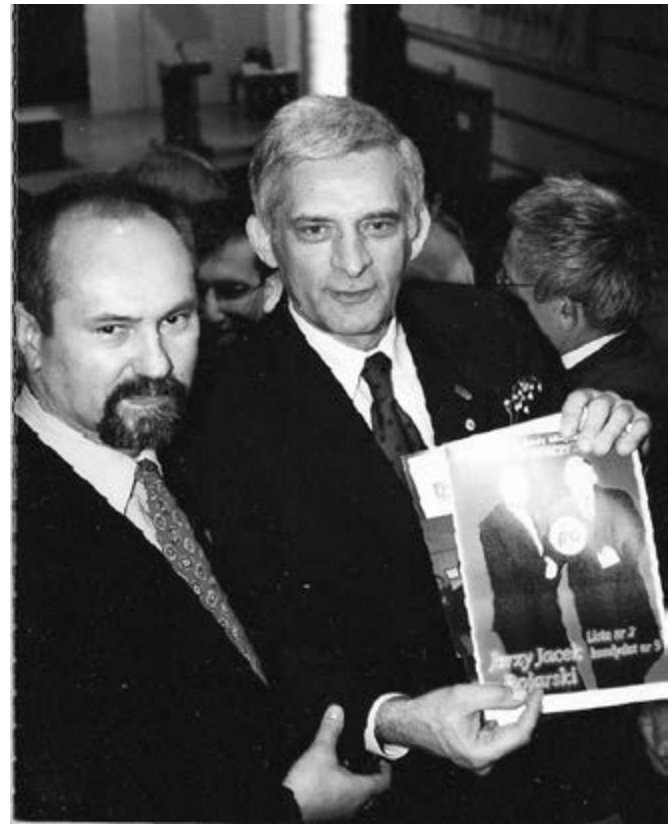

Premier RP Jerzy Buzek z plakatem wyborczym J. J. Bojarskiego, kandydatem do Rady Miasta

nie chcieli książek, zamieniali je u mnie na gotówkę. Na wypłatę musieli cierpliwie poczekać.

Praca w księgarni dawała mi wiele satysfakcji. Przede wszystkim byłem tym pierwszym, który witał wchodzących na uczelnię i żegnał. Byłem bardzo spostrzegawczy. Umiałem kojarzyć fakty i sytuacje. Wiedziałem, kto odwiedza uniwersytet i do kogo przychodzi. Na bieżąco byłem poinformowany, kto co napisał i czym się zajmuje. Brałem udział w obronach prac doktorskich, a później drukowane sprzedawałem. Nie ukrywam, że lubiłem władzę. Tak – władzę w sensie intelektualnym, nad drugim człowiekiem, a zwłaszcza nad wyżej postawionymi ode mnie: nad profesorami i ludźmi utytułowanymi, którzy obnosili się z tym, jak paw ze swoim kolorowym ogonem. Ja zaś, jak ta „cwana gapa", umiałem brylować nad próżnością ich „bełkotu naukowego". Super recenzent publikacji naukowych i wystąpień na auli przy różnych okazjach, debatach sympozjonach i kongresach. Ja nie sprzedawałem publikacji naukowych jak przysłowiowych ziemniaków, proszę kilogram, proszę dwa, ale jako znawca przedmiotu. Zresztą na ziemniakach też trzeba się znać, tych jest ponoć kilkaset odmian – jak donosił w swoim programie Robert Makłowicz. Inne na frytki, inne na puree, inne do obiadu, a jeszcze inna na placki ziemniaczane, czy do tortilli, a inne do przegryzek jako płatki ziemniaczane. Byłem pyszałkiem, często brakowało →

mi pokory. Dobrze, że nie znałem języków, boby mnie diabli porwali żywcem do piekła. Nie znosiłem profesorów, którzy stali przed witryną i tylko oglądali swoje „dzieciątka" – publikacje i się obleśnie intelektualnie tym „masturbowali". To było nieznośne. Tylko oni najmądrzejsi i najpoczytniejsi. Innych poza sobą nie widzieli. To była skaza wielu tak zwanych naukowców katolickich, którzy przeszli musztrę religijną, a chrześcijaństwo znali tylko z książek lub z biblii, ale nie z autopsji. Czy tak było? – prawdopodobnie tak!? Byli tacy, co się zwalczali w prasie reżimowej np. moi profesorowie: Ryszard Bender i Czesław Bloch. Nie mogłem tego swoim małym móżdżkiem pojąć! Nie mogli tego zrobić na stronie i dać sobie po razie w szacowną gębę? Nie, nie mogli. Roztrząsali to jak chłop na swoim polu gnój!

Na uniwersytecie było kilka nazwisk, które mógłbym wymienić, jak palce u jednej ręki: kciuk, wskazujący, środkowy, serdeczny i mały. To byli skromni ludzie, z niezwykłą wiedzą, a na dodatek bardzo pokorni. Do nich zaliczałem: ks. profesora biblistę, tłumacza Józefa Kudasiewicza (1926–2012); ks. profesora ordynariusza diecezji opolskiej Alfonsa Nossola (ur. 1933); ks. prof. Wacława Hryniewicza OMI, (1936–2020) głosiciela prawdy powszechnego zbawienia, specjalistę prawosławia, ekumenistę; ks. Stanisława Celestyna Napiórkowskiego (franciszkanina urodzonego w 1933 roku) dogmatyka, mariologa, ekumenistę. Ostatnim z wymienionych jest profesor Marian Maciejewski (1937–2013) specjalizujący się w historii literatury oświecenia i romantyzmu. Do tej mojej listy muszę dołączyć dra hab. Edwarda Zwolskiego, choć miałem uwagi do niego, pozanaukowe, ale miłosierdzie wygrało z osądem. Warto wspomnieć prof. filozofów: ks. prof. Mieczysława Alberta Krąpca (1921–2008) – dominikanina, filozofa, tomistę, humanistę; s. Zofię Zdybicką (ur. 1928), ks. prof. Mariana Kurdziałka (1921–1997) filozofa, historyka filozofii. To twarze i umysły mojego uniwersytetu. Ich podziwiałem.

Byli i na uczelni profesorowie, których nie wspomnę, bo mi wstyd, przymykali oczy na plagiaty (to „naukowcy" z prawa kanonicznego). Dla nich dobrego słowa nie mam. Niech się sami rozliczą ze swoich dokonań. By nie wyszło z tego tekstu, jak to często bywa, że wszyscy są „be" a ja „cacy", muszę i o sobie kilka uszczypliwości dodać. Wszak język mam niewyparzony. Oprócz smakowania się „władzą", lubiłem pieniądze, z czego sobie szybko zdałem sprawę. Pieniędzy nie mam, a problem pozostał. Ostatnią z przywar, która była mi bliska, jak koszula ciału to seks. Ponoć się z nim uporam, jak wieko przybiją mi do mojej trumny, ale dobrze znać swoje słabości i się z nimi zmagać! Władza, pieniądze i seks. Niech każdy się temu sam przyjrzy i wyda w swojej sprawie wyrok lub doniesie na siebie w sakramencie pokuty do Pana Boga! Być może wtedy wyda owoce obfite i zrobi krok naprzód! Sukces murowany!

W czasie, kiedy na Uniwersytecie odbywały się kongresy, sympozja, tygodnie naukowe itp., by łatwiej mi było obsłużyć tyle osób, wystawiałem przed księgarnią stoły, na których były wyłożone publikacje. Zainteresowany mógł sam wziąć do ręki interesujący tytuł. Potem już tylko inkasowałem pieniądze.

Rodzina

Kiedy rozpocząłem pracę na KUL-u byłem żonaty z Anną Jolantą z domu Lesiuk. Mieszkaliśmy na ulicy Wileńskiej. Do dyspozycji mieliśmy cztery pokoje. Miałem raptem 29 lat, dużo fantazji, ale i siłę przebicia. Chciałem przede wszystkim ze swojej pracy utrzymać rodzinę. Nie miałem najlepszej pensji, ale nie musiałem nurzać się w systemie władzy komunistycznej. Praca na KUL była dla mnie parasolem ochronnym przed kontaktem bezpośrednim z komuną. Żona Anna zajmowała się znakomicie domem i dziećmi. Ja byłem tym myśliwym, który przynosił nie tylko pobory, ale to, co upolował każdego dnia: raz papier toaletowy, innym razem ser żółty czy jakieś soki dla dzieci. Wszędzie kolejki, a to po chleb czy masło! Blisko był targ, gdzie można było kupić świeże warzywa i owoce. To była swoista sztuka przetrwania. Nie wystarczało mieć pieniądze, ale potrzebne były znajomości. Co jakiś czas jechało się kupić ćwiartkę świni i było mięso. Owszem, były kartki w tym na mięso i cukier, alkohol itp. W tym okresie przychodziły paczki na KUL, dzięki nim mogliśmy wiązać koniec z końcem. Była też kawa czy inne pyszności. Wówczas mieliśmy na wychowaniu syna Szymona Piotra (13 stycznia 1982), którego wspomniałem, 10 grudnia na świat przyszedł drugi syn Krzysztof (1984), następnie narodziła się nam córka Natalia (27 grudnia 1988), czwarty syn Andrzej narodził się 10 października 1990 roku. W kwietniu 1994 roku przeżyliśmy dramat, urodziło się nam piąte dziecko, martwa córka Marta, urodziła się dla Nieba. Szóstym dzieckiem w naszej rodzinie jest Stanisław urodzony 1 lutego w 2003 roku, wtedy już pracowałem w Miejskiej Bibliotece Publicznej imienia Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

Urlopy

Po ukończeniu studiów miałem 26 dni urlopu. Często wakacje spędzaliśmy nad jeziorem Rogóźno w Ośrodku Wczasowym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oddalonym od Lublina około 45 kilometrów. Dla mnie młodego człowieka, to był piękny czas. Woda, kajaki, łódki

i pływanie, jazda rowerem, spacery po lesie. Sprzętem zawiadywał mgr Adam Chruszczewski (1932–2019) historyk. Znawca ornitologii. Po południu gra w kosza, bo znajdowało się boisko do tej dyscypliny. Było dużo kolegów z pracy. Dobre towarzystwo m.in: Marcin Ruszkowski z żoną Anną, Jerzy Szatkowski z żoną Małgorzatą. Krzysztof Mietelski z żoną Bożeną, Andrzej i Ewa Peciakowie, Zbigniew Słowiński z żoną Elą, Witek Kalwiński z żoną Ewą czy Herbert Urlich z żoną Dorotą.

W tym okresie z USA do szkoły letniej przyjeżdżał Meichel Sulilivan, narzeczony Ilony Lipskiej – sąsiadki z klatki schodowej na ulicy Wileńskiej. Wtedy graliśmy w kosza na śmierć i życie, czasami lała się krew. Pojedynki były zażarte. Niedaleko ośrodka powstała tak zwana „Kulowszczyzna" – domki letniskowe kulowców. Dzieci też się nie nudziły. Były wspólne ogniska. Dużo profesorów. To była jedna wielka rodzina. Znakomita kuchnia domowa, którą prowadziły siostry urszulanki. Świetne śniadania i kolacje. Obiady każdy mógł sobie dołożyć tyle, ile mógł zjeść. Były i wypieki, jak uzbieraliśmy jagód. Stołówka miała wrota jak do garażu, drzwi były otwarte z widokiem na las i jezioro. Tego nie da się zapomnieć. Mile wspominam rozmowy z księdzem profesorem rektorem Mieczysławem Albertem Krąpcem. Przy ognisku śpiewał dumki. Opowiadał o życiu spod Zbaraża (obecnie Ukraina). Miał swój domek letniskowy. Był świetnym pływakiem, tak samo jak prof. Irena Sławińska, która lepiej pływała niż chodziła. Ks. rektor nie raz opowiadał o swoich kontaktach ze Służbą Bezpieczeństwa czy z ludźmi z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, by uczelnia mogła funkcjonować. On nie współpracował z SB, ale rozgrywał różne rzeczy dla dobra uniwersytetu. Miał siłę przebicia.

Drugą część urlopu spędzaliśmy w Kluczborku u rodziców Ani, na Dolnym Śląsku oddalonym około 365 km od Lublina. Tam był ogród i warzywa, jabłka i wiśnie, morele, agrest i porzeczki. Dzieci chlapały się cały czas w wodzie. Babcia Irenka Hryckiewicz, mama teściowej Tatiany, prowadziła wyśmienitą kuchnię. Robiliśmy wyprawy do ZOO w Opolu czy we Wrocławiu. To była nasza odskocznia wakacyjna od Lublina.

Dzięki teściowi Stanisławowi Lesiukowi jeździliśmy nad Morze Bałtyckie do ośrodków nadmorskich Famaku: Niechorze i Pobierowo lub w góry do Borowic koło Karpacza – latem, albo zimą do Karpacza.

Zimą jeździliśmy także do kulowskiego Domu Pracy Twórczej do Kazimierza Dolnego nad Wisłą, gdzie kierownikiem ośrodka był Kazimierz Zając. Saniami jeździliśmy po zjawiskowych wąwozach wokół Kazimierza. To był niezwykły czas. Nie miałem pojęcia, że Kazimierz odwiedzał również Książę Poetów Zbigniew Herbert,

Czas urlopów. Nad jeziorem Rogóźno z siostrami zakonnymi

z jego korespondencji z rodziną wynika, że był co najmniej trzykrotnie w tym miasteczku, gdzie odpoczywał i tworzył.

Życie uniwersyteckie

Przez siedemnaście lat byłem świadkiem corocznych inauguracji uniwersytetu, zawsze miałem okazję rozmawiać z ks. Prymasem kardynałem Józefem Glempem, immatrykulacji – uroczystości przyjęcia studentów na I rok studiów, sympozjonów, debat, kongresów, byłem świadkiem obrony niejednej pracy doktorskiej, nadawania doktoratu *honoris causa*, egzaminów wstępnych i zjazdów duchowieństwa z całej Polski. Bywałem na koncertach w auli i oglądałem spektakle Sceny Plastycznej KUL Leszka Mądzika. Był święty Mikołaj dla dzieci i opłatek uniwersytecki. Były „Kulturalia" oraz imprezy sportowe. Uczelnia wykształciła wielu absolwentów. Co roku to było zawsze inne wydarzenie, to samo, ale nie takie samo. „Alma Mater" żywiła i karmiła dosłownie, ale i intelektualnie oraz duchowo. To było moje bogactwo – mój kapitał. Inwestowałem w siebie. Wśród tych wydarzeń były nadawane doktoraty *honoris causa*, które senat KUL nadawał szczególnie zasłużonym na polu nauki, religii lub kultury. Tej godności dostąpiło ponad sto osób. Wśród nich byli ludzie Kościoła, twórcy kultury, naukowcy czy politycy. Wyjątkowe miejsce w tym dostojnym gronie laureatów zajmuje papież Jan Paweł II, który otrzymał doktorat *honoris causa* w 1983 roku, ale wręczony w Warszawie, poza uczelnią! Tutaj muszę wymienić część uroczystości, kiedy byłem studentem w latach 1978–1984 i brałem osobiście udział. Honorowani wtedy byli: Konrad Górski (1980), Czesław Miłosz (1981), Leopold Genicot (1982), Josef Maria de Smet (1982)

Druga część doktoratów honoris causa, to lata kiedy byłem pracownikiem KUL 1984–2001: ks. Józef Kardynał Glemp (1985), Karl Dedecius (1987), Helmut Kohl (1989), Zbigniew Brzeziński (1990), Rocco Buttiglione (1994, ks. abp Bronisław Dąbrowski (1990), Chiara Lubich (1995), Aleksander Geysztor (1997), ks. Jan Twardowski (1999), ks. Zenon kardynał Grocholewski (1999), Rabin Rzymu – Elio Toaff, którego w Rzymie odwiedził w synagodze Jan Paweł II (2000), ks. Józef Kowalczyk (2001) – nuncjusz papieski w Warszawie, niestety nie darzyłem go sympatią. Kiedy przyjechał na KUL, byłem pierwszy, który go przywitał i od razu udzieliłem mu „nagany", że jako Dziekan Korpusu Dyplomatycznego w swoim przemówieniu nie wspomniał o Jezusie Chrystusie, tylko „gładko" polityko wał. Według mojego skromnego zdania nie była to dobra kandydatura na nuncjusza w Polsce, co historia późniejsza potwierdzi…

Trzecia część doktorów *honoris causa* miała miejsce, kiedy byłem pracownikiem w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie: ks Stanisław Kardynał Dziwisz (2001), Krzysztof Zanussi (2004), Piotr Stefan Wandycz (2004), Władysław Bartoszewski (2008), o. Daniel Ange (2009), Valdas Adamkus (2009), Viktor Juszczenko (2009), Lech Kaczyński (2009), Stanisław Suszkiewicz (2009), Wanda Półtawska (2008), którą miałem zaszczyt spotkać na Majdanku na wystawie. Bartłomiej I (2008), Kiko Arguello (2013), to był niezwykły doktorat, na dziedzińcu Uczelni, multum ludzi z całego świata, w tym Żydów Przyjaciół; i Krzysztof Penderecki (2016).

Nowa Księgarnia Uniwersytecka KUL na I piętrze pod Aulą im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego i praca w latach 1987–2001

Przed wizytą papieską w Lublinie 9 czerwca 1987 roku na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, dorobiłem się nowej księgarni, większy lokal i więcej powierzchni wystawowej. Mogłem przygotować dla Ojca Świętego świąteczny wystrój. Papież przyleciał helikopterem na Majdanek. Witała go grupa byłych więźniów niemieckiego obozu. Z Majdanka przybył do Katedry Lubelskiej, witałem go na placu Katedralnym. Potem szybko przeniosłem się – pokonując wiele utrudnień – na KUL. To było niezwykłe miejsce spotkań. Papież najpierw na uczelni spotkał się z rektorami i profesorami z całej Polski. Później brałem udział w spotkaniu z Janem Pawłem II na dziedzińcu KUL. Stałem przy pomniku Jana Pawła II i ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego na krześle razem z koleżanką z roku Marylą Ryznar (obecnie mieszka w USA razem z córką, jest wdową, po mężu nosi nazwisko Stanisławski). To było żywe spotkanie ze społecznością uniwersytecką. Po uroczystościach na KUL-u zdążyłem zajść do domu i wziąć ze sobą dzieci: Szymona Piotra (5 lat) i Krzysztofa (2,5 roku) na plac przed kościołem pw. Świętej Rodziny na Czubach. Dotarliśmy do dobrego A-sektoru, tuż przy ołtarzu. Był wielki ścisk, więc wycofałem się na pobocze tych tłumów, które liczyły około półtora miliona wiernych. Nigdy wcześniej, ani potem takiej ilości ludzi nie było w naszym trybunalskim grodzie, do którego historii w homilii odwoływał się Ojciec Święty Jan Paweł II. To było wielkie wydarzenie religijne dla lubelskiego Kościoła. Podczas mszy było wyświęconych 50 kapłanów ze wszystkich diecezji oraz zakonów. W tym ksiądz Sławomir Laskowski, obecny proboszcz parafii na Tatarach oraz m.in. ks. Mirosław Kalinowski (obecny rektor KUL). Wśród wyświęconych był także kapucyn o. Andrzej Derdziuk. Po tych uroczystościach zaczął padać wielki deszcz. Jan Paweł II ruszył do Warszawy.

Tutaj muszę nadmienić, że czas przyjazdu papieża do Lublina to nie była tylko uczta duchowa, ale konkretne korzyści finansowe dla mnie. Zarobiłem wówczas duże pieniądze. Mogłem sobie pozwolić w tym roku na wyjazdy zagraniczne. Pierwszy do Włoch podróż autokarem, a drugi do Danii samolotem.

Pisanie siódmego odcinka mojej autobiografii, to dla mnie nie lada wyczyn. Dlaczego? Dwa mocne doświadczenia, niosące ze sobą dla mnie bardzo dużą rozpiętość emocjonalną – z jednej strony narodziny wnuczki Judyty Tatiany, a przed chwilą dostałem telefon z wiadomością, że zmarła moja siostra Maria Ewa w wieku 72 lat. Te dwie wiadomości to jak rozpiętość ramion Jezusa Chrystusa na Krzyżu Chwalebnym. To sygnał dla mnie z Nieba, że nie mam za dużo czasu by szykować się w drogę do lepszego życia. Oby w Niebie? Pora na nawrócenie! To już moje ostatnie marzenie i pragnienie!

Z tamtych lat mile wspominam naukę języka niemieckiego w Zakładzie Małej Poligrafii. Norbert Wojciechowski zgodził się, by Herbert Ulrich, rodowity Niemiec, pracownik Redakcji Wydawnictw uczył nas języka niemieckiego, w godzinach pracy. To był ewenement. Sam Norbert, mało kto wtedy wiedział, że był pół Polakiem, po ojcu, po matce Niemcem. Herbert robił z nami „matołami", co tylko mógł, byśmy się uczyli. Na zajęcia chodziło kilkanaście osób, w tym Zbyszek Słowiński (potwierdził mi, że takowe lekcje niemieckiego były) i ja.

Prywatny wylot do Danii i dwa wyjazdy zagraniczne zorganizowane przez Katolicki Uniwersytet Lubelski

Po dwunastu latach zakazu wydawania mi paszportu nadszedł czas dla mnie przychylniejszy. Zlikwidowano moją teczkę w SB, gdzie byłem rozpracowywany

Jerzy Jacek Bojarski – pierwszy z lewej w białej koszuli – i ks. prymas J. Glemp oraz arcybiskupi (ks. prof. B. Pylak, ks. prof. Życiński) biskupi, rektorzy i naukowcy KUL

w Duszpasterstwie Akademickim jako grupa „Termity". Dostałem zgodę na otrzymanie paszportu. Mogłem starać się o wyjazd zagraniczny. W Watykanie byłem na audiencji u Jana Pawła II. Zdobyłem upragnioną fotografię z papieżem, promieniowałem szczęściem i radością, jakby to miało jakiś wpływ na moje lepsze życie lub zbawienie! Przybiliśmy sobie piątkę. Fotka zrobiona. A ja głupi osioł ukrywam się przed Panem, bo zgrzeszyłem nie raz i nie dwa!

Do Danii poleciałem na zaproszenie pewnego Duńczyka, który przyjechał na kongres „intelektualistów" do Warszawy, zorganizowany przez Wojciecha Jaruzelskiego. Władze więc nie odmówiły mi tym razem wydania paszportu. Lot odbywał się w maju, niedługo po wypadku samolotu LOT-u w Lasach Kabackich. Wszyscy byli bardzo spięci: pasażerowie, ale i stewardesy. Uśmiechy miały przyklejone do twarzy. Wtedy do biletu serwowany był posiłek z alkoholem. Wszystko było na bogato. Ale był to też moment, aby zająć pasażerów i odciągnąć od trudnych problemów podczas lotu np. od turbulencji. Alkoholu nie piłem, ale posiłek zjadłem. Wyciągnąłem z podręcznego bagażu brewiarz i czytałem słowo przeznaczone na ten dzień. To nie była modlitwa tylko czytanie brewiarza. Jak trwoga to do Boga? Wypisz, wymaluj coś z religijności naturalnej, co nie miało nic wspólnego z wiarą Abrahama, Izaaka, Jakuba i Jezusa Chrystusa! Lądowanie mnie przestraszyło, bo pas lądowania był wyznaczony nad morzem, miałem wrażenie, że zaraz wpadniemy w morskie głębiny.

Dania, mnie zaskoczyła, zwłaszcza Kopenhaga. Miasto o niewysokiej zabudowie, bez spalin, bardzo ekologiczne jak mój LSM – os. Adama Mickiewicza, dużo zieleni. Nie widziałem kominów. Syrenka duńska jakże inna od warszawskiej. Odwiedziłem miasteczko pisarza Andersena i jeździłem miejscową koleją. To był dla mnie czas nauki, że w tym kraju wszystko wygląda inaczej, jest inna estetyka niż w polskim komunizmie. Wszystko kolorowe, dalekie od szarzyzny i siermiężnego PRL-u. Jak wracałem do Warszawy, przyjechała po mnie Ania. Byliśmy z Szymkiem i Krzysiem w warszawskim ZOO na Pradze.

W roku 1988 pojechałem na pielgrzymkę do Włoch z KUL-u, w grupie z Elą Pospułą, jej siostrą Mariolą i Marią Wołyńską, lekarką. Duże wrażenie na mnie zrobiła Sienna. Zwiedzałem też Rawennę. Byłem u Jana Pawła II na audiencji w Castel Gandolfo. Nie mogę nie napisać, że zdarzyły się nieprzyjemne incydenty, ktoś okradł współ pielgrzymów. Jadący z nami ks. Waldemar Żychiewicz wspomniał o tym podczas homilii. Skradzione rzeczy wróciły do właścicieli. Byłem po raz pierwszy w San Remo i na wyspie Capri, a potem w lazurowej grocie, gdzie usłyszeliśmy śpiew „O sole Mio", oczywiście, po włosku. Na wyspie Capri zostałem pogryziony przez meduzy. Inne to były czasy, inne zaopatrzenie i prowiant, mieliśmy wspólne jedzenie z Marią Wołyńska, Ela i Mariolą.

Następny wyjazd do Włoch w 1989 roku zorganizował Norbert Wojciechowski, szef Działu Poligraficzno-Wydawniczego. To był piękny czas, mieszkaliśmy w motelu →

Castel Gandolfo. Papież Jan Paweł II, J.J. Bojarski, Norbert Wojciechowski, Marcin Ruszkowski z żoną Anna i córeczką Barbarą. 1989 r.

Castel Gandolfo. Pracownicy Wydziału Poligrafii Kul (z dziećmi) u Jana Pawła II. Jerzy Jacek Bojarski z książką. 1988 r.

w Wiedniu, potem w rzymskim Ośrodku Misyjnym. Podróż kosztowała niecałe 15 dolarów. Z rzeczy wstydliwych muszę wspomnieć o zatrzymaniu naszych podróżników, zamiast uczestniczyć w spotkaniach, cieszyć się z audiencji, handlowali w Rzymie. Wstyd wielki i niesmak. Trzeba było wyciągać te osoby aresztu, płacąc za nie kolegium. Byłem na pokojach papieża w Castel Gandolfo. Ludzie zachowali się jak zwykła dzicz. Zamiast wejść po cichu, kulturalnie, obejrzeć rzeczy piękne i niezwykłe, to zaczęły się niesmaczne zachowania. Rozsiadanie w fotelach i robienie zdjęć. Dostaliśmy od Ojca Świętego po różańcu. W drodze powrotnej do Polski usłyszeliśmy o powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego, zainicjowałem w autokarze zbiórkę pieniędzy. Kwota zebrana robiła wrażenie. Wysłaliśmy je na adres Sejmu RP. Myśleliśmy, że idzie nowe, że komunizm rzeczywiście w PRL-u upadł, ale – dziś to wiemy – to wszystko była ustawka przy okrągłym stole z „kantami". Smutne, że brali w tym procederze ludzie Kościoła i uwiarygodniali ten historyczny moment. Komunizm w Polsce nie skończył się, jak ogłosiła w programie Telewizji Polskiej, aktorka Joanna Szczepkowska. Pamiętne są też słowa I sekretarza Mieczysława Rakowskiego: „– Proszę o powstanie towarzyszek i towarzyszy! Sztandar Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wyprowadzić". To było przypieczętowanie końca partii? Ale czy na pewno? Nie było w Polsce tragicznego wariantu rumuńskiego, tam rozstrzelano małżeństwo Caucescu. Że nie było tego wariantu – bardzo dobrze, bo to czyn okrutny! U nas zaś „okrągły stół" okazał się blefem wobec Narodu. Partia się przemalowała, ale władzy nie oddała. Nie było w Polsce lustracji. SDRP – spadkobierczymi PZPR – przejęła władzę. Po wyprowadzeniu sztandaru PZPR towarzysze rzucili się do robienia biznesów, bo mieli kasę i informacje. Leszek Miller pojechał do Moskwy, „pożyczać dolary", które przywiózł ponoć w reklamówce. Nieboszczka PZPR zamieniła szyld na lewicowy SDRP i wygrała wybory! To był szok, a z drugiej strony wszystko było pod kontrolą dawnej władzy i bezpieki, nawet powstanie „Solidarności" i współpracującego z władzą Lecha Wałęsy! Tylko wtedy nie mieliśmy tej wiedzy. Wszystko przyjmowaliśmy w dobrej wierze. Oczy otworzyły się dopiero po upadku rządu Jana Olszewskiego, w czerwcu 1992 roku.

Trzy spotkania mojego roku historii, w tym jedno z okazji 75-lecia KUL

Pamięć jest ulotna i trudno wspominać to, co miało miejsce 35, 30 czy nawet 25 lat temu. Nawet uruchomienie pamięci zbiorowej – to znaczy prośba do znajomych i przyjaciół o ustalenie pewnych faktów – niewiele pomogło! Warto jednak „zinwentaryzować" wszystkie okoliczności czasu i miejsca. Jak uczył nas profesor Jerzy Kłoczowski, mediewista, badacz historii Kościoła i chrześcijaństwa w Polsce, a było to na zajęciach pierwszego roku historii 1978/1979 (Wstęp do badań historycznych) – słyszeliśmy wtedy, że historyk powinien zadawać sobie podstawowe pytania: co, gdzie kiedy? A potem dodatkowe, pomocnicze: po co? i w jakim celu? – by zinterpretować bliżej minione wydarzenia. Sięgnąłem po ten „warsztat naukowy historyka" i od razu sobie przypomniałem swoje rzeczywistości historyczne. Pierwsze spotkanie miało miejsce w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą prawdopodobnie, pięć lat po obligatoryjnym skończeniu studiów czyli w 1988 roku. Piszę „obligatoryjnym", bo wiemy, że każdy kończył studia według swoich możliwości, kiedy napisał i obronił pracę magisterską – w moim przypadku było to

8 czerwca 1984 roku. Tematem pracy była „Komisja Rządowa Wojny 1815–1831. Organizacja i działalność". Pracę rozpocząłem pisać pod kierunkiem prof. Władysława Rostockiego, który na zajęcia przyjeżdżał z Warszawy, dokończyłem u profesora Jana Ziółka. Rektorem był krótko, bo przez rok, bp pomocniczy lubelski Jan Śrutwa, który dokończył kadencję po śmierci bpa Piotra Hemperka.

Te osoby odwiedzały mnie między innymi w Księgarni

Chcę być wiarygodnym w swoim przekazie, więc muszę dodać, że moje zachowanie w Księgarni Uniwersyteckiej nie zawsze było poprawne. Często moi klienci po prostu mnie się bali! Tego dowiadywałem się po latach i w różnych okolicznościach. Zdarzyło się, że wiele dowiedziałem się wracając z Warszawy po koncercie Alfreda Schreyera – Żyda z Drohobycza, zakochanego w kulturze polskiej. Agnieszka Wiśniewska z „Teatru NN" wyznała mi wtedy, jak bardzo się bała przychodzić do Księgarni. Była studentką historii sztuki.

Powiedziała, że nim sprzedałem książkę, to zadawałem klientowi trudne a nawet kłopotliwe pytania. Wolała już egzaminy niż pobyty w Księgarni! Uf, mea culpa, przepraszałem ją po latach wioząc do Lublina swoim starym „oplem".

Praca w Księgarni – jak wspomniałem – miała też wymiar fizyczny, bo książki trzeba było przywieźć z Poczekajki i wnieść na piętro, rozpakować, a papier z opakowań wynieść do śmietnika. Tutaj muszę wspomnieć Sławomira Jacka Żurka, studenta filologii polskiej KUL w latach 1986–1991, zaprzyjaźniony Sławek pomagał mi w latach 1990–1991 w pracy księgarnianej. Miałem do niego pełne zaufanie, którego nigdy nie nadwyrężył. Był młodym, inteligentnym studentem, z dużym poczuciem humoru. Pewnie się uzupełnialiśmy charakterami? To była wówczas dla mnie realna pomoc. Wynagradzałem go, ale czy był z tego zadowolony? – tego nie wiem. Raz zgłosił problem, ale zapłaciłem mu tyle, na ile się umówiliśmy. Sam wymienił sumę. Więc czułem się rozgrzeszony! Był jednak niezadowolony po wypłacie. Dziś Sławek jest profesorem na uczelni. W latach 2006–2020 był kierownikiem Katedry Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego. Posiada bogaty dorobek naukowy, wypromował wielu magistrów i doktorów, jeździ po świecie na różnego typu konferencje. O ile się nie mylę, udziela się w Międzynarodowym Ośrodku Badań nad Historią i Dziedzictwem Kulturowym Żydów Europy Środkowo-Wschodniej.

Koniecznie w tym miejscu muszę wymienić kilka osób, z którymi byłem bliżej zaprzyjaźniony, a przyjaźń ugruntowała Księgarnia. Pierwszym takim człowiekiem niewątpliwie był profesor Władek Panas. Poznałem go w 1978 roku w barku kulowskim. Wyróżniał się bujną czupryną i niezmiernie dużo kopcił. Kiedy na KUL-u wprowadzono zakaz palenia, Władek przychodził na papierosa do mojej Księgarni. W wielkim skrócie ująłbym rzecz tak: pasjonował się wtedy prawosławiem, potem kabałą żydowską, a na końcu Brunonem Schulzem. Często woziłem go do domu na Czuby, na Watykańską ze Starego Miasta, z „Szerokiej". Czekałem na niego, kiedy skończy rej wodzić w tej czy innej grupie, aż do ostatniego gościa. Mimo, iż woziłem go multum razy, za każdym razem tłumaczył mi, jak mam go podwieźć. W 2002 roku zaprosił mnie do Drohobycza i zaraził Schulzem. Z jego inspiracji zrobiłem mapę „Bruno Schulz i Drohobycz" wydaną już po śmierci pomysłodawcy w 2009 roku. To Władek prosił mnie, bym bronił Ośrodka „Brama Grodzka Teatr NN" i jego dyrektora Tomasza Pietrasiewicza.

Tak też zrobiłem. Na jednym spotkaniu Komisji Kultury Urzędu Miasta podjęto temat „Teatru NN". Byłem radnym, coś się odezwałem i wtedy pani radna Przewodnicząca Komisji Kultury – Ewa Łoś skarciła mnie pół głosem: – cicho, ty się nie odzywaj, ja „robię" w kulturze, na co ja odpowiedziałem już normalnym głosem, w przeciwieństwie do pani radnej: ja „robię" w ubikacji. Zostałem ogłoszony wśród swoich „gnidą katolicką". Bardzo mnie to przezwisko ubawiło! Ale Tomasza Pietrasiewicza nie dałem skrzywdzić. Kiedy Władek był ciężko chory, odwiedziłem go w Szpitalu Klinicznym na Staszica. Zdążyliśmy z Małgosią Sady przygotować ostatni tekst Profesora, w Galerii Wirydarz odbyła się promocja, autor wpisywał wszystkim dedykacje. W 2005 roku 25 stycznia odszedł do domu Ojca prawy człowiek, dobry naukowiec, który nauczył się odczytywać świat w swojej rodzinnej Dębicy, gdzie się narodził.

Agata Budzyńska i Jerzy Jacek Bojarski

Agata Budzyńska (1964–1996) była studentką polonistyki KUL, śpiewała swoje teksty, do których komponowała muzykę. Znałem ją, bo mieszkała na stancji u Małgorzaty Piaseckiej (po mężu Znamirowskiej), mojej siostry ze wspólnoty. Pewnego razu weszła do Księgarni Uniwersyteckiej. Z mety wyjawiła cel swojej wizyty: „zbieram kasę na wydanie swoich utworów". Pamiętam, jak dzisiaj: wyciągnąłem swoje tzw. dewizy i podarowałem dziewczynie, to było chyba 5 dolarów. Zaimponowała mi swoją prośbą i bezpośredniością, Nigdy nie słyszałem, jak śpiewała. Ale to dla mnie było bez znaczenia. Prosiła, więc chciałem pomóc. Była bardzo zadowolona. Potem przyniosła mi kasetę z nagraniem. W 1996 roku, dokładnie 22 września, przyszła nieoczekiwana i trudna wiadomość – zmarła, zaczadziła się gazem na jachcie na Mazurach. Panie daj Jej Niebo. Amen! Agatko oręduj za Nami wiecznymi biedakami!

Ksiądz bp pomocniczy Adam Lepa przyjeżdżał na KUL, na zajęcia do ks. profesora Leona Dyczewskiego, który stworzył studia medioznawcze. Wydał „Katalog Prasy Katolickiej", jednak moja publikacja, również tego typu, wyszła szybciej i bardziej okazale. Ksiądz Adam przyjechał na otwarcie wystawy „Polska prasa katolicka – dziś", która odbyła się 23 kwietnia 1994 roku w Wojewódzkim Ośrodku Kultury. Byłem komisarzem, a w programie była dyskusja panelowa „Polska prasa katolicka – stan, zadania, perspektywy". Uczestnicy panelu: ks. bp Adam Lepa, ks. prof. Leon Dyczewski, red. Maciej Łętowski, Tomasz Królak (KAI), ks. Alfred Wierzbicki. Z tej okazji wydawnictwo Kerygma opublikowało „Katalog prasy i wydawnictw katolickich" autorstwa Jerzego Jacka Bojarskiego i Alojzego Leszka Gzelli.

Kolejna postać: ks. dr Jan Gajek, sąsiad z Instytutu Ekumenicznego. Wydawałem mu różne publikacje po rosyjsku, kilka raz z nim jeździłem do Kostomłotów na spotkania, które prowadził Roman Piętka.

Ryszard Montusiewicz – to co o nim napiszę, jak przeczyta, to się zapewne wielce zadziwi. W latach siedemdziesiątych byłem w Bieszczadach. Poznałem go z daleka, prowadził ognisko. Został moim idolem turystycznym. Potem mogłem zobaczyć jego sprawność organizacyjną, kiedy poznaliśmy się bliżej. Dobrze zapowiadający się naukowiec, zarzucił robienie doktoratu, a szkoda. Ogłosił kilka rozpraw. Jego obszar zainteresowań to staropolszczyzna. Byli z żoną Lucyna i dziećmi na misji w Bobrujsku na Białorusi, potem w Jaffie (Izrael). Szefował Radu Lublin, obecnie dyrektorzy TVP 3 Lublin. Nasza znajomość szorstka, choć poprawna.

W 1992 roku Księgarnia Uniwersytecka rozrosła się o pół etatu, na którym zatrudniono Barbarę Giderewicz (prywatnie moją siostrę). To był czas zbawienny dla Księgarni i handlu. Obroty były duże. Ja byłem szefem Księgarni i zarazem zaopatrzeniowcem. Współpraca układała się nam bardzo dobrze. Była mi bardzo pomocna i nieocenionym pracownikiem, zwłaszcza w momencie, kiedy zostałem Radnym Lublina (1998–2002).

Śmierci się nie odmawia

Rok 1994 był rokiem dla mnie trudnym. Czekaliśmy na narodzenie piątego dziecka, dziewczynki Marty. Urodziła się martwa 19 kwietnia, zapętliła się, płakałem trzy dni, bardzo cierpiałem. W dniu Jej martwych urodzin miałem zebranie redakcyjne. Nawet nie wspomniałem zebranym o śmierci. To był mój ból i moje cierpienie. Wróciłem do życia. Jej już nie mogłem pomóc. To było bardzo trudne doświadczenie. Pewnie nie mogłem go zaakceptować. W sercu miałem – przyznaję – chwilę buntu wobec Boga. Czwórka żywych dzieci trzymała mnie przy życiu. Wtedy zaczął się u mnie kryzys egzystencjalny. Wiedziałem, że kogo Bóg kocha, tego doświadcza. Dnia 19 kwietnia powiedział mi „sprawdzam". Wyszedłem blado, potem był pokropek na cmentarzu na Majdanku. Wnuczka leży razem grobie z Dziadkami. Przewodniczył tej ceremonii ks. proboszcz Stanisław Dziwulski z parafii p.w. Świętego Józefa Oblubieńca. Przed osiemnastką zdążyłem Marcie zrobić tablicę na płycie grobowej Dziadków.

Zmiana miejsca zamieszkania

W roku 1995 postanowiliśmy zmienić mieszkanie na większe, planowaliśmy to przed śmiercią Marty, gdyż było za ciasno dla nas, tym bardziej, że jeden z pokoi połączyłem z kuchnią, a z przedpokoju zrobiliśmy większą łazienkę, w której znalazł miejsce bidet. Na ul. Wileńskiej 10 mieszkałem od 9 listopada 1963 roku do maja 1995 roku, to przeszło 30 lat. Przeprowadzka z czterech pokoi o powierzchni 60 metrów kwadratowych, do większego mieszkania dwupoziomowego o 6 pokojach i dwóch łazienkach, ogólna powierzchnia przeszło 105 metrów kwadratowych. Mieszkam tutaj do dzisiaj razem z żoną Anną i synem „jedynakiem", który studiuje prawo na UMCS. Zmiana miejsca zamieszkania wiązała się też ze zmianą parafii. Zamieszkałem w parafii p.w. Świętej Rodziny, gdzie w czerwcu 1987 roku sprawował eucharystię – na wielkim placu przed kościołem – Ojciec Święty Jan Paweł II. Proboszczem był ks. Ryszard Jurak. Wtedy bez mego zapytania redakcja gazety parafialnej, „Ku Wspólnocie", której byłem założycielem i redaktorem naczelnym, podziękowała mi za współpracę, pewnie sprężyną tego wydarzenia był ks. mgr Zbigniew Wójtowicz. Ja osobiście tego nie planowałem. Postawiono mnie przed

faktem dokonanym. Postanowiłem założyć gazetę parafialną „Ku Świętej Rodzinie". W tym okresie organizowałem częste spotkania dziennikarzy gazet katolickich. Wymienialiśmy się doświadczeniami, bez wątpienia integrowało się środowisko mediów katolickich.

Spotkania studentów historii mojego roku, Wydział Humanistyczny KUL

Opisuję tylko te wydarzenia, w których brałem udział lub je sam organizowałem. Pierwszym miejscem naszego oficjalnego spotkania po ukończeniu studiów był Kazimierz Dolny nad Wisłą, miejsce niezwykle piękne i historyczne. Siedzibą spotkania był Dom Pracy Twórczej (obecnie Rajchertówka) przy ulicy Puławskiej 94, którego kierownikiem wówczas był Kazimierz Zając, pracownik Intendentury kulowskiej To z nim załatwiałem pobyt w Kazimierzu z noclegiem i wyżywieniem: kolacja, śniadanie i obiad. Nie za wiele pamiętam, ale dzięki zdjęciom wiem, że była z nami s. dr hab. Urszula Borkowska, nasza opiekunka roku z lat studiów. Spotkanie miało charakter wspomnieniowy, przy okazji zwiedzaliśmy Kazimierz Dolny. Ze zdjęć wynika, że oprócz Siostry Urszulanki było sześć koleżanek: Barbara Derewiecka (Rynasiewicz), Zofia Furmanek, Maria Guguła, Ewa Maciak (Nagy), Maria Ryznar (Stanisławski), Marta Ptak oraz siedmiu kolegów: Jerzy Jacek Bojarski. Wiesio Boufał, Lech Łbik, Aleksander Petkiewicz, Leon Popek, Ryszard Rząd, Mirek Szkiłądź. Wdrapaliśmy się na Górę Zamkową i Basztę widokową, skąd roztaczają się przepiękne widoki. Była również eskapada po kościołach kazimierskich i niezwykłym rynku.

Drugie spotkanie miało miejsce w czerwcu 1994 roku na 75. lecie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie razem spędziliśmy czas na dziedzińcu uniwersyteckim. Byliśmy razem w restauracji, ale nie pamiętam gdzie...

Trzecie spotkanie zorganizowaliśmy 1 maja (piątek) 1998 roku z okazji 20. lecia rozpoczęcia studiów na uniwersytecie. Formuła była taka, aby każdy mógł wziąć udział w tym poststudenckim wydarzeniu. To było jedno z najlepiej zorganizowanych spotkań. Przygotowanie zabrało mi wiele czasu. Rozesłaliśmy wici do wszystkich studentów z I roku, do naszych nauczycieli akademickich. Odwiedziłem na Złotej w klasztorze o.o. dominikanów byłego naszego ks. rektora KUL (1970–1983) o. Mieczysława Alberta Krąpca. Stawiał opory, ale na końcu Go przekonałem, by odprawił mszę świętą. Do Komitetu Organizacyjnego poprosiłem profesorów: Prodziekana Wydziału Nauk Humanistycznych prof. dr hab. Stanisława Olczaka oraz kierownika sekcji historii Jana Droba. Z grona koleżeńskiego dokooptowałem Zofię Furmanek, Ewę Maciak-Nagy, Czesława Caryka, Aleksandra Petkiewicza oraz – rzecz jasna – ja sam, „spiritus movens" całego wydarzenia – Jerzy Jacek Bojarski, wówczas pracownik Księgarni Uniwersyteckiej KUL. Z tej okazji zostały wydrukowane zaproszenia w formacie a-4 na czterech stronach w kolorze sepii.

Wymienione zostały Władze w roku akademickim 1978/1979:

JM ks. Rektor prof. Mieczysław Albert Krąpiec,
Prorektor prof. Stefan Sawicki,
Dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych prof. Zygmunt Sułowski, Prodziekan doc. dr Krystyna Sawicka.

Poniżej zostali wymienieni wszyscy nasi wykładowcy w latach 1978–1983.

Program Zjazdu:

Godz. 8.00: złożenie wiązanek na grobach zmarłych Profesorów na cmentarzu przy ulicy Lipowej przez Komitet Organizacyjny (Władysława Bieńkowskiego, Zygmunt Sułowskiego i Edwarda Zwolskiego).

Godz. 9.00: Msza święta w Kościele Akademickim w intencji zmarłych Profesorów i uczestników Zjazdu, w homilii poruszono potrzebę poszukiwania prawdy!

Godz. 10.00: spotkanie z pracownikami naukowymi w sali 110 (I piętro)

- Powitanie Gości przez Jerzego Jacka Bojarskiego w imieniu Komitetu Organizacyjnego
- Powitanie w imieniu władz Uczelni – Prodziekan prof. Stanisław Olczak
- Przemówienie Kierownika sekcji Jana Droba
- Wystąpienie opiekunów roku s. prof. Urszuli Borkowskiej i dra Jana Skarbka
- Słowo od starostów roku Marii Guguły i Roberta Korna
- Krótka prezentacja uczestników zjazdu

Godz. 12: Zdjęcia na dziedzińcu KUL

- Na schodach od hollu
- Pod pomnikiem Ojca Świętego Jana Pawła II i Księdza Prymasa Polski Stefana Kardynała Wyszyńskiego

Godz. 12.15:

planowane było zwiedzanie Collegium Jana Pawała II, ale prorektor prof. Stanisław Kiczuk nie wyraził zgody, gdyż na kulowskiej poligrafii była wielka kradzież, mimo iż do ochrony zatrudniono firmę ochroniarską! (sic). Do dzisiaj afera z kradzieżą nie jest wyjaśniona…

Godz. 12.40: Barek Studencki (pod starą aulą)

- Lampka szampana i świąteczny poczęstunek
- Dokończenie prezentacji uczestników zjazdu

Godz. 13.40: zakończenie spotkania na Uczelni →

Wszyscy studenci i tylko nieliczni nasi nauczyciele akademiccy (Jan Drob, Eugenisz Niebelski i Rafał Żebrowski) udali się na obiad do Nasutowa, do Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży. Tam też było zakwaterowanie. Na boisku był mecz. Bernard Górski skręcił sobie nogę podczas spotkania piłkarskiego. Wieczorem po kolacji ognisko i „huczna" impreza.

Na drugi dzień 2 maja (sobota) wynająłem duży wóz drabiniasty i jeździliśmy po Lasach Kozłowieckich, dochodząc do siebie. Rozmów nie było końca.

Nasz rok był wyjątkowy, nazywałem go rokiem „papieskim". Byliśmy dobrze zorganizowaną grupą, mocno zintegrowani, zaprzyjaźnieni. Przeżyliśmy I Solidarność, śmierć Prymasa Wyszyńskiego, spotkanie z noblistą Czesławem Miłoszem w pospiechu szykowanej auli a potem na dziedzińcu KUL z Miłoszem i Wałęsą. Stan wojenny. Był strajki solidarnościowe na uczelni, słynne wieczorowe spacery, kolportowanie, czytanie bibuły, noszenie paczek do rodzin internowanych i wyrzuconych z pracy.

Parafrazując tekst Jacka Kaczmarskiego, „Nasza klasa", zacznę od pierwszego zdania piosenki: „Co się stało z naszą klasą"? No właśnie, co się stało z naszym rokiem po dwudziestu latach od rozpoczęcia studiów? Zanim do tego wrócę, wymienię wszystkich obecnych profesorów: Jan Ziółek, Stanisław Olczak, Stanisław Litak, Henryk Wąsowicz, Henryk Gapski, z młodszym stopniem naukowym: mgr Maria Kosiarska, mgr Anna Mańko, mgr Adam Chruszczewski oraz doktorzy: Janina Gawrysiak, Jan Ptak, Rafał Żebrowski (wtedy pracownik Żydowskiego Instytutu Historycznego) i Eugeniusz Niebelski.

Co się stało z tym legendarnym rokiem?

Leon Popek i Lech Łbik obronili doktoraty, pierwszy pracował w Archiwum Państwowym w Lublinie, potem w Instytucie Pamięci Narodowej, Oddział w Lublinie. Zajmował się i zajmuje dziejami Polaków na Wołyniu. Drugi specjalista od Krzyżaków pracował w Bydgoskim Towarzystwie Zabytków. Nauczycielami historii zostali: Dorota Słomianowska (po mężu Fechner), Maria Gugała w Nysie (uczyła też języka niemieckiego), Jan Murzyniak w Paczkowie (uczył tez angielskiego), Robert Korn w Zakopanem, Aleksander Petkiewicz w biskupiaku lubelskim, Wiesław Boufał (zginął w wypadku w Grajewie potrącony na przejściu przez samochód). Krzysztof Stanowski (Fundacja Demokracji na Wschodzie, obecnie w Ratuszu Lubelskim). Wśród muzealników i bibliotekarzy znaleźli się Zofia Furmanek (Instytut Szwajcarski w Warszawie, obecnie IPN w Warszawie), Mirosław Szkiłądź w Jaworze, Jolanta Wądołowska w Łomży. Inni poszli do biznesu, handlu, turystyki, administracji państwowej. Jan Syty (Lublin) Wojciech Skorupski (Warszawa), Czesław Caryk – bizmesmen, ma przetwórnię owoców w Pajakowie, Ziemowit Knorps biuro turystyczne w Lubartowie, Bernard Górski posiada wielki młyn w Repkach na Podlasiu. Jego młynarstwo zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Jan Strojnowski pracuje w Urzędzie Wojewódzkim.

Jerzy Jacek Bojarski po studiach pozostał na KUL-u, pracował w Księgarni Uniwersyteckiej 1984–2001 (był radnym Miasta Lublin 1998–2002, praca w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, obecnie od 29 lipca 2020 roku na emeryturze).

Zakończenie 23-letniego epizodu z KUL-em

Po sprzedaniu nas – bez naszej wiedzy – z KUL do Fundacji Rozwoju KUL, nie przyjęliśmy tych okoliczności. Czułem się jak biblijny Józef, którego bracia sprzedali Izmaelitom. To był koniec moich relacji z Katolickim Uniwersytetem Katolickim. Radca prawny KUL, mgr Krzysztof Pachoł powiedział mi, że nie przyjęcie takich warunków pracy przez nas skutkuje zwolnieniem, ale Uniwersytet powinien nam zaproponować inną pracę oraz wypłatę odprawy pieniężnej. Niestety, nic takiego się nie stało. Prorektor KUL Andrzej Budzisz przysłał mi telegram na adres domowy, że odwołuje mnie z urlopu! (sic). Prezesem Fundacji Rozwoju KUL był ks. prof. Stanisław Zięba. Przychodził często w tamtym okresie do Księgarni Uniwersyteckiej, wymachiwał dokumentami i chciał wydawać mi dyspozycje. Zniszczył Dział Wydawniczo-Poligraficzny, w tym drukarnię. Zawsze go zbywałem i mówiłem, by szedł z Bogiem, a słuchać go nie zamierzam, bo nie jest moim przełożonym. Odpowiadał, że wkrótce będzie. Odrzekłem: „jak ksiądz będzie moim szefem to i owszem, ale nie teraz". Z KUL-u odszedłem w 28 lutego 2001 roku. Moja wymarzona „Alma Mater" stała mi się od wtedy Macochą! Przyczynili się do tego prof. Andrzej Budzisz i ks. Stanisław Zięba, który nadzorował likwidację ZMP KUL. Sprawa zamknięta. Z KUL-em łączy mnie tylko historia. Na moje pismo o odprawie pieniężnej nie otrzymałem odpowiedzi. To była bardzo niedobra historia. Teraz prof. Budzisz jako emeryt, stroi się w piórka obrońcy ks. Wierzbickiego, a ja pytam, gdzie był wtedy, gdy likwidowano Dział Wydawniczo-Poligraficzny i miał realną władzę na uczelni? Doszło do tego, że Księgarnia Uniwersytecka była pod zarządem Fundacji Rozwoju KUL, a książki Wydawnictwa KUL (zmiana nazwy z RW KUL) drodzy Panowie Reformatorzy były sprzedawane na korytarzu!!! (sic). Dorobek mojego szefa Norberta Wojciechowskiego został roztrwoniony.

Jerzy Jacek Bojarski

Czesław Michałowski

Ze sztambucha Alicji z Wileńszczyzny

Sztambuchy – jak wyczytałem w Wikipedii – miały zakończyć swój żywot w XIX wieku. Nie zgadzam się z tym sądem. Pamiętniki (nowsze określenie sztambucha) były bardzo popularne wśród uczniów i studentów w przedwojennej Polsce. Moda na uczniowskie pamiętniki przetrwała w Polsce – jak myślę – do lat sześćdziesiątych minionego wieku.

Zacznę od ciekawostki historycznej. Za historyczną i geograficzną kolebkę tradycji pisania sztambuchów uznawana jest miejscowość Wittenberga w Niemczech. Najstarszym, znanym egzemplarzem jest sztambuch Clauda de Senarclensa, pochodzący z lat 1545–1559. Inny, najstarszy album to pamiętnik Duńczyka Stephanusa van Rhemen z Arnhem z lat 1556–1561. Pierwszy, znany w Polsce sztambuch pochodzi z końca XVI wieku.

Do sztambucha wpisywano się starannym pismem na prawej stronie, lewa strona była przeznaczona na ilustracje. Wpisywano wierszyki, cytaty z dzieł, fragmenty piosenek, sentencje, powiedzenia, przysłowia i życzenia. Tematem wpisów było życie studenckie, uczniowskie i wszelkie, wspólnie przeżyte przygody.

Chcę opowiedzieć o pamiętniku, który ukryty w „czemodaniku" przez moją przyszłą małżonkę w roku 1945 (wówczas 14-letnią panienkę), przemierzył wraz z nią szlak wysiedleńczy z Wileńszczyzny do Klenicy Dużej, wioski położonej na prawym brzegu Odry w województwie zielonogórskim. Obok tej bliskiej sercu pamiątki w owym „czemodaniku", czyli płóciennym woreczku, znalazły miejsce inne skarby. A mianowicie kilka książeczek do nauki w języku polskim, świadectwo ukończenia drugiej klasy progimnazjum w języku litewskim, zdjęcie Marszałka Józefa Piłsudskiego w formacie nieco większym od pocztówki, lalka krakowianka Małgosia, fotografie rodzinne z mamą Stefanią i ojcem Piotrem Szczemirskim. Pamiętnik ofiarowała jej w prezencie cioteczna siostra Wanda (Pylińska) dedykując na odwrocie tytułowej okładki:

Kochanej Lici na
pamiątkę Dusia.
Wielkanoc 1945 r.

A na ostatniej stronie dopisała:

Idź przez świat z pogodną minką,
Bądź jak jesteś zuch dziewczynką
Idziemy śmiało w świat, Lecz nic nie ma milszego
jak wspomnienia szkolnych lat.

Nie ulega wątpliwości, że wierszyk miał na celu poprawę samopoczucia Alicji. Miał dodać jej odwagi i optymizmu w bardzo dramatycznej chwili, tuż przed opuszczeniem rodzinnych stron, przed wyjazdem w nieznane i być może bolesnym życiem, po wysiedleniu. Te dramatyczne przeżycia najlepiej oddają słowa mojej małżonki zapisane po latach, a zamieszczone w książce „W biegu od świtu do zmierzchu" (Polihymnia, Lublin 2014):

„Z przerażenia, żalu i płaczu, że trzeba jechać w nieznane dostałam gorączki. Tłum na peronie śpiewał «Litanię do Matki Bożej Ostrobramskiej». Pociąg ruszył. Przez wąskie okienko wagonu patrzyłam płacząc na znane domy, ulice, sosnowe lasy, pagórki, które stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż zniknęły zupełnie".

Na pamiątkę przed wyjazdem do Polski wpisał się 21 lipca 1945 roku opiekuńczy stryjek ksiądz Stanisław Szczemirski, proboszcz parafii w Trokach.

Natomiast ciocia Alicji – Maria (Pylińska) przykazuje bratanicy w swym wpisie pierwszego kwietnia tamtego roku pouczenia:

Kochaj to wszystko co na wskroś nasze
Ojczystej mowy nie oddawaj za inną
I tak, jak własne gniazdko kocha ptasze
Tak kochaj ziemię rodzinną.

A Zdzich, syn Marii, cytując Asnyka dodaje:

Miej serce Polki i duszę Anioła
Kochaj serdecznie Polaków
A dusza Twoja nigdy nie zginie
Wśród wdzięcznych serc rodaków.

Pamiętnik zawiera także wpisy osób anonimowych. Oto przykład, w Białym Dworku – anonimowy autor – pierwszego dnia Wielkiej Nocy zapisał:

Idź i czuwaj! Do czynu ciągłego
Wyciągnij ramiona,
Ojczyzna sprawności twej wzywa
Do Ciebie ma Prawo i Ona.
Idź i czuwaj! I zawsze miej wiarę,
Cokolwiek by losy zrządziły,
Jest Polska i będzie do końca,
Jeśli Jej starczy Twej siły.
Idź i czuwaj! Kochając swe serce

Prawdy w nim buduj świątynię,
Żyć warto, jeśli Twe serce
Ofiarnie dla Polski bije.

W podobnym, patriotycznym stylu pisze koleżanka szkolna Ada Celińska:

Tyś jest piękna jak lilia z ogrodu,
Masz czyste serce polskiego Narodu.
Jeśli tak będzie zawsze i wszędzie,
To każdy Polak kochać Cię będzie.

W pamiętniku znajdujemy również teksty o treści religijnej. I tak;

Niech Cię Anioł Stróż prowadzi
do Maleńkiego Serca Jezusa (Jadzia N. z Podbrodzia)

A Renia T. poucza:

Będziesz szczęśliwa zawsze i wszędzie,
Jeżeli pośród życiowych dróg,
Przy Twoim boku Anioł Stróż będzie,
A w Twoim sercu prawda i Bóg.

Natomiast Jan A. wykłada w trzech wersach trzy życzenia:

Na pamiątkę daję Tobie trzy warunki skromne;
Kochaj Boga i Ojczyznę,
Nie zapomnij o mnie.

Podobnie pisze Janka T.;

Przez burze życia idź prosto i śmiało.
Nie znaj co boleść i trwoga,
Co piękne i polskie kochaj duszą całą:
świat ten, Ojczyznę i Boga.

W pamiętniku jest sporo tekstów zawierających wskazówki jak żyć, do czego dążyć, co jest dobre, a co złe. I tak kolega Piotr radzi:

Idź prostą drogą
I miej tęgą minę,
Łap szczęście za nogę
I duś jak cytrynę.

Cytowana już ciocia Mania życzy powtórnie:

Niech Twoich jasnych oczu pogoda
Moje rozjaśnia smutki i trwogi
Bądź zawsze silna i zawsze młoda
Dla tych co słabną w pół drogi.

Od kochającej Heli Alicja uzyskała 1 kwietnia następujące wskazówki:

Bądź wesoła, śmiej się przy ludziach,
Płacz tylko w ukryciu,
Bądź lekką w tańcu,
Lecz nigdy w życiu.

A koleżanka z Podbrodzia wpisała 17 sierpnia następujące słowa:

Trzymaj duszę swoją w jasności,
Bo nic pięknego nie rośnie w ciemności.

Nauczycielka z Podbrodzia (podpis nieczytelny) cytuje fragment poezji Adama Mickiewicza:

Nauką i pieniędzmi drudzy Cię wzbogacą,
Mądrość musisz sama z siebie własną dobyć pracą.
W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę
Trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę.

Stefania Szczemirska z Podbrodzia życzy swojej pasierbicy w dniu 10 kwietnia:

Miej zawsze mężne i dobre serce,
Niech ono jak słońce rozsyła promienie
I rozprasza smutek,
Nauka—dobra rzecz, lepsza—rozum
A najlepsze—serce.

A cioteczna siostra Alicji Halinka (Pułłjanówna) rymuje przed wspólnym wyjazdem z Kresów:

Już niedługo razem będziemy,
Zbliża się smutny czas rozłączenia.
A gdy te strony nasze porzucimy,
zostaną nam tylko wspomnienia.

Dzidka z Podbrodzia w przeddzień wysiedlenia Alicji pisze w nastrojowym wierszu:

Bywają chwile, gdy się nagle w duszy
Złotym promieniem złoty uśmiech rodzi
Milczące struny akordem poruszy
I cicho...
To szczęście gdzieś blisko przechodzi.
Bywają chwile, kiedy bez powodu
Niezmierna fala żalu serce wzbiera
Jakiejś goryczy, jakiegoś zawodu
I cicho...
Moje szczęście gdzieś blisko umiera.

Pamiętnik o skromnych wymiarach 10×15 cm posiada jednak obfitą stustronicową pojemność. Jest w nim 95 życzeń dziewcząt i chłopców z pokolenia Alicji, a także osób starszych różnej proweniencji, różnych zawodów i formalnego wykształcenia. Z tego zbiorku wierszy, sentencji, aforyzmów dokonałem samodzielnego wyboru 19 prezentowanych w tej publikacji zapisków datowanych w 1945 roku. A było ich 73. Pozostałe życzenia złożone zostały w latach 1946–1948 w Sulechowie.

Pamiętnik zaliczony niewątpliwie do artefaktów oraz ze względu na jego badawczą wartość przekazałem jedynemu w kraju Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej w Lublinie (Pl. Litewski 5, 20–400 Lublin). Korzystając z okazji apeluję do wszystkich potomków rodzin kresowych o ofiarowanie Muzeum wszelkich przedmiotów, listów, zdjęć itp., które znajdą tam godne miejsce pamięci i właściwą opiekę.

Czesław Michałowski

Jadwiga
Mizińska

Cykl: Przelotem

Loty i przeloty

Na schodach gmachu Humanistyki, pomiędzy „filozoficznym" parterem a pierwszym, „polonistycznym" piętrem, często mijałam się z Jerzym Bartmińskim. Znaliśmy się od dawna z racji długotrwałej pracy w UMCS. Poza tym mieszkaliśmy wówczas na tym samym osiedlu, niemal co dzień razem czekając na przystanku „dziewiątki". Idąc pod górkę alejką obok Botanika, po drodze na uniwersytet, wymienialiśmy żarty i drobne pogaduszki. Kiedyś, na zakręcie wąskich schodów, doszedł do nas mój kolega, Zbyszek Muszyński. Powstał mały zator, zirytowani studenci nas omijali, bo nie mogliśmy się nagadać. Wreszcie ktoś z nas się zorientował, że pora kończyć. Jurek rzucił:

– Najważniejsze rozmowy odbywają się w przelocie!

Loty, odloty, przeloty – to sprawa głównie ptaków oraz samolotów. Ale też czasem wędrownych ludzi. Rozmowy w przelocie, przygodne, niezaplanowane, nieoczekiwane, spontaniczne…

Będąc w p r z e l o c i e uwalniamy się od przyciągania ziemskiego, na moment umykamy grawitacji, od jej siły ciążenia.

Powaga, owszem, przystoi ludziom, gdy na serio wygłaszają ważne i rozważne tezy, gdy wydają przemyślane oceny. Takie, za jakie ręczą każdym słowem.

Bywają jednak takie przypadki, kiedy się słowami bawimy i nimi cieszymy. Gdy żartujemy, przerzucamy się dowcipami. Wówczas zamiast dreptać – niby czapla przy wyschniętym źródle z wiersza Herberta – słowa tańczą. Słowa dostają skrzydeł. Odrywamy się nimi od Ziemi. Zbliżamy – do Nieba. Ubywa nam ciężaru i oporności, stajemy się lekcy, nabieramy do płuc powietrza. Szybujemy jak latawce, czy raczej – jak dmuchawce; dojrzałe kwiaty mleczu wraz z nasionkami, odfruwają za byle podmuchem. Cudowny wynalazek przyrody: powierzyć nasiona wiatrowi. Skrzydlate słowa, niosą w sobie również skrzydlate myśli.

Mistrzami takowej sztuki bywają poeci tacy wspaniali, jak Julian Tuwim, Bolesław Leśmian, Jan Brzechwa, Konstanty Ildefons Gałczyński czy Wisława Szymborska. To oni uruchamiają w nas rozbrykane Dziecko. Dodają nam odwagi, by bawić się słowami.

Żywioł zabawy pochodzi od Boga. Nawet sam Stwórzyciel, po ukończeniu swego dzieła, musiał w końcu odpocząć. W Ósmym Dniu Stworzenia sam się nim napawał, cieszył i bawił. Wyrażał satysfakcję, stwierdzał i powtarzał, iż „było dobre". Było one boskie, jak i ludzkie poczucie humoru rodzące dowcip i żart. Boskie Słowo, miało moc kreacji, powoływania z nicości – wszystkiego.

Słowa ludzkie, za którym kryją się myśli, pozwalają na zdobycie dystansu, uwalniają od nadmiernego przywiązania do silnych emocji. Rozpraszają irytację, zajadłość, gniew i złość. Zamiast Szekspirowskiego „wrzasku i wściekłości", warto zaproponować hasło: „nie lękajmy się żartu". Nie bójmy się Kunderowskiej lekkości bytu.

Przelotne spotkania i rozmowy zostawiają po sobie niezatarty ślad. Nawet wówczas, gdy są bezsłowne.

W muzeum rzeźby w Orońsku, na obrzeżu parku, odkryłam niezwykłą rzeźbę: Kilka stalowych prętów, niby jakaś dziwna klatka, z podpisem „Modlitwa Anioła". Otwarta klatka „wypełniona" świeżym i wonnym powietrzem. Nawet najmniejszy szelest nie zakłóca owej modlitwy…

W Księdze Genesis natrafiamy na dramat pierwszego kłamstwa naszych prarodziców – Ewy i Adama, gdy ulegli wężowej pokusie pychy, gdy się wystraszyli Stworzyciela i próbowali się przed nim ukryć. Naiwnie sądząc, iż Bóg ich nie wypatrzy w gęstych zaroślach. Niespodziewanie dla siebie „usłyszeli szelest stóp Boga". Poczuli gorzki smak zdrady, niedochowania wierności.

Nie padło ani jedno słowo. Milczący Archanioł z ognistym mieczem wygnał ich z Raju lojalności. Już jako ziemianie, musieli się pogodzić z wyklęciem. Od tej pory skazani na ciężki trud samodzielności. Radzenia sobie z ciężarem kłamstwa.

Rzec można – stali się ofiarą własnej głuchoty, przychylili ucha na podszepty Węża, niedosłyszeli szelestu stóp Boga.

„W przelocie" – w tej pozycji nie zagraża nam ani ciężar milczenia, ani nadmierna lekkość bytu.

Mój serdeczny przyjaciel, filozof Stefan Symotiuk, wielbiciel Witkacego, słynący z nader oryginalnych →

pomysłów, wymyślił koncepcję swoistej antropogenezy, wedle której ludzie pierwotnie żyli na drzewach. Zmuszeni do skoku z gałęzi na gałąź, przez moment „zawiśli w powietrzu". W ten sposób odkryli na swój użytek „smak lekkości", późniejsze źródło wolności. Swobody, dzięki której mogli zaistnieć „jako bogowie".

Rozgałęziona rodzina wyrazów skupiona wokół rdzenia „lot", zasługuje na wyliczenie jej „rodzeństwa". Wymieńmy niektóre: odlot, wylot, lotnik, latawiec, latawica, zlot, oblatywanie, oblatywacz, ulecieć (w górę) etc.

W ostatnich czasach, upowszechnił się wyraz „odlot" w znaczeniu oderwania się od zdrowego rozsądku, albo zmącenia świadomości pod wpływem narkotyków, lub starczej demencji – tak zwane „odmienne stany świadomości". Zwykle się ich lękamy, nie potrafimy ich wyjaśnić. A przecież wszystkie one mieszczą się w nieobjętej przestrzeni człowieczeństwa. Warto je zwiedzać choćby tylko p r z e l o t e m. Bez tej umiejętności przeoczamy choćby doświadczenia mistyków.

Apologia „przelotów" poniekąd wiąże się z turystyką, z pragnieniem poznania mniej czy bardziej odległych krajów i kontynentów. Poznawania tego, co niezwykłe, inne niż „nasze rodzone". Dzięki temu potrafimy porównywać to, co odmienne, a nawet nim się zachwycać. Zmysł reagowania na różnice, wrażliwość na egzotykę, poszerza horyzonty, pozwala na unikanie „rozsianego stwardnienia". Rozbija skorupy umysłowych klisz, stereotypów, schematów. Na nowo rozbudza dziecięcą ciekawość również u dorosłych. Leczy z dogmatyzmu i fanatyzmu.

Stary dowcip na temat nadmiernej macierzyńskiej miłości brzmi: „synku, lataj nisko i powoli".

Właściwa troska winna kierować się hasłem: „Lataj, kędy chcesz"!

16 marca 2023

Jadwiga Mizińska

Ikar, Jan Wojnarski (1879–1937), akwaforta, przed 1937. POLONA

Stanisław Turski

Wyprawy sprzed lat

Wspomnienia z wycieczki na Wileńszczyznę

W czerwcu 1991 roku nadarzyła się okazja zobaczenia Wilna i okolic. Tyle lat czekałem na taką możliwość, lecz stolica Litwy nie była wówczas łatwo dostępna dla polskich turystów. I oto przed dwoma laty zaistniała nowa rzeczywistość, sowieckie imperium przeżywało od kilku lat gorbaczowską pierestrojkę, a wraz z nią w ZSSR pojawiły się ruchy wolnościowe, szczególnie w republikach przybałtyckich.

Zapisując się na tygodniową wycieczkę autokarową w lubelskim Biurze Podróży „Harctur", byłem świadomy, że zobaczę nie tylko historyczne Wilno oraz Troki, ale będę też świadkiem przemian, jakie w tym czasie zachodziły na Litwie; od trzech lat działał ruch przebudowy Litwy „Sajudis", a społeczność bratniego kraju była coraz bliżej zrzucenia radzieckiego jarzma.

Wrażenia z podróży zapisałem zaraz po powrocie do domu, tkwiły tak w szufladzie, w moim domowym archiwum aż do wiosny tego roku. Przemiany społeczno-polityczne w Europie, a szczególnie w krajach byłego bloku sowieckiego, zachodzą bardzo szybko, więc wydarzenia sprzed niemalże ćwierćwiecza są już odległe, historyczne. Dlatego postanowiłem je przypomnieć. Skorzystałem w propozycji Redakcji „Lublina", aby opublikować je w cyklu „Wyprawy sprzed lat".

Na dawne ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego wjeżdżamy po godzinnej jeździe autobusem z Lublina. Ma to miejsce 7 kilometrów za Parczewem, w kierunku Białej Podlaskiej, kiedy przekraczamy rzeczkę Piwonię płynącą do Tyśmienicy. Mijana właśnie wieś Przewłoka, wymieniona w dokumencie już w 1414 roku, była miejscowością pogranicza, aż do czasu zawarcia unii polsko-litewskiej za Zygmunta Augusta.

Tędy wiódł szlak z Krakowa do Wilna, prowadzący następnie przez Brześć Litewski i Lidę. Jedziemy początkowo tym starym traktem królewskim jeszcze przez kilkadziesiąt kilometrów, aż do Łomaz, ale potem zmierzamy wprost na północ.

Wieczorem docieramy do Augustowa. Idąc na kolację do domu wycieczkowego PTTK, który położony jest na wyniosłym brzegu pięknego jeziora Necko, przyglądam się uczestnikom naszej wycieczki. Została ona zorganizowana przez Oddział Lubelski Polskiego Towarzystwa Dermatologicznego, za pośrednictwem Biura Turystycznego „Harctur". Ludzie wyglądają sympatycznie. Nie należę do świata lekarskiego, mimo to czuję się w tym towarzystwie dobrze. Znam kilka osób, a z jednym z kolegów, Bogusiem Wachem, odbyliśmy niegdyś wyprawę trampingową do Afganistanu, indyjskiego Kaszmiru, zahaczając o Himalaje i docierając do Delhi oraz Agry.

Po noclegu w dobrze utrzymanym motelu ruszyliśmy w dalszą drogę. Po przejechaniu 43 kilometrów zatrzymujemy się przed szlabanem granicznym, ale nie jest to

Baszta Gedymina. Wikipedia

miejsce, do którego zdążaliśmy Aby naprawić pomyłkę pilota i dojechać do właściwego przejścia granicznego, które znajduje sie w Ogrodnikach, musimy wrócić do Augustowa, i dopiero stamtąd udać się ku granicy, jadąc nie na wschód, a na północny-wschód. Straciliśmy więc około dwóch godzin, ale za to zyskaliśmy możliwość poznania południowej części Puszczy Augustowskiej i to w okresie pełnej krasy – w słoneczny, majowy poranek.

Przejście graniczne w Ogrodnikach znajduje się pomiędzy dwoma jeziorami, które wchodzą w skład Pojezierza Suwalskiego. Najpierw zostaliśmy sprawnie obsłużeni przez polską służbę WOP i celników, a po godzinnym oczekiwaniu podjechaliśmy na litewski punkt kontrolny, gdzie odniesiono się do nas również uprzejmie i życzliwie.

Jestem geografem, interesuje mnie krajobraz, nie tylko jego piękno, ale historia, ukształtowanie. Byłem mieszkańcem Ziem Odzyskanych – a więc terenów powstałych w czasie zlodowacenia bałtyckiego, podobnie jak Ziemie Utracone Litwy, toteż potwierdziły się moje oczekiwania – zobaczyłem krajobraz urozmaicony niewysokimi pagórkami moreny dennej, z licznymi jeziorkami i oczkami.

Kościół św. Anny w Wilnie. Wikipedia

Miłe wrażenie wywoływał widoczny porządek i ład, zarówno na kołchozowych polach, poletkach przyzagrodowych, w obejściach i wokół domów – zazwyczaj ładnych i solidnych, a także w mijanych miejscowościach. Dobra szosa, świetne oznakowania, opisana w języku litewskim i rosyjskim dopełnia pozytywnego obrazu współczesnej Litwy. „To nie Białoruś, Wołyń, ani Ukraina" – mogłem stwierdzić, porównując świeże wrażenia do Pińska, Łucka, Równego, czy na Podole.

Mamy do przejechania jeszcze 180 km. Dysponując przedwojenną mapą sztabową porównuję dawne z nowym; na mapie oznaczony jest każdy kościół, cerkiew, bożnica, kapliczka, a nawet krzyże przydrożne, a także folwarki, dwory, młyny, tartaki itp. Nie wszystko da się zauważyć z okien autobusu, ale jeżeli chodzi o obiekty sakralne to większość z nich się zachowała, chociaż niektóre są w opłakanym stanie.

Kiedy zjeżdżamy do mostu na Niemnie, wszyscy rzucają się do okien.

– Ale piękna rzeka! – W jakiej głębokiej dolinie płynie. – Myślałam, że Niemen jest szerszy – słychać i takie głosy. Większość porównuje wygląd rzeki z oglądanym powszechnie filmem „Nad Niemnem", nie wiedząc, że filmowe sceny na rzece kręcono na Bugu. Później zatrzymujemy się na krótki postój nad Mereczanką. Płynie ona krętym jarem. W tych stronach, w dworku w Siechnowiczach, na Mereczyźnie urodził się w roku 1746 Tadeusz Kościuszko.

Osada, przez którą przejeżdżamy nazywa się Varéna, następna zaś zwie się Valkininkai. Z mojej mapy wynika, że były to Orany i Olkieniki. Przed 1939 rokiem Orkany, leżące na północnym brzegu Mereczanki, należały do Litwy, zaś miejscowa stacja kolejowa, magistrali Wilno–Warszawa, znajdowała się na przeciwległym brzegu rzeki, na terytorium Polski.

W Nowym Międzyrzeczu odchodzi w lewo droga do Trok, gdzie będziemy mieszkać przez kilka dni, ale teraz jedziemy wprost do Wilna na spotkanie z przewodnikiem. Wjeżdżamy w stary las pomiędzy Świątnikami a Czarnobylem (ale nie tym z elektrownią atomową) – dawniej małą wsią, liczącą tylko 18 gospodarstw. Potem przecinamy dość głęboko wciętą dolinę Waki, będącą dopływem Wilii, następnie – za Charbiejewiczami, tor kolejowy, a wkrótce – za Nowosiółkami, ukazuje się tablica z napisem „Vilnius".

Wywołuje to spontaniczne oklaski. Ten wzruszający i sympatyczny gest jeszcze bardziej zbliżył mnie do czterdziestu rodaków, przybywających do Wilna pierwszy raz w życiu, łącznie z kierowcą i pilotem.

Do miasta wiedzie nas szeroka aleja. Nawet nie zwracam uwagi na nazwy ulic, nagminnie pozamieniane przez

Wileńska Ostra Brama. Wikipedia

sowieckuju własť. Niestety, nie mam planu dawnego Wilna, ani też jakiegoś przewodnika czy informatora. Dysponuję jedynie współczesnym planem miasta, ale – pożal się Boże – jaki jest niedokładny, ogólny i co gorsza – nie zamieszcza z zasady nazw zabytków, koncentrując się na oznaczeniu kin, domów kultury, pałaców pionierów czy postojów taksówek. Nie można doszukać się na nim Wzgórza Gedymina, ani poszczególnych kościołów, nie mówiąc o ich nazwach. Daremnie wypatrywać Ostrej Bramy, cmentarza na Rossie...

Musimy odszukać ulicę Dzierżyńskiego, znajdującą się w północnej części miasta. Stamtąd zabierzemy pannę Jolę, która będzie naszym opiekunem przez cały czas naszego pobytu na Litwie. Jola – mówiąca dobrze po polsku – pilotuje nas do restauracji „Palanga", położonej w centrum miasta, przy dawnej ulicy Mickiewicza (obecnie Lenina). Zmiana nazwy tej ulicy musiała być szczególnie przykra dla miejscowych Polaków. A jak nazywa się teraz słynna Pohulanka? A Wileńska? Kolejowa? Trocka?

Zdaję sobie sprawę, że moje wrażenia, mimo że spontaniczne, są w pewnym sensie powierzchowne. Przed przyjazdem tutaj nie wgłębiałem się w literaturę turystyczną, nie mam w rodzinie nikogo pochodzącego z tych stron i mój sentyment do utraconego miasta, mimo że duży, nie jest tak głęboki jak u osób związanych z Wilnem pochodzeniem lub choćby jednorazowym pobytem w „polskich czasach". Dopiero po powrocie z tej wycieczki będę szukał wszelkich źródeł pisemnych, kontaktów z wilniakami – jak się nazywa byłych mieszkańców obecnej stolicy Litwy. Będę darzył już głębokim sentymentem to piękne miasto i stanę się jego wiernym miłośnikiem, podobnie jak to się stało z moimi uczuciami wobec Lwowa, który ujrzałem pierwszy raz w 1973 roku.

Po obiedzie mamy godzinę wolnego czasu. Boguś ciągnie nas do Katedry. To blisko stąd.

Jakże pięknie bieleją ściany świątyni oświetlone popołudniowym słońcem! Ile plastyki posiadają rzeźby na tympanonie oraz kolumny portyku…

Kościół katedralny został zbudowany w XIV wieku po przyjęciu chrztu przez Litwinów, co miało dokładnie miejsce w 1387 roku. Świątynię wielokrotnie przebudowywano. Obecny kształt nadał Katedrze pod koniec XVIII wieku Wawrzyniec Gucewicz – architekt niemałej sławy. Stworzył on cały zespół architektoniczny, nie wyłączając strzelistej i okazałej dzwonnicy, która stoi samotnie przed wejściem Katedry. Gucewicz odnowił również →

starą kaplicę królewską, zbudowaną w stylu barokowym w podziemiach kościoła, w której spoczywają koronowani władcy Litwy i Polski. Tu pochowano także, zmarłą w Krakowie Barbarę Radziwiłłównę, za trumną której Zygmunt August, jeden z najpotężniejszych władców Europy, szedł do Wilna pieszo i z odkrytą głową…

„Przewodnik po ZSRR" z 1967 roku, autorstwa Siergieja Tołstoja, wydany przez Sport i Turystykę w Polsce podaje: „…na tymże placu Gedymina w bardzo starym budynku mieści się galeria obrazów". Dobre sobie: „w bardzo starym budynku", a przecież chodzi o Katedrę!

Na szczęście świątynia została oddana wiernym pół roku temu i to po remoncie. Szkoda jednak, że odprawiają się w niej nabożeństwa wyłącznie w języku litewskim. Jest to dyskryminacja Polaków, a przecież w wielu kościołach Wileńszczyzny polscy księża prowadzą msze na zmianę, dla Polaków i Litwinów, używając, w zależności od potrzeby, to polskiej, to litewskiej mowy.

Jutro przyjdę do Katedry na wieczorne nabożeństwo, a teraz, po obejrzeniu wnętrza, zatrzymuję się przed grupką młodzieży, która podpisuje w jednej z bocznych kaplic jakieś petycje. Dowiaduję się, że pierwsza rezolucja dotyczy protestu przeciwko rozpijaniu narodu, a druga wyraża sprzeciw wobec odbywania służby wojskowej przez Litwinów poza granicami republiki. Po chwili wahania wpisuję się na obie listy podając swoje nazwisko i adres, zgodnie z oznaczonymi rubrykami. Otaczająca mnie młodzież przyjmuje ten gest z wyraźną sympatią.

W niedzielę widziałem zaś koło Katedry pikietę zorganizowaną przez „Sajudis", w której brali udział także Białorusini, Ukraińcy, Ormianie, Łotysze i Estończycy, domagający się samodzielności swoich republik.

Moja podróż do Wilna jest jednym z kilkunastu wyjazdów, jakie odbyłem do ZSRR w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Bywałem niegdyś w Moskwie, Kijowie, Odessie, Soczi, Gruzji, Armenii, Tadżykistanie, a ostatnio – jak już wspomniałem, na Podolu, Wołyniu, Polesiu, Pokuciu, na Huculszczyźnie, w Besarabii – i nigdzie nie odczuwałem takich szybkich przemian jakie na Litwie mają miejsce.

Jest jakoś radośnie, ale też poważnie. Taki umiarkowany optymizm towarzyszy mi pierwszy raz w tym kraju. Więc jednak naprawdę zmienia się, „przestraja" szybciej – wolniej, ale jednak!

Byli naszymi braćmi…

Kwaterujemy w Trokach Starych w domach prywatnych dwóch rodzin polskiego pochodzenia. Domy te, położone na końcu wsi, w otoczeniu kołchozowych pastwisk, prezentują się całkiem dobrze. Pokoje są dwu – i trzyosobowe, należycie umeblowane. W jednym z domków – „U Tadeusza" – jak go nazywamy, znajduje się nawet salka dyskotekowa z barem.

O względnym dostatku tutejszych mieszkańców – niemal wyłącznie Polaków – świadczą liczne tunele foliowe i szklarnie, w których uprawia się warzywa lub kwiaty. Niektórzy gospodarze to kołchoźnicy, bo tak ich należy określić, trzymają krowy, cielaki, a czasem i konia. Widziałem orkę działki przyzagrodowej, wykonywaną przy pomocy jednoskibowego pługa, ciągnionego przez kasztankę. Drzewa owocowe, kwiaty wokół domów, nie stwarzały wrażenia wsi kołchozowej i tylko jeden element wizualny: brak ogrodzeń – tak charakterystyczny na wsi polskiej – uzmysławia, że ta wieś, jak wszystkie na Litwie i w ZSRR objęta jest kolektywizacją.

Kołchoz znajduje się w miejscu istniejącego tu niegdyś folwarku. Przechodzimy koło magazynów zbożowych i punktu skupu.

Właśnie ważą cielę przyprowadzone na sprzedaż przez jednego z rolników. Zaglądam do odbitki kserograficznej ze „Słownika Królestwa Polskiego i Litwy" dotyczącej hasła „Troki Stare". Jak wynika z zawartych w niej informacji, w 1865 roku wieś liczyła zaledwie 164 mieszkańców, posiadających 20 domów. Parafia katolicka dekanatu trockiego miała w owym czasie 4821 wiernych. Istniały też kaplice filialne w Połukniach, Skorbucianach, Wace, Ołomnie i Świątrukach.

Władca Giedymin wzniósł w Trokach Starych zamek, otoczony przekopą i wałami. Po jego śmierci miejsce to stało się stolicą Kiejstuta: wielkiego księcia trockiego i żmudzkiego. Zamiast drewnianej warowni swojego ojca, wymurował zamek obronny, w którym Kiejstut przebywał aż do wystawienia nowej twierdzy, na wyspie jeziora Galwa w Trokach Nowych. Jego syn – wielki książę litewski Witold – przekształcił, niepotrzebny już zamek w Trokach Starych na klasztor benedyktynów, których sprowadził z Tyńca w 1405 roku. Bracia zakonni otrzymali przywilej dziesięciny ze wszelkich płodów w majętności książęcej w Trokach Starych, a także plac z dwoma ogrodami; jeden przy drodze oddzielającej tenże ogród od zamku (tu prawdopodobnie powstał późniejszy folwark, a obecnie znajdują się zabudowania kołchozowe); drugi położony koło cmentarza.

Obecny, neogotycki kościół w Trokach został postawiony w 1899 roku, w miejscu dwóch poprzednich. Akurat odbywa się rocznicowe nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego parafianina. Zatrzymuję się w kruchcie, nie mając jakoś odwagi podejść bliżej, usiąść w ławkach obok współbraci. Msza odprawiana jest po polsku. Celebruje ją wiekowy, siwiuteńki ksiądz. We mszy uczestniczy sześciu mężczyzn i kilkanaście kobiet. Młodzieży ani dzieci nie widać. Śpiewane pieśni przyjmuję może zbyt symbolicznie

Zamek w Trokach. Wikipedia

i wywołuje to we mnie różne smutne skojarzenia, dotyczące losu naszych rodaków na Litwie. Niedługo bracie z tobą się ujrzymy. Jużeś tam doszedł, my jeszcze idziemy…

Na dziedzińcu kościelnym stoją dwa grobowce. W jednym pochowany został w 1942 roku ks. Ludwik Stefanowicz, długoletni proboszcz i dziekan trocki, zmarły w wieku 59 lat, a wraz z nim spoczywa od 1953 roku proboszcz ks. Ludwik Kluk, który przeżył 70 lat. Drugi grobowiec kryje szczątki litewskiego księdza Preco Michaele (1904–1980). Pamięć o tym kapłanie jest jeszcze żywa wśród parafian, o czym świadczy duży krzyż ułożony na płycie z czerwonych płatków tulipanów. Kamienny krzyż misyjny z napisem: „Pod tym znakiem zwyciężymy", postawiony w 1913 roku – przetrwał do czasów obecnych, co świadczy o większej na Litwie niż gdzie indziej w ZSRR, tolerancji wobec religii; większej ale nie całkowitej.

Obchodzę budynek klasztorny. Ciężka żeliwna tablica, wisząca nad drzwiami wejściowymi oznajmia, że tu mieszczą się teraz… biura kołchozowe.

Na nagrobkach miejscowego cmentarza widnieją niemal wyłącznie polskie nazwiska: Jan Rodomowicz, Wacław Budrowiecki, Jan Budkiewicz, Irena Mowoszyńska, Lidia Mackiewicz, Józefa i Izydor Karpowicze, Edward Puczy syn Eleny itd. Na wielu kamieniach nagrobnych czy tabliczkach pisownia jest zniekształcona błędami ortograficznymi i gramatycznymi. Wcale mnie one nie rażą a raczej wzruszają:

„Pamiontka od menrza."

„Ot córki i żencia, rzony i dzieci Kaźmierz."

W tej pisowni wyraźnie widać, że wyraz „żeńć" pochodzi od słowa „żenić się".

„Zmar smjercią trygiczną".

Litera „g" w ostatnim wyrazie jest wykuta w kamieniu „do góry nogami".

„Pokuj tej duszy".

„Pamjontka ot rodzicuw".

„Tu spoczywają Małachowskie".

„Pawłowski Hendryk dla ukochanemu synu".

I bardzo wzruszające słowa: „Jak potrzebne byli Twoje ręce i serce".

„Pa ot żony i dzieci".

W bardzo wielu epitafiach podano informację o śmierci tragicznej pochowanego. „Co się stało, dlaczego?" – myślę i nie znajduję odpowiedzi. W przypadku żołnierzy można się domyśleć, że stracili oni życie w wyniku np. wypadku →

na poligonie. Ale pozostali? Znajduję jeszcze wyjaśnienie, że X. został zabity przez pociąg. Jednak najwięcej tragicznych śmierci wydarzyło sie w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Tak mnie to zaintrygowało, że zapytałem robotników murujących grobowiec, czy wydarzyła się tutaj jakaś katastrofa. Musiałem zadowolić się odpowiedzią, że żadna katastrofa nie miała miejsca, a tylko zdarzały częste wypadki spowodowane pijaństwem. Ktoś zabił się na motocyklu, ktoś wpadł pod samochód, innego przejechał kombajn, tego tam pod brzozą zakłuto nożem na zabawie itp. Epoka Chruszczowa sprzyjała szczególnie rozpijaniu obywateli ZSRR.

Niektóre fragmenty cmentarza są wyraźnie zaniedbane, zarośnięte, bez alejek, z zatartymi śladami grobów. Na całym terenie odszukałem tylko kilka mogił z litewskimi nazwiskami, ale spoczywają tu również Polacy, którzy „piszą się po litewsku". Jeden z okazalszych grobowców, zresztą pusty jeszcze, a więc z konieczności bez daty śmierci potencjalnych nieboszczyków, przyciąga moją uwagę widokiem czarnej marmurowej płyty z wyrytymi nazwiskami rodziny polsko-litewskiej.

„Józefa Dzienowagis z Bujnowskich, Michalina Szamotowiczowa, Waclowas Markiewiczius"

Podchodzę do stojącego na ustroniu starego pomnika z głazów. Skrywa go cień lipy. Niestety, zrywający się do lotu orzeł, umieszczony na szczycie obelisku jest przez kogoś celowo zniszczony. Utrącono mu głowę i skrzydła. Spoczywa tu Tadeusz Sprych, 18-letni obrońca Lwowa, ochotnik 201. Pułku Wojsk Polskich. Odczytuję napis: „Padł za Polskę 18 września 1920 roku. Cześć Bohateriowi."(!)

Wkrótce podchodzi jakiś starszy mężczyzna w kufajce i mówi po polsku, że jest wprawdzie Rosjaninem, ale nie może przeboleć, że ten pomnik jest tak okaleczony i zaczyna się żalić: „On, co leży tutaj, za te ziemie walczył. Trzeba zadbać o jego grób. U mnie jest dwie siostry. One trochę kwiatów czasami posadzą, uporządkują. Trzeba nam zrobić… to, no ja zabył… jak to po polsku…, już wiem… jedność, znaczy nazywa się, i tę jedność od grobu i mogilnika by zacząć… Żeby śmiecie nie walali się… Jak ja z wojska przyszedłwszy w Troki Stare, to dom sobie postawiwszy i tu żyję. Niech pan napisze do «Czerwonego Sztandaru» – co ja powiedziawszy, ale bez nazwiska, ono niepotrzebne...".

Jakiś ty Rosjanin – myślę sobie. Gdyby nie mój notatnik i aparat fotograficzny w ręku, to może przyznałbyś się człowieku, że jesteś Polakiem. Mówisz po naszemu, myślisz i czujesz po naszemu, tylko boisz się jeszcze po rosyjsku.

Do Trok Nowych, odległych o 6 km dostaję się okazją. Pierwsze kroki kieruję do pięknie usytuowanego kościoła na wzgórzu. Stara to budowla, w jej murach tkwią resztki świątyni postawionej w 1409 roku przez Witolda. Późniejsze przeróbki i odnowy dokonywane w XVII–XVIII wieku zatarły jej pierwotny styl gotycki.

Obecnie kościół pw. Nawiedzenia NMP wyróżnia się okazałością i dwiema wysokimi wieżami. Sama nawa ma 50 łokci długości. Prawdziwą ozdobą świątyni jest umieszczony w wielkim ołtarzu stary obraz Bogarodzicy, namalowany w stylu bizantyńskim na miedzianej blasze, nałożony na dębową deskę. Przepiękne malowidło, otoczone czcią, a nawet uznane za cudowne, zostało podarowane, jak głosi tradycja, Witoldowi przez cesarza bizantyńskiego Emanuela III.

Pod koniec XIX wieku parafia trocka liczyła niemalże 7 tysięcy wiernych. Troki Nowe były siedzibą dekanatu, w skład którego wchodziło aż 12 parafii jak np.: Sumiliszki, Dorsuniszki, Kierowiszki, Uzgoście, Żyżymory… a także filie parafialne (Kozakiszki, Skorbuciany, Wilkiszki, Tolejkiszki). Przytaczam te nazwy dla ich egzotycznego brzemienia.

Zamierzam udać się teraz do miejscowego księdza, aby zebrać trochę więcej materiału. Pytam napotykane, spracowane, nie najmłodsze kobiety o drogę do plebanii, a one, śpiewając po wileńsku, każą mi iść nad jezioro, w pobliże „bani". Mimo, że mówią po polsku, zapomniały widocznie wyrazu „łaźnia". Ale też bania to bania, a nie żadna tam łaźnia.

Bez trudu docieram do drewnianego domku z ogródkiem. Pukam do drzwi i zaraz wychodzi gospodyni informując mnie, że tera ksiądz je obiad, więc niech poczeka tzn. ja). Ale już za chwilkę ksiądz staje w drzwiach. Przedstawiam się, przepraszając za najście, ale bez ceregieli zostaję zaproszony do pokoju i posadzony w fotelu. Za chwilę słucham słów kapłana.

„Jestem altarystą i pewnie pan nie wie, co to znaczy. Po prostu trzymam altarię – inaczej prebendę. To jest takie proste beneficjum bez obowiązków duszpasterskich, związane z obsługą ołtarza w kościele parafialnym. Ponieważ proboszcz pojechał do Kanady, więc go zastępuję na ten czas. 52 lata żyję w kapłańskim stanie. W 1937 roku byłem wyświęcony w Katedrze Wileńskiej, po skończeniu Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie im. Stefana Batorego. Oto tablica z fotografiami wszystkich absolwentów i wykładowców. Ja jestem, o tu (to mówiąc ksiądz podchodzi do ściany, na której zawieszone jest, oprawione w ramki ze szkłem, specjalne tableau). Justyn Saul – to moje nazwisko, jak pierwszego króla żydowskiego.

Mieszkam od dawna w Trokach Nowych. To jest duża parafia. Statystyki kościelnej nie prowadzimy, nie wolno nam też kolędować, ale można przyjąć, że mamy tu około 5 tysięcy wiernych: Polaków i Litwinów. W niedzielę

Siedziba dekanatu—Parafia Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Trokach. Wikipedia

odbywają się trzy msze święte: o dziewiątej rano jest w języku polskim, o jedenastej w litewskim, i o trzynastej znowu po polsku. Oprócz tego odprawiamy codziennie nabożeństwa według zamówienia przez rodziny katolickie. Nabożeństwa majowe odprawiamy tak: przez trzy kolejne dni po polsku, a potem przez trzy dni po litewsku.

Do niedawna nie było konfliktów pomiędzy naszymi narodami, ale teraz jednych i drugich podpuścili Rosjanie. Z chwilą, gdy przywrócono język litewski jako urzędowy, kacapy zaczęli judzić Polaków, że Litwini im język odbierają i żeby wystąpić o ustanowienie języka polskiego jako również urzędowego. Na to z kolei nie chcą zgodzić się Litwini, ustawiający się wrogo wobec takich żądań. Oni jakby bardziej bali się nas niż Rosjan, przynajmniej teraz, gdy przemiany Gorbaczowa uczyniły ZSRR państwem łagodniejszym.

Owszem, były szkoły z językiem polskim, ale dzieci coraz rzadziej do nich posyłano. Nie były one, jak myśleli rodacy, pożyteczne, znaczy się, bo szkoła polska zamykała w praktyce dostęp do dalszej kariery. Więc szkoły pozamykały się. Sam niejednokrotnie krzyczałem z ambony, że dzieci modlitewników po polsku nie umieli czytać. A teraz mądre Polaki po szkodzie, krzyczą, że szkół nie ma i chcą swój język w urzędach mieć.

W Trokach klasy podzielili się na grupy z językiem polskim i litewskim. Nasi szli przeważnie do rosyjskich szkół, a Litwini chodzili na swoje grupy. Ciągle zwracałem Polakom na to uwagę. A więc tak: można było uczęszczać do szkoły polskiej, ale „lepiej" było tam nie chodzić. Usłyszałem raz od jednego z chłopców: „Proszę księdza, jak nikt nie widział, to my z synem… towarzysza (podał polskie nazwisko, prosząc żebym go nie zamieszczał w reportażu) modlili się po polsku". To bardzo wymowny przykład.

Powstał na Litwie ruch „Jedność", inspirowany przez Rosjan. Jest to ruch, którego celem jest zachowanie tutejszego status quo. Litwini są rozżaleni na Polaków za ich liczny udział w „Jedności", ponieważ uważają, że jest to przejście naszych rodaków na przeciwne pozycje. Litwini utożsamiają się z programem „Sajudisu" – ruchu na rzecz samodzielności politycznej, gospodarczej, kulturalnej oraz równouprawnienia wszystkich narodowości w ZSRR. W tym froncie narodowym, jak można byłoby go nazwać, znajduje się dużo katolików. Polacy powinni iść ramię w ramię z Litwinami, lecz nie powinni żądać tego samego, co wywalczyli sobie Litwini. Nie powinni też przeszkadzać w ich dążeniach wolnościowych, kumając się w tej sprawie z Rosjanami i wstępując do ugrupowań typu „Jedność". Sami na tym nie zyskają nic, a tylko →

Stanisław Masłowski, *Troki—pejzaż*, akwarela, 1904 r., Muzeum Narodowe w Warszawie, Wikipedia

stracą twarz i przyjaciół Litwinów. Oni byli naprawdę naszymi braćmi…

Niestety, tutejsi rodacy, nie orientują się w zawiłościach polityki. Wiadomości czerpią z propagandowych i reżimowych gazet, radia i telewizji, a ponieważ nie są przygotowani intelektualnie, ulegają jednostronnej propagandzie. Właśnie jednym z naszych dramatów jest brak tutaj inteligencji polskiej, która została wyniszczona przez Stalina, albo repatriowała się w 1944 roku.

Mieszane małżeństwa żyją raczej dobrze. Nie ma przecież dużej różnicy kulturowej pomiędzy naszymi narodami. Polacy nigdzie w ZSRR nie mieli takiej swobody jak tutaj. Wychodziły kiedyś trzy gazety rejonowe po polsku, ale Polacy mało prenumerowali. Młodzież jest niestety jeszcze bezkolorowa. Jadą na przykład autobusem i gadają po rosyjsku, chociaż umieją po naszemu. To się jednak w najbliższym czasie zmieni. Teraz już nie prześladują za religię. Pierwszy sekretarz partii na Litwie, Brazauskas, jest bardzo tolerancyjny i rozumny. Ale skoro rodzice wpierw nie chodzili do kościoła, to ich dzieci też się nie przyzwyczaiły. Zresztą młodzież uciekła do miast. Nie chcą pracować w kołchozie, mimo że dużo się na wsi poprawiło. Kiedy byłem wikariuszem w Trokach Starych w 1937 roku, to stały tam tylko stare chałupy. Rodziny były przepełnione, licha ziemia dawała marne plony, ale teraz, gdy zostało mało ludzi na wsi, wzrosły zarobki, a ponadto pozwalają już trzymać trochę inwentarza w obejściu, nastało inne życie. Sam pan widział jak się teraz u nas mieszka. Ludzie uważają Gorbaczowa; liczą, że nastąpi jeszcze większa swoboda. Ja natomiast odnoszę się do pieriestrojki raczej sceptycznie. Czy można coś poprawić w kraju, w którym siedzi na różnych stołkach 18 milionów darmozjadów?

Owszem, odczuwamy ułatwienia. Diecezja wileńska może wydawać gazetę religijną w języku litewskim „Katoliku pasaulis" (Świat Katolicki). Tylko z przydziałem papieru są ogromne kłopoty. Obiecano wydrukować Pismo Święte po polsku, bo wyszło już po litewsku w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy. Brakuje nam bardzo modlitewników i katechizmu. Kiedyś dwaj polscy młodzieńcy wykonali odbitki fotograficzne z poszczególnych stron modlitewników, ale wsadzono ich za to do więzienia na kilka lat (!).

Dawniej nie dawali zezwoleń na procesje czy na remonty kościoła. Teraz jest inaczej. Nawet można zmarłego odprowadzić na cmentarz w towarzystwie księdza i pozwalają na z dwie żałobne chorągwie. Cmentarz my uporządkowali. Tam kiedyś krowy się paśli. Żeby jeszcze cmentarz mogła przejąć parafia, bo są jak na razie państwowe.

Wielu księży nie wytrwało w służbie duszpasterskiej, zwłaszcza w czasach stalinowskich. Wtedy za przygotowywanie dzieci do komunii księża byli prześladowani. Dużo duchowieństwa wyjechało do Polski, szczególnie z Białorusi. Mnie szkoda było ludzi zostawić. Pamiętam zresztą jak arcybiskup Jałbrzykowski proponował mi przed wojną zrobienie doktoratu. To się nie udało, ale w zamian mam inną satysfakcję – widząc jak moja parafia odnawia się religijnie".

Słowa księdza spisałem z pamięci po powrocie do Lublina.

Dziwiłem się, że tak dokładnie je zapamiętałem, ale też pobyt na Wileńszczyźnie w okresie pierestrojki, wywarł na mnie duże wrażenie.

Stanisław Turski

czerwiec 1991

Czesław Michałowski

Wyprawy sprzed lat

Rok 1977. Ummanz/Hugen Niemiecka Republika Demokratyczna

To był już trzeci mój pobyt na Rugii. Dwa poprzednie wyjazdy odbyłem własnym samochodzikiem marki fiat l26p. Były to podróże bardzo stresujące, bowiem umiejętność prowadzenia auta miałem na poziomie jazdy prosto i skrętu w prawo. Próby skrętów w lewo dwukrotnie skończyły się lekkimi wgnieceniami karoserii mojego auta i cudzych stojących mi na drodze. Ich właściciele udowadniali, że to moja wina, a ja że ich. Jednak dla świętego spokoju uiściłem kłótliwym właścicielom samochodów żądane kwoty na drobne remonty i pojechałem dalej uboższy o środki płatnicze PRL. Być może poszkodowani kierowcy mieli rację, bo prawo jazdy zdobyłem wiele lat przed nabyciem fiacika, a naukę praktyczną powtórzyłem kilka dni przed wyjazdem na ulicę i to po tzw. łebkach. Miejscem treningu były wewnętrzne drogi obozu na Majdanku, a nauczycielem mój przyjaciel prof. Leszek Malicki.

Do dzisiaj myślę, że prawie tysiąckilometrową trasę z Lublina pokonałem, mimo wszystko, w pięknym stylu, bo w ciągu zaledwie dwóch dni. Takiego zdania był również mój nauczyciel, kiedy spotykał mnie żywego po powrocie zza granicy. W trzecią podróż pojechałem jednak pociągiem. Odbyłem ją w towarzystwie dwóch córek Joanny i Iwony oraz psa rasy królewski pudel imieniem Atos. Córki odmówiły jazdy samochodem ponoć ze względu na brak wygód. Jednak żona Alicja powiedziała mi w tajemnicy, że dosyć miały wychodzenia z samochodu i obserwacji czy droga wolna, gdy miałem skręcić w lewo. Na decyzję o rezygnacji z podróży maluchem wpłynęło również niezdrowe zainteresowanie Niemców moim pojazdem. Fiat 126p wywoływał wśród nich tak dużą sensację, że któryś z oglądaczy odłamał z karoserii znak firmowy. Jednakże moim zdaniem w porównaniu z niemieckimi „mydelniczkami", czyli z trabantami – fiacik prezentował się nieźle. To prawda, był mniejszy, uruchamianie silnika było nieco dziwaczne, bo przez podciąganie dźwigienki tkwiącej w podłodze. Ale za to miał szlachetniejszą sylwetkę i w razie awarii startera silnik można było zapalić miotełką do zamiatania, która obowiązkowo była w bagażniku na tzw. prywatnym wyposażeniu. O ile, rzecz jasna, wiedziało się, jak jej użyć.

Podróż pociągiem miała oczywiście swoje zalety, a nawet nas rozbawiła. Otóż w czasie postoju w Greiswaldzie trzech wyrostków rycząc z uciechy wsadziło do naszego wagonu kompletnie pijanego robotnika z wiadrem płynnego wapna i pędzlem na długim kiju. Zawiany osobnik spał snem sprawiedliwego i nie zdawał sobie sprawy, że jedzie w nieznane bez biletu. Gdy wysiedliśmy w Stralsundzie, on pojechał dalej do Rostoku. Zadziwiło nas poczucie humoru dzielnych młodych ludzi w koszulach FDJ (Wolna Młodzież Niemiecka). Być może realizowali program walki z alkoholizmem. Któż to teraz wie?

W VEG (PGR) Ummanz czekała już na mnie grupa 20 studentów Akademii Rolniczej z Lublina, którzy uczęszczali na lektorat języka niemieckiego, bądź umieli się w nim jako tako porozumieć z tubylcami oraz dr Jerzy Szymona członek „grupy kierowniczej". Doktor przyjechał pięknym mercedesem, który otrzymał od brata prowadzącego zakład naprawy samochodów w Niemczech Zachodnich. Auto było zmontowane z nowiutkich części i wyglądało olśniewająco. Oglądałem je dokładnie i z miną znawcy kopnąłem kilka razy w tylną oponę, co było powszechnym rytuałem. Tym gestem zdobyłem opinię właściciela, jako znawca, prawie ekspert samochodowy.

Praktyki zawodowe w NRD były bardzo intratne.

Odbywały się na podstawie specjalnych umów, w których m.in. zawarta była wysokość wynagrodzenia studentów i ich opiekunów. Pamiętam, że za jeden dzień pracy otrzymywałem wynagrodzenie, za które mogłem kupić parę butów marki salamandra. Były to pantofle należące do kategorii luksusowych. Poza obuwiem Polacy starali się kupić sprzęt AGD, aparaty fotograficzne, wełnę szetlandzką, dywany i inne dobra, których w Polsce trudno było uświadczyć bądź były droższe. Zakupy nie były jednak łatwe. W sklepach należało udawać Rosjanina i wystrzegać się mówienia po polsku, nawet między sobą. Jeśli sprzedający odkrył, że klient jest Polakiem to najczęściej odpowiadał „Ba gibt nich" (nie ma), mimo że na wystawie pysznił się wymarzony towar. Natomiast →

wobec prawdziwych, bądź fałszywych Rosjan niemieccy sprzedawcy byli uprzedzająco grzeczni, wprost uniżeni. W pobliskim Stralsundzie obszedłem kilka sklepów zanim udało mi się kupić wełnę szetlandzką, chociaż zwracałem się do sprzedawców po rosyjsku. Za każdym razem rozszyfrowano mnie. Być może dlatego, że w lokalu zdejmowałem czapkę, bądź demaskował mnie uprzejmy ton. Rosyjscy oficerowie w cywilu zwracali się do sprzedawców twardo i rozkazująco. I otrzymywali wybrany towar bez problemów.

Ku mojemu zdumieniu w żadnym ze sklepów nie mogłem kupić wędzonego węgorza. Ur Schnitzer, nasz opiekun ze strony VEG objaśnił, że wszystkie złowione ryby są przeznaczone na eksport do Niemiec Zachodnich. Jednak dzięki półlitrowej butelce polskiej wódki udało mi się po cichu kupić w wędzarni węgorza długości 75 centymetrów, którego zawiozłem do Lublina.

Niemieccy celnicy po początkowym patrzeniu przez palce na drobne przedmioty wywożone przez studentów z czasem usztywnili kontrole i dokładnie sprawdzali wszystko, co się wywoziło. Kazali nawet zdejmować buty z nóg i sprawdzali, czy nie jest to niemiecki wyrób. Jeśli uznali, że niemiecki, student wracał do kraju w skarpetkach.

Mnie nie kontrolowali, trzymałem bowiem na widoku w czerwonej okładce Urkunde (dokument) z godłem NRD (młot i cyrkiel w zbożowym wieńcu) i to wystarczało. Natomiast bez słowa sprzeciwu przepuszczali studentów jadących na używanych motocyklach zakupionych w NRD, najczęściej marki mz. Widocznie w ten sposób pozbywali się starych i wyeksploatowanych maszyn. Nawet student Mazurek (Niemcy wymawiali Macurek) wyjechał do Polski bez problemu. A nie miał jednej dłoni.

Studenci najczęściej pracowali jako kierowcy ciągników oraz pomagali przy sprzęcie zboża. Trzytygodniowa praktyka zawodowa była dla polskich studentów bardzo pouczająca, mieli bowiem bezpośrednią możliwość poznania technologii uprawy roli i roślin w warunkach pełnej mechanizacji prac polowych.

Nasi chłopcy mieli wprost nabożny stosunek do maszyn rolniczych. Każdy ciągnik, prasa do słomy, opryskiwacz i inne maszyny byty traktowane z troską i szacunkiem. Szokiem był przypadek, który zdarzył się na naszych oczach. Otóż jeden z Niemców obsługujących prasę do słomy, któremu zabrakło chęci do pracy, wyciągnął jakąś część z maszyny i wyrzucił ją daleko w pole. Przybyłemu brygadziście oświadczył, że w urządzeniu coś się popsuło. Rzecz jasna, pracę przerwano i dokończono ją dopiero następnego dnia po naprawie prasy.

Pracownicy stali VEB traktowali nas niechętnie. Zarabialiśmy bowiem więcej niż oni, pracowaliśmy solidniej i szybciej. Ponad to, co niedzielę przysługiwały nam wycieczki nad morze. Wybieraliśmy FKK tj. plaże nudystów, o których słyszeliśmy w Polsce. Plaże nieco nas rozczarowały, gdyż uroda Niemek to nie klasyczne wzorce piękności.

Którejś niedzieli zawieziono nas na uroczystość poświęconą przyjaźni niemiecko-polskiej. Spotkanie młodych ludzi odbyło się w pobliskiej, nadmorskiej miejscowości.

Po oficjalnej części kilku studentów udało się do piwiarni, w której przebywali niemieccy uczestnicy spotkania, Doszło do bijatyki, interwencji sił porządkowych i osadzeniu sześciu studentów w areszcie. Po dłuższych negocjacjach z policją, w których uczestniczył dr Schnitzer, udało się uwolnić krewkich Polaków, którym przy piwie przypomniały się opowieści ich dziadków o czasach okupacji niemieckiej w Polsce.

Zbliżał się koniec naszego pobytu w Ummanz. Kilka dni przed l0. września niespodziewanie zjawił się inżynier K. z Lublina. Adres uzyskał od mojej żony i postanowił nas odwiedzić przy okazji samochodowej wycieczki po NRD.

Przyjechał starą nieco odrapaną skodą, której zderzaki pociągnięte były wapnem. Miejscami ten „lakier" odpadł, odsłaniając zardzewiałą blachę. Inżyniera znałem od kilku lat jako zagorzałego automobilistę. O jego podróżach rachityczną skodą słyszałem wiele nieprawdopodobnych wprost opowieści. Rok wcześniej wraz z żoną i dwoma synami w szkolnym wieku udali się do Bułgarii. Na granicy z Czechosłowacją zatrzymali go żołnierze WOP polecając porządnie umyć samochód tj. karoserię, szyby i numer rejestracyjny. Rodzina wróciła do najbliższej wsi, gdzie dokonano tej „ablucji" natomiast zderzaki pomalowano wapnem. Tak odnowiony samochód przepuszczono przez granicę. Podróż przebiegała spokojnie, chociaż, jak skarżyła mi się jego żona, bardzo uwierała ją w plecy ławka ogrodowa, która pełniła funkcję dwóch przednich foteli! Mimo, iż była akuratnie przycięta.

Przed celem podróży, którym był Burgas, samochód odmówił posłuszeństwa. Pan K. parkuje blisko pola kukurydzy i z zepsutą częścią „okazją" – czyli samochodem życzliwego kierowcy, który raczył udzielić pomocy – udaje się na lotnisko, aby odlecieć do Polski po zużyty mechanizm samochodowy. Nie było go cztery dni. Rodzina w tym czasie wykorzystuje samochód jako sypialnię, gotuje kaczany kukurydzy na kuchence gazowej i posila się ziarnem tej rośliny zmieszanej z konserwą drobiową. Po powrocie kierowcy z Polski i zamontowaniu nowej części, rodzina rusza dalej, już bez uciążliwych przygód. Mając w pamięci to zdarzenie ostrożnie zajmuję miejsce obok kierowcy skody i ruszamy do Bergen na zakupy.

Wracając krętymi uliczkami do głównej szosy, słyszę ciągły ryk klaksonów z tyłu naszego samochodu, wychylam głowę przez okno i widzę stado trąbiących „mydelniczek" i ich kierowców zatykających nosy. Za naszym wozem kłębi się obłok spalin. Mówię o tym inżynierowi, ale ten wzrusza ramionami i dodaje gazu. W pewnym momencie samochód podskakuje na jakiejś dziurze i kierownica wychodzi na dobre 30 centymetrów z uchwytu. Inżynier zręcznym ruchem wpycha ją na właściwe miejsce i jedziemy dalej. Mnie blademu z wrażenia pan K. wyjaśnia, że to nic takiego. – Byłoby gorzej – mówi – gdyby puścił wał korbowy. Wówczas przebiłby on podłogę, właśnie w tym miejscu, w którym pan siedzi na ławeczce. Ale to nie powinno się zdarzyć, chociaż jest możliwe – dodał niedbale.

Pan K. zaproponował nam powrót do Lublina jego skodą. Odmówiliśmy.

Zakończenie praktyki odbyło się bardzo uroczyście. Wzięli w nim udział wszyscy studenci, brygadziści i kierownictwo VEG. Po obowiązkowych przemówieniach na stół wniesiono butelki z piwem i wódką, szklanki oraz kieliszki. Nic do jedzenia.

Ur Schnitzer, siedzący obok mnie, powiedział półgłosem, że u nich, jak się pije to się pije, a jak się je, to się je. Pomyślałem, że mamy szczęście i nie podano na zakąskę ulubione danie Niemców tj. galaretę z octem, której nawet mój pies Atos nie tknął, nie mówiąc o nas. Mieszanka piwa z wódką okazała się wprost zabójcza. Trzeba jednak przyznać, że niemiecka załoga upiła się szybciej niż studenci. W pewnym momencie Polacy wstali i zaczęli śpiewać „Rotę". Zdrętwiałem. Melodia bardzo się gospodarzom podobała, bo też wstali i próbowali śpiewać, bardzo jednak fałszując. Dr Schnitzer, który znał polski, siedział spokojnie, gdyż studenci odśpiewali tylko jedną, bezpieczną zwrotkę. Po śpiewie i okrzykach „Freundschaft" wpadłem na pomysł, by zażądać od dyrektora Lange przekazania Polsce Rugii. Zgodził się chętnie i drżącą z wysiłku ręką podpisał zobowiązanie, którego tekst na kartce wręczonej mi przez dra Szymonę, napisałem. Dokument ów wręczyłem po powrocie do Lublina Jego Magnificencji Rektorowi Januszowi Welepcie z prośbą o nadanie urzędowego biegu. Rektor znany z poczucia humoru prosił mnie, bym w przypadku, gdy udam się do Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, przywiózł podobny dokument zwracający nam Wilno, jego rodzinne miasto. Z ręką na sercu obiecałem to Jego Magnificencji.

Do Lublina wróciliśmy mercedesem dra Szymony. Auto, po dwóch dniach, zostało na oczach właściciela skradzione. Milicja Obywatelska proponowała doktorowi, by udał się do złodziei samochodów i mercedesa wykupił. Adresy tych „przedsiębiorców" doktorowi udostępniono na piśmie. Niestety, samochód się nie odnalazł.

Czesław Michałowski

Michał
Antoni
Frankowski

Patron Lublina

Św. Antoni Padewski, od wieków uznawany jest przez mieszkańców Lublina za patrona miasta. To także patron dzieci, górników, panien, małżeństw, narzeczonych, położnic, ubogich, podróżnych, ludzi i rzeczy zaginionych.

Posiadał również niezwykły dar przemawiania, jego kazania gromadziły setki – a ponoć i tysiące wiernych słuchaczy – ale zdarzyło się, że przemawiał do ryb, bowiem gburowaci mieszkańcy pewnej nadmorskiej wioski, rybacy z dziada pradziada, zlekceważyli płomienne słowa zakonnika w habicie franciszkańskim. Opowieść usłyszałem w dzieciństwie, poruszyła mnie, święty Antoni przemawiający do ryb jeszcze dzisiaj pojawia się w moich snach. Parę lat temu w lubelskim muzeum obejrzałem obraz Antoniego Michalaka „Kazanie do ryb" namalowany w roku 1935 i odniosłem wrażenie, że znakomity artysta namalował mój sen.

Dodam jeszcze, że nauczał na uniwersytetach w Montpellier i Tuluzie, uwolnił Asyż z rąk lichwiarzy zaś okolicę od bandy rabusiów. Wzrostu był imponującego a i wagi również, posiadał dar uzdrowienia a nawet wskrzeszania umarłych, dar bilokacji, proroctwa, czytania w ludzkich sumieniach. Żył krótko, bo 36 lat, z maksym, których był autorem, przytoczę jedną „Życie to chwila, szkoda ją przegapić".

Odkąd sięgam pamięcią w dniu odpustów polskie świątynie opasywane są barwnymi kramikami, których właściciele – drobni handlarze – oferują tubylcom oraz pielgrzymom blaszane i papierowe świecidełka, gipsowe figurki i obrazki świętych. Sprzedają również maleńkie, ołowianie czy też cynowe figurki świętego Antoniego, w prościutkich, plastikowych pudełeczkach. Na odpuście w Ożarowie, na który swego czasu trafiłem z moim arabskim przyjacielem Hatifem Janabi, kupiłem dwie figurki, dla mnie i dla niego. I przypomniałem wierszyk, którego nauczyła mnie babcia Helena:

Święty Antoni Padewski,
Pocieszycielu Niebieski
Niech się spełni wola Twoja
niech się znajdzie zguba moja!

Jakiś czas temu otrzymałem list, w którym Hatif zapewnia, że święty Antoni także Arabom nie odmawia pomocy.

PS

Św. Antoni z Padwy (1195–1231) jest czczony w lubelskiej parafii przy ul. Bernardyńskiej – tam znajduje się obraz z XVII wieku z wizerunkiem świętego oraz przechowywane są jego relikwie. Na wielu obrazach, jak na tym widniejącym na Bramie Krakowskiej, od strony Starego Miasta, przedstawiany jest z białą lilią w ręku. Dnia 8 maja 1664 r. w Radecznicy na wzgórzu zwanym Łysą Górą rozpoczęły się objawienia, jedyne na świecie udokumentowane i potwierdzone. Święty w swych objawieniach nakazał zbudowanie na wzgórzu świątyni oraz poświęcił okoliczne źródło. ■

Ks. Edward Walewander

Miłośnik Polonii, historyk i dziennikarz wierny *humanitas*

– Zbigniew Andrzej Judycki (1948–2023)

W środę 25 stycznia 2023 roku w Warszawie zmarł prof. honorowy Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach dr hab. Zbigniew Andrzej Judycki, miłośnik Polonii, jej biograf oraz promotor, dziennikarz, publicysta i historyk.

Prof. dr hab. Zbigniew Andrzej Judycki prawie całe swoje życie zawodowe poświęcił pracy dla Polonii i Polaków w świecie. Był autorem, współautorem i wydawcą kilkudziesięciu publikacji książkowych i wielu artykułów o tematyce polonijnej, szczególnie o charakterze biograficznym i słownikowym. Jego prace są w jakimś sensie spełnieniem postulatu, jaki w połowie XIX w. sformułował Joachim Lelewel: „Aby Polonię poznać w całej jej rozciągłości, nie we własnym jedynie jej obrębie, ale po obcych też krajach, po całej kuli ziemskiej szukać wypada, nie zaniedbując wspomnień, zasług, jakie gdzie, w jakim kraju położyli”[1]. Publikacje autorskie i te powstałe z inspiracji Zbigniewa Judyckiego to gruntowna dokumentacja dokonań Polaków i osób polskiego pochodzenia na całym świecie.

Profesorowi Judyckiemu bliskie były też słowa Bolesława Prusa z końca 1909 r.: „Po całej kuli ziemskiej rozsypali się bracia nasi, Polacy. Spotkać ich można w Moskwie i Berlinie, w Irkucku i Nowym Jorku, nad Renem i Amurem, nie mówiąc o takich […] okolicach, jak: Wołyń, Podole, Ukraina i Litwa. Wszyscy oni tę posiadają wspólność wobec naszego serca i pamięci, że – prawie ich nie znamy, bardzo niewiele o nich wiemy i nader mało interesujemy się nimi. Syto im czy głodno, zimno czy gorąco, żyją i rozwijają się czy też giną bez ratunku – nas to nie obchodzi, zapewne dlatego, że i oni nie zwracają się do nas. A jednak – może i nieźle byłoby nie tylko od czasu do czasu usłyszeć coś od nich, ale – utrzymywać z nimi ciągle zetknięcie i starać się, ażeby między nami i nimi wytworzył się duchowy prąd myśli i uczuć. My przypominalibyśmy im daleką ojczyznę, za którą każdy Polak tęskni, oni opowiadaliby nam o krajach, ludach i stosunkach, wśród których żyją; my ogrzewalibyśmy ich, oni wzbogacaliby naszą wiedzę. Znajomość obcych ludów jest źródłem bodaj czy nie największej mądrości praktycznej”[2] . Słowa Bolesława Prusa z początku XX stulecia są i dzisiaj dla wielu badaczy hasłem twórczym. Zachęta do tego tkwi poza tym chyba też w inspirującej działalności Zbigniewa Andrzeja Judyckiego.

Podczas wieloletniego pobytu na emigracji we Francji Zbigniew Andrzej Judycki był jednym ze współzałożycieli Institut de Recherches Biographique (Instytutu Badań Biograficznych) we francuskim Vaudricourt. Zasłynął też jako inicjator i współzałożyciel w 1994 roku Polskiego Stowarzyszenia Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie (Association Polonaise des Auteurs, Journalistes et Traducteurs en Europe – A.P.A.J.T.E.), mającego siedzibę w Paryżu, a także inicjatorem i organizatorem międzynarodowych sympozjów biografistyki polonijnej, organizowanych w wielu europejskich miastach, m.in. w Brukseli, Rzymie i w Wiedniu.

Był laureatem wielu prestiżowych nagród i wyróżnień za działania na rzecz Polonii. Otrzymał m.in. Nagrodę Polonijną im. Skowyrów, przyznaną w 1995 r. przez

1 J. Lelewel, *Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. 1, Poznań 1858, s. 586. Por. też, *Polacy w cywilizacjach zagranicznych*, Warszawa 1934, passim; J. Ciechanowicz, *Twórcy cudzego światła*, Toronto–Wilno 1996, passim.

2 *Notatki wołyńskie,* „Tygodnik Ilustrowany”, nr 49 z 3 XII 1909.

Instytut Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego[3].

Poza wszystkim prof. dr hab. Zbigniew Andrzej Judycki zainicjował i wydawał serię Polacy w świecie. *Kwartalnik biograficzny Polonii*. Dotychczas ukazało się kilkanaście tomów tej cennej publikacji. Każdy z nich przynosi ogromną ilość wiadomości o ludziach zasłużonych tak w kołach emigracyjnych, jak i w Kraju. Dzieło to wyraźnie różni się od najczęściej spotykanych słowników biograficznych, w których hasła dobiera się według przyjętego kryterium, np. geograficznego, zawodowego itd. Trudno pewnie porównywać dzieło Zbigniew Andrzeja Judyckiego z *Polskim Słownikiem Biograficznym* (PSB), który stara się objąć wszystkie osobistości mające znaczący udział w życiu publicznym czy naukowym, *Kwartalnik biograficzny Polonii* nie ma pewnie aż takich ambicji, PSB jednak uwzględnia tylko osoby już nieżyjące, tymczasem dzieło zainspirowane i wydawane przez Zbigniewa Andrzeja Judyckiego, i to jest jego wyróżnik, zamieszcza biogramy tak nieżyjących, jak i wciąż żyjących osób. Inna cecha omawianego przedsięwzięcia wydawniczego polega na szerokiej reprezentatywności chronologicznej. Spotyka się tu życiorysy osób zarówno urodzonych jeszcze w XIX wieku, jak też w wieku XX i współcześnie. Ważne jest, że w tej tak znacznej przestrzeni czasowej mieszczą się ludzie, którzy afirmują swoją polską przynależność etniczną.

Już na pierwszy rzut oka widać, że *Kwartalnik biograficzny Polonii* jest wydawany nader starannie. Dużą rolę odrywają w nim fotografie, wprowadzane dziś coraz częściej do innych tego typu publikacji. Zaletą jest dołączany do kolejnego woluminu alfabetyczny spis haseł osobowych poprzednich tomów.

O wartości dzieła decyduje też jego nadzwyczajny pietyzm, z jakim traktuje się w nim osobę ludzką, co można by nazwać starożytnym mianem *humanitas*. Owa *humanitas*, obecna też w innych, tak licznych publikacjach Zbigniewa Andrzeja Judyckiego jako autora bądź redaktora, drukowanych zarówno w prasie emigracyjnej, jak i w krajowej, godna jest szczególnego podkreślenia. Oprócz tego w serii wydawniczej *Polacy w świecie* uzyskujemy bogaty materiał ilustrujący dokonania naszych rodaków na całym globie, a o tym pisze się niestety na ogół niezwykle mało. Często o wielu wybitnych Polakach nie mamy jakiejkolwiek wzmianki.

Kwartalnik biograficzny Polonii jest niewątpliwie dziełem w pełni oryginalnym i w miarę ukazywania się kolejnych tomów zyskiwał sobie coraz większe uznanie jako liczące się kompendium wiedzy o światowej Polonii.

Skonfrontowanie *Kwartalnika biograficznego Polonii* z rzeczywistością emigracyjną nasuwa szereg wniosków, m.in. i ten, że jego autor wraz z zespołem i wydawcą nie waha się wydobywać na światło dzienne sylwetki osób mniej znanych lub zgoła nieznanych, a jednak w małych środowiskach polskich i polonijnych, które są często bastionami tradycji polskiej, owi ludzie odgrywają niezwykle doniosłą rolę. Warci są więc z pewnością uwiecznienia.

W słowie *Od redakcji* do tomu poświęconego polskim profesorom na wyższych uczelniach w Austrii, Niemczech i Szwajcarii czytamy: „Autorami tekstów są zarówno pracownicy nauki, głównie historycy, jak i osoby nie zajmujące się zawodowo biografistyką, a zafascynowane naukowymi dokonaniami polskich profesorów na uczelniach w Austrii, Niemczech i Szwajcarii. Łączy ich przekonanie o potrzebie ocalenia przed zapomnieniem tych ludzi, którzy na przestrzeni wieków zaznaczyli swoją obecność i wkład w naukę krajów osiedlenia”[4].

Teksty publikowane w *Kwartalniku biograficznym Polonii* nierzadko dostrzegalnie różnią się sposobem podejścia do prezentowanego opisu biograficznego. Klasyczne biograficzne artykuły naukowe, poparte zapleczem źródłowym, sąsiadują – można powiedzieć – w najlepszym razie z popularnonaukowymi. Beznamiętny styl uczonego wykładu koegzystuje z niepozbawioną emocji publicystyką. Tym samym całość, przy zachowaniu koniecznej rzetelności badawczej, podczas lektury nie wywołuje poczucia monotonii i nie nuży.

I na koniec pewien odważny postulat, nie wiem, czy wykonalny. Ta seria powinna ukazywać się systematycznie także w języku angielskim. Przede wszystkim dlatego, że w świecie coraz bardziej narastają kontrowersje wokół Polski, Polaków, ich przeszłości, kultury i są to głosy najczęściej dla nas negatywne. Jedynie konkretne stawianie przed oczy postaci twórczych w naszych dziejach i współczesności, i to w bardziej czytelnej dla większości świata, bo anglosaskiej szacie językowej, może zadać kłam tej dziwnej a wrogiej propagandzie. A jak dotąd nie widać w naszej literaturze lepszego materiału, który w tym celu można by zużytkować niż prezentowana tu seria publikacji. ■

3 E. Walewander, *Człowiek i książka*, Lublin 2020, s. 39-41.

4 *Ex cathedra. Polscy profesorowie na wyższych uczelniach w Austrii, Niemczech i Szwajcarii*, red. J. Gmitruk [i in.], Warszawa-Wiedeń 2022, s. 9.

Ks. Edward Walewander

Agonia diecezji łuckiej

Maria Dębowska, *Wołyń 1943. Dezorganizacja i zagłada parafii katolickich. W 80 rocznicę męczeństwa Polaków*, Wydawnictwo Instytutu Teologicznego Księży Misjonarzy, Kraków 2023, ss. 250.

Jak wiadomo, w 1939 roku sowiecka Rosja i hitlerowskie Niemcy podały sobie ręce, dokonując ponownego (po tych wcześniejszych, osiemnastowiecznych) rozbioru Polski. Okazało się później, że Prusy miały to przypłacić zniknięciem z mapy Europy po blisko 250 latach, odkąd najazdem, rabunkiem, gwałtem na podbitej ludności zaczęli budować swoją hegemonię najpierw w krajach niemieckich, a potem w Europie. Rosja już wcześniej z carskiej niewoli dostała się w niewolę stokroć gorszą, bo komunistyczną, w czasie II wojny światowej i po 1945 roku znacznie wzmożoną, a nie ma nic gorszego w świecie jak komunizm, uznający tylko gwałt i przemoc jako narzędzia osiągania swoich celów i niewolenia człowieka.

Diecezja łucka (łac. Dioecesis Luceoriensis, ukr. Луцька дієцезія) na Wołyniu, erygowana ok. 1404 roku z inicjatywy wielkiego księcia litewskiego Witolda, w Polsce niepodległej (po 1918 roku) odbudowywała się po odłączeniu jej od żytomierskiej (z którą została połączona w 1798 roku i jako diecezja łucko-żytomierska podlegała metropolii mohylowskiej), a formalnie restytuowaniu w 1925 roku bullą *Vixdum Poloniae unitas* papieża Piusa XI i poddaniu metropolii lwowskiej. Od tegoż roku władał nią biskup Adolf Piotr Szelążek. Diecezja była terytorialnie olbrzymia (ok. 38 000 km^2). Polska ludność na jej terytorium stanowiła zaledwie 16%, co równało się zarazem liczbie katolików. W chwili objęcia diecezji przez biskupa Szelążka parafii było niecałe 100, a w chwili wybuchu wojny 169, nie licząc licznych kaplic jako miejsc kultu sprawowanego przez katolików w miejscowościach bardziej oddalonych od kościoła parafialnego (przeciętnie odległość od kościoła wynosiła na terenie tej diecezji ok. 20 km). Ponadto było kilkadziesiąt parafii w fazie powstawania. W niepodległej Polsce podwoiła się w diecezji łuckiej liczba kapłanów. Kościół w diecezji łuckiej był jednak bardzo biedny. Prowizoryczne kaplice były bardzo prymitywne, a w zimie często wręcz nie nadawały się do użytkowania. Jako plebanie często służyły zwykłe wiejskie chaty. Praca kapłanów wymagała więc ogromnego samozaparcia. Na plus można zapisać fakt, że do wybuchu wojny stanowiące znakomitą większość otoczenie ukraińsko-żydowskie i prawosławne nie było nazbyt uciążliwe dla mniejszości katolickiej i polskiej. Radykalną zmianę przyniosły kolejno okupacje sowiecka od 1939 i niemiecka od 1941 roku, a następnie aneksja sowiecka w 1944 roku.

Literatura na temat Wołynia i tamtejszego Kościoła jest spora, ale nie wszystkie wątki, zwłaszcza kościelne, są dostatecznie przebadane i opisane. Dlatego też z radością należy powitać książkę dr hab. Marii Dębowskiej, zatytułowaną *Wołyń 1943. Dezorganizacja i zagłada parafii katolickich. W 80 rocznicę męczeństwa Polaków*[1] , jako znakomity wkład w dzieje diecezji łuckiej, a także samego Wołynia, formalnie rzecz biorąc, w czasach wojny aż do faktycznej agonii diecezji w latach 1943-45, aczkolwiek w rzeczywistości w książce mamy też sporo retrospekcji. Najcenniejszym jej osiągnięciem są liczne i często bardzo wyczerpujące informacje o duchowieństwie, w tym także o działalności samego biskupa Szelążka jako ordynariusza i całej kurii łuckiej, pracy utrudnionej warunkami

1 Maria Dębowska, *Wołyń 1943. Dezorganizacja i zagłada parafii katolickich. W 80 rocznicę męczeństwa Polaków.* Wydawnictwo Instytutu Teologicznego Księży Misjonarzy, Kraków 2023, ss. 250. Dostępna jest również internetowa wersja elektroniczna (PDF) pod adresem http://www.mariadebowska.pl/images/ksiazki/ debowska_wolyn43.pdf, czyli na oficjalnej stronie Autorki (http://www.mariadebowska.pl). Tam również możliwość zapoznania się (niekiedy w pełnych wersjach) z innymi publikacjami Autorki, związanej naukowo i przez pewien czas zawodowo z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim Jana Pawła II (doktorat *Akcja społeczna w archidiecezji lwowskiej za rządów arcybiskupa Józefa Bilczewskiego* w 1991 roku na Wydziale Teologii, habilitacja *Kościół katolicki na Wołyniu w warunkach okupacji 1939–1945* w 2009 roku na Wydziale Nauk Humanistycznych KUL). Jest emerytowanym pracownikiem Ośrodka Archiwów Bibliotek i Muzeów Kościelnych (zob. https://www.kul.pl/o-osrodku,11315.html oraz https://www.kul.pl/ pracownicy,11317.html).

stwarzanymi przez okupanta i brakiem łączności między parafiami a stolicą biskupią w Łucku. Bezdroża, nieliczne połączenia kolejowe i prawie całkowity brak jakichkolwiek innych nowocześniejszych jego form skazywały księży na korzystanie z furmanek, co było i kosztowne, i niebezpieczne.

Chcąc krótko sprawę podsumować, można powiedzieć, że książka jest narracją o bohaterstwie, zwłaszcza kapłanów, z których większość do ostatka trwała na stanowisku, mając świadomość grożącej im w każdej chwili okrutnej śmierci. Taką śmiercią zginęło w diecezji łuckiej 20 kapłanów diecezjalnych i zakonnych. Wielu musiało nieustannie się przemieszczać, by obsługiwać osierocone parafie lub uchodzić przed zagrożeniem. Książka dr hab. Marii Dębowskiej to relacja odsłaniająca bestialstwo zarówno Niemców, jak też Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), a często po prostu niepolskich sąsiadów. Jest to pomnik wystawiony męczeństwu, świadectwo zagłady nie tylko Kościoła polskiego – Autorka wylicza 102 parafie, które po prostu przestały istnieć do 1943 r. – a powód był jeden: polską i katolicką ludność albo wymordowano, albo zmuszono do opuszczenia miejsc zamieszkania.

Jak wspomniano, Autorka niezwykle szczegółowo śledzi los kapłanów, w wielu miejscach koryguje dotychczasowe ustalenia innych badaczy, po mistrzowsku wiąże bardzo licznie cytowane źródła – głównie sprawozdania o stanie parafii i dekanatów słane do kurii w Łucku – ze swoim tekstem, co daje plastyczny obraz rzeczywistości i nastrojów, zwłaszcza panujących wśród księży. W dodatku książka jest napisana dobrą polszczyzną – obecnie rzecz nie tak częsta – i w pełni czytelna także dla nie-historyka. Tok autorskiej narracji odsłania krok po kroku destrukcję diecezji i zagładę polskich katolików, którzy choć w tak małej liczbie, służyli tej ziemi, która była ojczyzną nie tylko dla Ukraińców, ale także dla nich. Ojczyzną okupioną wielkim trudem, a nierzadko także krwią.

Z książki o dezorganizacji i zagładzie parafii katolickich diecezji łuckiej, oprócz setek nazwisk, obrazów i wymownych scen, wyziera niestety przekonanie o jakiejś fatalnej nieuchronności. Przypomina i z bólem ilustruje, jak Nemezis historii sunęła przez Wołyń, pochłaniając kościoły i cmentarze, dwory i chaty, wielu ludzi mordując albo w najlepszym razie zsyłając na poniewierkę, a innych pozbawiając pamięci i języka.

Można rzec, że Autorka ocaliła od niepamięci nie tylko ofiarny trud kapłanów i wiernych, ale przywołała ważny fragment historii – powtarzającego się niestety bestialstwa, i to częściowo na terenie, o którym pisze. Jest więc ta książka także ważnym *memento*, stąd jej szczególna i nadzwyczajna wartość. ■

Ks. Zygmunt Zieliński

Mała Ojczyzna w pięknym obrazie

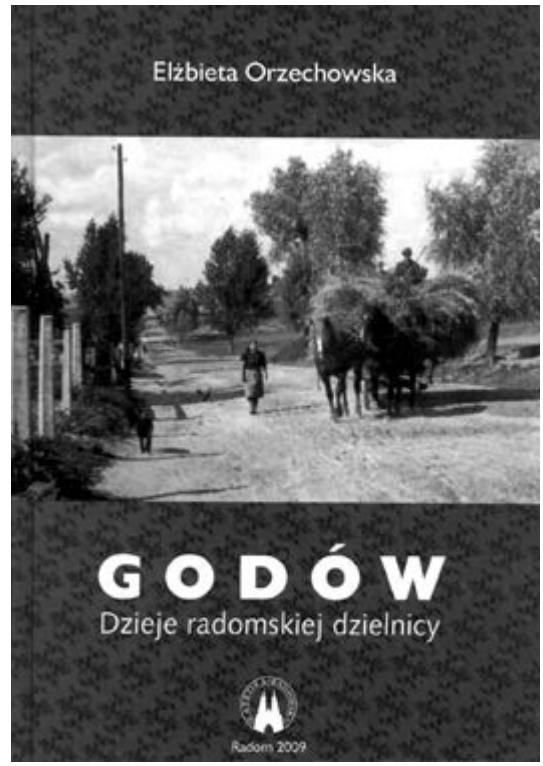

Elżbieta Orzechowska, *Gdów. Dzieje radomskiej dzielnicy*, Radom 2022

Monografia historyczna wnosząca poważny wkład w historiografię polską czy powszechną ma szansę na ogół na jedno wydanie w niewielkim nakładzie. Drugie wydanie to już ewenement rzadki i uzasadniony jakimiś szczególnymi okolicznościami. Nie chcę w żaden sposób umniejszać znaczenia miejscowości, której dr Orzechowska poświęciła tak wiele pracy, tym bardziej, że chodzi o gniazdo, z którego wyszła, a właściwie trzeba by powiedzieć, że w nim jakoś trwa, choć samego gniazda już nie ma, gdyż wchłonęło je miasto, który to los spotkał sporo wiosek i foluszy, i tak dzieje się teraz o wiele częściej niż w czasach, kiedy kończył się Godów, nobilitowany jako dzielnica Radomia. Czy rzeczywiście nobilitowany, to inna sprawa, ale że zaczynał nowe życie i to z kolei miało ogromny wpływ na narrację książki, temu zaprzeczyć nie można. Ale wróćmy do kolejnych edycji dzieła Elżbiety Orzechowskiej, co zapewne nie nastąpiłoby, gdyby miast lokalnej sagi wzięła się za jakąś tematykę problemową.

I tu jest miejsce na pytanie co to takiego w tym Godowie zasługiwało na tak znaczny trud podjęty przez

autorkę? Odpowiedź jest może zaskakująca, ale jedynie sensowna: wszystko. Tak, wszystko, bo regionalista, ogarnia pozostałości po sobie samym, a czyni tak, nie tylko idąc własnym śladem, ale także po śladach tych, których zamyka w sercu i w pamięci.

Pozostawmy na boku emocje, towarzyszące autorce, bo łatwo tu pobłądzić i pozostańmy przy samym obrazie jaki stworzyła. Pięknym obrazie, jak to w tytule zaznaczono. I przywołującym ludzi, czasy, zdarzenia, które już minęły, a nawet przeminęłyby bez echa, gdyby właśnie nie zostały przywołane w omawianej książce.

Liczy ona 4 rozdziały, w tym rozdział o cmentarzu ewangelickim, zatem 3 rozdziały poświęcone są samej miejscowości, a jeden mieszkańcom i to tylko w czasie II wojny światowej. Myliłby się jednak każdy, kto poprzestałby na spisie treści, bo autorka, dzieląc swe dzieło w pewnym sensie mechanicznie, chciała pozostawać wierna tytułowi książki, jednoznacznie uwypuklając dzieje Godowa.

To, że przy takiej konstrukcji tekstu na każdym kroku do głosu dochodzą Godowianie świadczy tylko o jednym. Otóż obszar, niech to będzie moloch miejski czy mała wioszczyna, wypełniają ludzie. Ich dziełem są owe *res gestae*, które z kolei wypełniają historię. Dlatego jest ona tak ciekawa, dlatego książka E. Orzechowskiej, coraz bogatsza, ukazuje się już po raz trzeci.

Godów miał zapewne wiele osobliwości, ale jedna, choć charakteryzująca wiele polskich miejscowości w owych czasach, zasługuje na uwagę, zwłaszcza w kontekście politycznym i społecznym części XIX wieku i do połowy XX wieku. Była to swoista kolonizacja niemiecka o charakterze zdawać by się mogło czysto ekonomicznym, ale mająca w zapleczu takie pojęcia, jak *Drang nach Osten* – odwieczne hasło Wielkich Niemiec, dziś przechrzczone na pojęcie *Deutsches Siedlungsgebiet*. Takim terenem osiedleńczym było szczególnie Królestwo Polskie i Galicja. Ludność w masie swej protestancka, należąca jednak nie do nacjonalistycznego Kościoła Unii Staropruskiej, lecz do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, mającego na terenach polskich charakter polski. Tacy protestanci zamieszkiwali właśnie Godów. Polonizacja była tu sporadyczna, podczas gdy wśród katolików Niemców wręcz masowa. Autorka widzi Niemców po prostu jako część populacji Godowa, o tyle różną, że protestancką, ale nie na tyle, by Niemcy stanowili tu element całkowicie obcy. Wszak Kościół Ewangelicko-Augsburski gromadził także polskich ewangelików, a jak to widać na przykładzie pastora Juliusza Burschego zamordowanego w 1942 przez gestapo, niektórzy z nich dochowali wierności Polsce, niekoniecznie decydując się z tego względu na odmowę podpisania volkslisty, ale jak piekarz, Szymon Klauzer, nie wyobcowywali się ze społeczności polskiej, w którą przez pokolenia wrastali. W książce można wyczytać zróżnicowanie postaw miejscowych Niemców. Oczywiście autorka śledzi je, nie szukając genezy tego zjawiska, a może się ona okazać skomplikowana i generować większe przedziały w samej społeczności niemieckiej niż te, które oddzielały Niemców od lokalnej ludności polskiej. Wszystko zależy od tego, jak na tym terenie przed wojną działały niemieckie wpływy z Rzeszy, m.in. powstała w 1920 roku Fundacja Niemiecka – Deutsche Stiftung, której głównym zadaniem było zbieranie informacji o życiu politycznym, społecznym i gospodarczym mniejszości niemieckich. Finansowała różne przedsięwzięcia mające na celu utrzymanie żywotności organizacji niemieckich i ich związków z Rzeszą. Deutsche Stifitung działała pod przykrywką celów kulturalnych, ale nazistowska Jungdeutsche Partei przygotowywała Niemców w Polsce do realizacji irredenty.

Jest wykluczone, by tak silna presja mająca podporządkować mniejszość niemiecką w Polsce miała ominąć Godów, tym bardziej, że na terenie dawnej Kongresówki hasło nazistowskie: *kein Tropfen deutsches Blut darf verloren gehenn* miało szczególną wymowę. To z kolei nakazywało wymazywanie pozostałości polonizacji tamtejszych Niemców.

Elżbieta Orzechowska skupiła się głównie na ludziach, co było tym bardziej oczywiste w jej pracy, że byli to często jej ziomkowie rodzina, bliscy. Oni to poprzez jej pamięć ożywioną kwerendą ustną przemawiają z kartek książki, a ożywia tę gawędę ogromna i technicznie wręcz doskonała ikonografia. Książka w ten sposób ociera się o edycję albumową. Dlatego jest w niej coś żywego. Tak, jak gdyby nagle zgłosili się do głosu i ożyli na fotografiach ci, którzy już zdążyli wybyć z pamięci najmłodszych pokoleń, a oto nagle ożyli. Tak więc otrzymaliśmy plastyczny wykład na temat związku i sekwencji pokoleń. Także poprzez cmentarze. Niemiecko-ewangelickim poświęcono najwięcej miejsca, gdyż to one, zdewastowane bynajmniej nie jako wyraz barbarzyństwa, ale wskutek zerwania więzi między tymi którzy odeszli do wieczności i tymi, których wygnała zawierucha wojenna. A cmentarze żyją tymi, dla których są naturalną ojczyzną.

Książka Elżbiety Orzechowskiej zasługuje na wnikliwszą analizę. Jest ona antidotum na pustoszoną dzisiaj świadomość wielu „europejczyków", nie wiedzących już skąd ich ród, dlatego tak żałośnie gubią swe korzenie. Każdy, kto sięgnie po omawiane dzieło będzie musiał przypomnieć sobie także słowo „tożsamość". Niech ona będzie godowska, czy jakakolwiek inna, byle by była. ■

Jadwiga Mizińska

Serdeczna niewola

Łesia Stepowyczka, *Serce w niewoli. Poezje, poetyckie echa*, przekład z ukraińskiego Tadeusz Karabowicz, Wydawnictwo „Narracje", Lublin 2022

Trzeba wielkiej odwagi, wręcz heroizmu, by w obecnym czasie, gdzie króluje feminizm, publicznie przyznać się do bycia w niewoli. Jednym z haseł głoszonych w cywilizowanym świecie jest wolność i wyzwolenie. Zwłaszcza „wyzwolenie kobiet".

Czym jest wolność? To nadużywane słowo wywodzi się od „woli", ale to jedynie skrót od „wolnej woli". Dopiero wolna wola, przywilej Stwórcy człowieka, może być swobodna. Mimo to – ograniczona przez wolę dobra. W przeciwnym wypadku popada w samowolę. W wewnętrzną anarchię.

Prawo do wolności nie jest prawem najwyższym. Nad nim rozpościera się Prawo do Miłości. Parasol nad wolnością. Wolność bez miłości oznacza samotność. W imię miłości ludzie nakładają sami sobie różne więzi. Szczególnie – więzi serca. Obcowanie z Innym, jest jego oswajaniem. Tak, jak w *Małym Księciu*, chłopczyk na pustyni, na widok lisa, który mu proponuje przyjaźń, stawia warunek, by się z nim zbyt nie zbliżał, aby cierpliwie wytrwał aż się do siebie przyzwyczają. Przyzwyczajenie – to „druga natura". Żeby do niej dotrzeć, należy „zjeść beczkę soli". Wypróbować jej smak, polubić nie tylko sól, ale również gorycz. Inaczej dostaniemy mdłości.

Poezja Łesi Stepowyczki jest apoteozą namiętności. Mało kto dziś używa tej kategorii, na ogół poeci poprzestają na opiewaniu zwykłej miłości. Czyli uczucia zmysłowego i erotycznego. Wystarczy drobny podmuch wiatru, żeby się ono rozwiało i zamieniło się w swoje przeciwieństwo; rozgoryczenie, rozczarowanie, w zazdrość, a nawet w nienawiść.

Dlatego warto powracać do prozaicznego Kartezjusza, który napisał dzieło *Namiętności duszy*. Chociaż stworzył pochwałę racjonalizmu, w postaci *Ego Cogito*, nie stronił od silnych namiętności. Nie uwzględniał jakichś „emocji", z poziomu dżdżownicy.

Wiersze Łesi Stepowyczki, mogły by się komuś wydać czymś anachronicznym. Brak w nich banalnych emocji o podłożu instynktownym. W zamian panują w nich dwie królowe: Serce i Dusza. Ich panowanie nie przysparza ani zadowolenia, ani szczęścia. Ich imiona – cierpienie, boleść, żałość i samotność:

To boli

Boli patrzenie
Jak czyste przezroczyste jezioro
dziczeje, opłakuje.
zamula się przez gęstą rzesę zapomnienia,
zamienia się w bagno
jako solowa melodia słowika
zostaje zastąpiona chórem żaby,
wcześniej słowik śpiewał, jak powinnam żyć,
a teraz wszędzie słychać obrzydliwe rechoty żab
o chińskich wirusach i jego uniwersalnych
konsekwencjach.

Puenta poetki brzmi:

Boli odczuwanie,
jak wiązka stepowych rumianków i aksamitek
w oczach usycha, blaknie, wietrzeje,
kruszy się w pył.
Samotność boli,
wśród niekończącej się ludzkiej pustyni
pod palącym słońcem
z wyciągniętymi rękami,
w których kiedyś szalały radosne kwiaty…

Jakkolwiek poetka uskarża się na bóle i cierpienia, na nostalgię i samotność, ostatecznie wybiera... namiętności!

Namiętnie przytuliłam Słońce
zanurzona

w żarze ognistych wzniesień
i spaliłam się w jednej chwili.
Spłonęłam
z intymności i nadmiernego szczęścia…
Moje delikatne Słońce zabija…

Gdyby można było porównać Łesię Stepowyczkę do jej polskich sąsiadek, od razu przypomina się nam Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Obydwie wspaniałe poetki – to wielbicielki gorących i żarliwych namiętności, gotowych poświęcić wszystko nawet bez wzajemności. Rzec można – miłośnice Miłości.

Na tle powszechnej niemiłości i obojętności, wyrachowanych pseudouczuć, niechęci do „kobiecych mężczyzn" jakoby ich konkurentów, obydwie poetki stoją w opozycji. Opowiadają się za brakiem dystansu na rzecz przebaczenia. Również dla ich „oprawców";

Wszyscy prosili przebaczenia
Dobre dusze, które nie czyniły zła.
Małe dzieci bawiące się na modlitwie,
szczerzy druhowie,
chociaż nie wiedzieli za co przepraszać,
bo nie mieli i cienia winy.
„Bóg ci wybaczy
i ja ci wybaczam" –
Mówili do siebie trzy razy.

I tylko ten słodki panek
wielomówny, pochlebny facet,
co sprawił najwięcej bólu,
który zdradził najbardziej i chłodno,
milczał uparcie.

Namiętności duszy – wymagają w i e l k o d u s z n o ś c i… ich brak to m a ł o d u s z n o ś ć. Zwężenie i choroba Serca.

W imieniu wszystkich „pochlebnych facetów", razem z Łesią im wybaczamy. Albowiem „nie wiedzą, co czynią"… ■

Ks. Edward Walewander

Nasz teatr

Elżbieta Stoch, *Teatr Miejski w Lublinie (1944–1949). Źródła – nieznane fakty – repertuar – recepcja krytyczna*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2022, ss. 744.

Teatr to temat ważny w kulturze i nader popularny. Od starożytności do dzisiaj nie traci na znaczeniu w każdym czasie. Także po drugiej wojnie światowej, kiedy w Polsce zaczęła się kształtować nowa rzeczywistość społeczno-polityczna, teatr musiał znaleźć swoje miejsce, w tym oczywiście w Lublinie, mieście jakże ważnym politycznie w tym czasie. Ten gorący okres w dziejach teatru lubelskiego, jednego z najstarszych w Polsce, obejmujący lata 1944–1949, stał się tematem recenzowanej książki.

Książka, pod jakże konkretnym i ściśle sformułowanym tytułem *Teatr Miejski w Lublinie (1944–1949). Źródła – nieznane fakty – repertuar – recepcja krytyczna*, jest dziełem dość trudnym do oceny. I to nawet gdyby ktoś do cna kompetentny, a przy tym uparty, zdobył się na dokładną i weryfikującą lekturę tego potężnego tomu (744 strony!). Nie w tym wszelako rzecz, by szukać w nim jakichś potknięć, braków czy niekonsekwencji. W dziele zawierającym taki ogrom szczegółowych informacji o to zresztą nietrudno. Nie to jednak winno stanowić kryterium osądu tej niezwykłej książki.

Przede wszystkim trzeba by pewnie sięgnąć po jakieś publikacje tematycznie pokrewne, by uzyskać tzw. tertium comparationis. Chodzi więc o publikacje, zwłaszcza o charakterze wspomnieniowym, z szerokiej dziedziny określanej ogólnie jako lubliniana, bo ostatecznie do lublinianów należy zaliczyć prezentowane tu dzieło. Niektóre z takich pokrewnych lub podobnych prac wylicza zresztą sama autorka w swojej książce. Warto wszakże ów rejestr uzupełnić kilkoma innymi publikacjami, które jeszcze bardziej podkreślą szczególne znaczenie omawianej publikacji. →

Przywołać więc trzeba by, niezbyt może obszerne, wspomnienie Krystyny Modrzewskiej, żydowskiej autorki, zatytułowane wymownie *Trzy razy Lublin* (Lublin 1991), w którym opisuje ona ludzi i miasto nad Bystrzycą oraz swoje i narodu żydowskiego w nim zakorzenienie. Głęboko przeżyła fakt, że na skutek tzw. wypadków marcowych 1968 r. przyszło jej opuścić miasto nad Bystrzycą. Po latach w podsumowaniu swojego pamiętnika wyznała: „Musiałam podpisać dokument zrzeczenia się obywatelstwa polskiego i wpłacić pięć tysięcy złotych na koszta potwierdzenia, że przestałam być obywatelem swojego kraju. […] Opuściłam Lublin, aby nigdy już do niego nie powrócić".

Wiele miejsca Lublinowi i życiu kulturalnemu tego miasta poświęcił, aczkolwiek w latach nieco wcześniejszych, ks. Karol Dębiński, autor obszernego pamiętnika pt. *Z przeżytych chwil…* (Lublin 2021), obejmującego lata 1867–1915. Szczególnie dokładnie odmalował obraz życia miasta i jego mieszkańców w ostatnich latach przed wybuchem pierwszej wojny światowej (s. 467–586).

Intrygującą migawkę z życia teatralnego miasta w trudnym okresie końca okupacji niemieckiej i pojawiania się nowych władz przekazał adwokat lubelski Remigiusz Moszyński w swoim ciekawym pamiętniku zatytułowanym *Dziennik 1939–1945. Wojna i okupacja w Lublinie w oczach dorosłych i dzieci* (Lublin 2014, s. 474–477).

Recenzowane dzieło *Teatr Miejski w Lublinie (1944–1949). Źródła – nieznane fakty – repertuar – recepcja krytyczna* ukazuje drobiazgowo dzieje lubelskiego Teatru Miejskiego w tym – jakby nie patrzeć – przełomowym okresie. Dzięki swoim niekwestionowanym wartościom merytorycznym i warsztatowym wyraźnie i skrupulatnie dopełnia ono sowicie tak wspomniane powyżej, jak i inne lubliniana, zwłaszcza te traktujące o tematyce teatralnej.

Dzieło składa się z dwóch obszernych części, dla których cezurą jest rok 1947. Zostały one przy tym roztropnie podzielone na w sumie osiem nienumerowanych rozdziałów, a te na wiele już skrupulatnie numerowanych podrozdziałów (podpunktów), noszących osobne podtytuły, co zdecydowanie orientuje w obszernej zawartości i ułatwia korzystanie z niej. Część pierwsza (s. 31–386) została zatytułowana *Teatr Miejski w Lublinie (1944–1947)* i na podstawie źródeł z epoki daje obraz lubelskiego teatru w pierwszym okresie po przegnaniu okupanta niemieckiego z Lublina i okolic (1944) i ostatecznym zakończeniu wojny (1945). Prezentuje powojenną rekonstrukcję życia teatralnego miasta i omawia program artystyczny lubelskiego teatru. Ciekawy jest zwłaszcza podrozdział zatytułowany *Teatr, władza i cenzura* (s. 285–384). Krótko mówiąc, część pierwsza dzieła prezentuje kontekst historyczny lubelskiego teatru miejskiego w trzech pierwszych sezonach tuż po wojnie, na początku wręcz – jak pisze autorka – „w wojskowym uniformie". Dyrektorem Teatru Miejskiego w Lublinie był w tym czasie (1945–1947) Antoni Różycki.

Część druga książki nosi tytuł *Teatr Miejski w Lublinie za dyrekcji Maksymiliana Chmielarczyka (1947–1949)* i ukazuje rozwój i repertuar lubelskiego teatru w latach 1947/1948 oraz 1948/1949 (s. 387–599), a zwłaszcza starania obecnego w tytule tej części dyrektora Maksymiliana Chmielarczyka o objęcie lubelskiego Teatru Miejskiego mecenatem Państwa. Proces owego przeobrażenia prezentuje zwłaszcza ostatni rozdział tej części: *Od Teatru Miejskiego w Lublinie do teatru państwowego – fakty, procedury, dokumenty* (s. 553–599). Jak wiadomo, w 1949 r. lubelski Teatr Miejski został upaństwowiony i przybrał imię Juliusza Osterwy.

Omawiane dzieło zawiera fakty spisane z iście benedyktyńską dokładnością przede wszystkim po to, by nie zaginęła pamięć, żeby ocalał każdy ślad, nawet najdrobniejszy. Takie przekazy mają zaiste ogromną wartość. Służą nie tylko umacnianiu więzi pokoleń. Każdy człowiek łaknie wzorców, zwłaszcza człowiek młody, szukający potwierdzenia swoich dążeń i pragnień. Poszukując wzorców, sięga po postaci nie tylko głośnych bohaterów, ale bardziej może ludzi z najbliższego otoczenia, żyjących jeszcze choćby tylko w pamięci najbliższych mu osób. Książka stawia przed oczy ludzi, nie tylko aktorów, tych znanych, jak i zwłaszcza odgrzebanych z zapomnienia. Tacy ludzie przemawiają niekiedy w sposób o wiele bardziej zrozumiały niż postacie pomnikowe.

Chcę zwrócić uwagę, że w książce prof. Elżbiety Stoch równie ważne jak główny tekst są obfite dodane przez nią przypisy. Dla wielu czytelników, nie tylko młodych, może to być doskonałe źródło informacji o odległych już czasach. Umożliwiają one bliższe poznanie osób i spraw występujących w głównym tekście. Dzięki tym szczegółowym i na wskroś erudycyjnym przypisom czytelnik dowie się, kim były osoby wymieniane w książce, pozna lokalizację miejsc, o których wspomina się w recenzowanej pracy, co oznaczały ich nazwy, a także inne terminy i określenia. Można oczywiście czytać książkę bez przypisów, ale jeśli ktoś chce poszerzyć swoją wiedzę o okresie międzywojennym czy też o okresie okupacji niemieckiej, a także o latach tuż powojennych, powinien poświęcić czas na zapoznanie się również z dodanymi do tekstu głównego przypisami, gdzie wszystko ma wyłożone jasno i precyzyjnie.

Praca zawiera poza tym wiele niezwykle cennych ilustracji i fotografii z epoki, czasem wzruszających, a niekiedy nawet wprost przerażających, obrazujących wojnę i losy ludzi tuż po jej zakończeniu. Warto przy tym

podkreślić i to, że niemała liczba zdjęć tak obiektów krajowych, jak i zagranicznych, na przykład wnętrz i dekoracji, została wykonana przez samą autorkę.

W tym miejscu nie można zrezygnować z pewnego sumującego podkreślenia znaczenia tego dzieła, i to pod wieloma względami. Niektóre z nich już wybrzmiały. Dodać wszakże trzeba, że książka autorstwa prof. Elżbiety Stoch to ważny i – rzec można – wręcz rozstrzygający krok do pełnego zaprezentowania polskiej teatralnej myśli twórczej w ogóle, w tym wypadku zaś zwłaszcza w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej w Lublinie. Autorce, która z pietyzmem podeszła do tego zadania, należy się uznanie i wdzięczność za dzieło doprawdy ogromnej wartości zarówno warsztatowej, jak i merytorycznej.

Pani prof. Elżbieta Stoch należy do średniego pokolenia lubelskich badaczy kultury. Może jednak już teraz wylegitymować się znacznymi osiągnięciami naukowymi, a wierzymy, że jest to dopiero zapowiedź dalszych równie doniosłych w jej dorobku.

Ks. Edward Walewander

Kyrzej

NAŁĘCZÓW · JASTRZĘBI SZLAK

Nakładem Urzędu Miejskiego w Nałęczowie ukazała się interesująca książka – album, opisująca i obrazująca nowy szlak turystyczny. Ów szlak, dla pieszych i rowerzystów, o długości 20 km, został wytyczony oraz otwarty dla turystów i nałęczowskich kuracjuszy wiosną 2022 roku. Przebiega – jak pisze autor tekstu albumu – „przez niewielki obszar dwu mezoregionów Wyżyny Lubelskiej: środkowy fragment Płaskowyżu Nałęczowskiego z malowniczą doliną rzeki Bystrej i licznymi – zacienionymi drzewami i krzewami – lessowymi wąwozami i niewielkimi wzgórzami oraz północny bezlessowy skrawek Równiny Bełżyckiej".

Tekst i fotografie do albumu wykonał historyk i regionalista nałęczowski Jerzy Michał Sołdek; opracowanie graficzne Agnieszka Sulimierska; redaktor merytoryczny wydawnictwa Przemysław Sołdek; druk i oprawa książki Drukarnia Wydawnictwa Arka.

Album *Nałęczów – Jastrzębi Szlak* otwiera słowo wstępne Burmistrza Nałęczowa Wiesława Pardyki, który pisze m.in.: „Turyści i kuracjusze przyjeżdżając do uzdrowiska, podążają ich [Prusa, Żeromskiego, Andriollego, Szelburg-Zarembiny] śladami, warto jednak odkrywać również inną stronę Nałęczowa – tą bardziej dziką, zieloną, reprezentowaną przez bogactwo przyrody, piękno krajobrazu, unikalne wąwozy lessowe oraz urokliwe piesze i rowerowe szlaki turystyczne". I dalej: „Publikacja, którą oddajemy w Państwa ręce, prezentuje jego [Nałęczowa i okolic] najciekawsze zakątki i jest przewodnikiem po nowym szlaku turystycznym".

Na następnej stronie albumu umieszczono mapę Jastrzębiego Szlaku, sporządzoną przez Marka Zielonkę Zielonego Królika. Wydawnictwo – starannie przygotowane i wydane, w formacie albumowym (297×237 mm), w twardej oprawie, na dobrej jakości papierze kredowym – można umownie podzielić na trzy części – I: opisowa licząca 15 stron, II: zawierająca 108 barwnych ilustracji, III: dodatkowe 14 ilustracji. Ponadto wykaz literatury, źródeł i map (14 pozycji).

W części opisowej czytamy, iż nazwę szlaku zaproponowali „miłośnicy przyrody i dziedzictwa kulturowego swojego miasta – uzdrowiska i jego najbliższych okolic" oraz, że „jak ktoś zauważył, rysunek szlaku na mapie przypomina jastrzębia w locie".

Wędrówkę Jastrzębim Szlakiem należy rozpocząć obok gmachu dawnego Domu Ludowego (zwanego Ludowcem), przy skrzyżowaniu ulic: Lipowej, Granicznej, Bochotnicy i Polnej. Stąd trasa prowadzi ulicą Graniczną w kierunku północnym, obok parowu dawnej fosy otaczającej niegdyś gród na wzgórzu, a dziś wzgórze z XVIII-wiecznym kościołem pw. św. Jana Chrzciciela. Dalej, przez mostek na Bochotniczance, obok osobliwego wzgórza, zwanego Poniatówką, lub Górą Poniatowskiego. Na kulminacji wzgórza widnieje kopiec, z fragmentami suchej fosy i wałów, które miały otaczać we wczesnym średniowieczu niewielki gród, z drewnianą, jak się przypuszcza, wieżą, „w dolnej części wzmocnionej →

Nałęczów. Dawny Dom Ludowy (zwany Ludowcem), z oficyną, fot. J. M. Sołdek

glinianą okładziną". Podczas badań archeologicznych przeprowadzonych w czerwcu 2021 r. i kwietniu–maju 2022 r., znaleziono tu m.in. gruz, fragmenty cegły, metalowy półkosek i ceramikę naczyniową z XI–XII wieku. Na Poniatówkę można wejść schodami z poręczami, prowadzącymi z trzech stron góry; przy schodach i na wzgórzu usytuowano latarnie oraz platformy widokowo-wypoczynkowe z ławkami.

Dalsza trasa szlaku wiedzie ulicą Stanisława Augusta Poniatowskiego, z zabytkowymi willami z przełomu XIX i XX wieku, a wśród nich dawna „Ochronka" (przedszkole) im. Adama Żeromskiego – dzisiaj Muzeum Bolesława Prusa, będące filią Muzeum Literackiego, Oddziału Muzeum Narodowego w Lublinie. Ulicami: Pałuby i Głębocznicą – oddzielającymi Nałęczów od wsi Strzelce – wchodzimy w granicę osiedla Nałęczów-Kolonia, a tu spacer, wśród posesji z ogrodami, kilometrową ulicą Kombatantów. Mijając po drodze północny brzeg lasku miejskiego „Wąwozy", z uroczym wąwozem spacerowym Głowackiego (z poręczami i mostkiem), dochodzimy do uliczki Kamieniak. Tutaj, na dzisiejszym skrzyżowaniu z ul. Kombatantów, w 1907 i 1908 r. Stefan Żeromski i architekt Jan Koszczyc Witkiewicz asystowali podczas wykopalisk archeologicznych, na odkrytym przypadkowo cmentarzysku neolitycznym – kultury pucharów lejkowatych (ok. 3700–3000 lat p.n.e.). Od kilkunastu lat, co roku przez kilka dni sierpnia, wiedzie tędy trasa przelotów balonów na gorące powietrze, podczas mistrzostw Polski i międzynarodowych zawodów balonowych.

Drogą oddzielającą Nałęczów od wsi Chruszczów-Kolonia, mijając po drodze Nałęczowski Zwierzyniec – Małe ZOO, podążamy na zachód, w kierunku wsi Zarzeka. Na mijanych polach – czytamy w albumie – „spotykamy sporo ptactwa: wrony siwe, dosyć często bażanty, a w ogrodach i przydomowych małych sadach gołębie, także wszędobylskie kosy, szpaki, gile nie mówiąc już o wróblach i sikorkach bogatkach". Przy skrzyżowaniu dróg krzyż, a za nim, w prawo, zarośnięta droga prowadzi do wąwozu osłonionego zagajnikiem. „Tutaj możemy spotkać sarny, lisy ale także dziki robiące wypady na sąsiednie pola, na których, od miedzy do miedzy, przemykają płochliwe zające, a wysoko nad nimi szybuje jastrząb".

We wsi Zarzeka przekraczamy granicę gminy Wąwolnica. Przez most na Bystrej wchodzimy ulicą 3. Maja do Wąwolnicy. Dzisiaj osady, siedziby gminy wiejskiej, zaś przed 1867 r. jednego z najstarszych miast Lubelszczyzny, które powstało w XIV wieku za panowania Kazimierza III Wielkiego. Wędrując skrajem skweru pośród Rynku skierujmy wzrok na zachód, by utrwalić w pamięci widoczną stąd wieżę neogotyckiego kościoła pw. św. Wojciecha, od 2001 r. bazylikę mniejszą. Po okrążeniu Rynku podążamy ulicą Bełżycką na południowy-wschód. Cienistym wąwozem wychodzimy (bądź wyjeżdżamy rowerem) na drogę polną, gdzie na skrzyżowaniu skręcamy w lewo. „Przed

nami lekko pofalowana równina, w dali pasma drzew, po lewej stronie widać kilka pasów zieleni porastających niewidoczne stąd wąwozy, opadające dalej, w kierunku północno-wschodnim, do doliny Bystrej." Wchodzimy na Równinę Bełżycką, „dosyć słabo urzeźbioną w stosunku do Płaskowyżu Nałęczowskiego, lecz tutaj z daleką perspektywą w kierunku południowym".

Podążając na południowy-wschód dochodzimy do asfaltowej drogi na skraju Starego Gaju, w gminie Wojciechów, by niebawem skręcić na wschód, i wzdłuż zagajnika, a później polną drogą dojść po 2,5 kilometrach do Lasu Wojciechowskiego. Poprzez las docieramy do Nowego Gaju, gdzie nad Bystrą stoi wyniosły młyn „Hipolit", od 1957 r. już nieczynny, zaś obecnie przekształcony w prywatne Muzeum Minerałów. Za mostem skręcamy w lewo, na południe, by wędrując wzdłuż meandrującej Bystrej po przejściu 150 m. wkroczyć w granicę zielonego Nałęczowa. Niebawem wschodnie zbocze doliny porośniętej pasmem liściastego zagajnika nieco się wypiętrza tworząc wzgórze, poprzecinane cienistymi wąwozami, zwane Łysą Górą. Na nim spotykamy kilka jaskiń, w których według miejscowej tradycji mieli ukrywać się ranni, po bitwie z moskalami, powstańcy w 1863 roku. Idąc/jadąc doliną, w miejscu gdzie rzeka podmyła strome urwisko góry należy wspiąć się na wzgórze (prowadząc teraz rower), gdzie na odcinku 250 metrów zainstalowano w 3. miejscach linowe poręcze. Po zejściu do doliny Bystrej mijamy u stóp Łysej Góry przysiółek Uleniny i dochodzimy do wzgórza Jabłuszko, z kapliczką „Pamięci powstania 1863 roku". Dalsza trasa szlaku prowadzi ulicami Bolesława Prusa, Ewy Szelburg-Zarembiny i Polną, którą dochodzimy do Ludowca, miejsca początku Jastrzębiego Szlaku.

Nałęczów, Poniatówka, schody na kulminację grodziska. Fot. J. M. Sołdek

Nałęczów, Platformy widokowe na Poniatówce. Fot. J. M. Sołdek

Nałęczów. Wąwóz Głowackiego. Fot. J..M. Sołdek

Nałęczów. Willa Podgórze. Fot. J.M. Sołdek

Nałęczów. Bystra u stóp Łysej Góry. Fot. J. M. Sołdek

Część opisową albumu kończy krótki, 4-stronicowy, zarys dziejów Nałęczowa, gdzie m.in. czytamy: „Mimo iż Nałęczów jest młodym miastem, prawa miejskie otrzymał bowiem w 1963 roku, to już w X–XI wieku, a być może wcześniej – w VIII–IX wieku, jak uważają niektórzy mediewiści, istniał tu gród obronny na dzisiejszym wzgórzu Poniatówce (Poniatowskiego), u stóp którego powstało podgrodzie". Na dalszych stronach dowiadujemy się, że „w dobie powstania 1863 roku, w pobliżu Nałęczowa miało miejsce co najmniej 8 potyczek i bitew oddziałów powstańczych z Rosjanami". „[R]ozwinął się [w latach 1939–1944] prężnie antyniemiecki ruch oporu. […] Oddziały BCh i AK oraz inne ugrupowania zbrojne (GL i AL) dokonały tu kilkudziesięciu akcji dywersyjnych i bojowych; zostało wysadzonych bądź uszkodzonych 7 niemieckich pociągów wojskowych".

W części II albumu zamieszczono, jak już wspomniano, 108 ilustracji, w tym: 1 reprodukcję drzeworytu, 1 rep. rysunku, 1 rep. fotografii z 1916 r., 7 archiwalnych kart pocztowych, 3 rep. portretów oraz 95 barwnych fotografii Jerzego M. Sołdka.

Część III, zatytułowana *Spacer do centrum Nałęczowa*, zawiera również fotografie autora albumu, przedstawiające 14 charakterystycznych obiektów Nałęczowa, jak: Chata – Muzeum Stefana Żeromskiego, Pałac Małachowskich, Sanatorium Książę Józef, Stare Łazienki, Kościół rektoralny pw. św. Karola Boromeusza czy willa Podgórze…

Polecamy album *Nałęczów. Jastrzębi Szlak* nie tylko miłośnikom turystyki.

Jadwiga Słonimska

Dąbrowica. Wyjęte z „Echa”

Cezary Taracha *Dąbrowica 700 lat miejscowości, 70 lat parafii*, Lublin 2021, Polihymnia ss 227, il.

Zamek w Dąbrowicy, rodzinne gniazdo Firlejów, nazywany niekiedy pałacem, od wiek wieków, opisywali podróżnicy, kronikarze, reporterzy i poeci, stanowił też wdzięczny temat malarski. Ryciny zamku zdobiły wiele kart XIX-wiecznych gazet, a i dzisiaj bywają chętnie przypominane. Jako pierwszy piękną rezydencję opisał Jan Kochanowski. Z Firlejami łączyły go mocne więzi przyjaźni, sławił polskimi i łacińskimi wierszami ich męstwo, hojność i uczciwość. Poeta w Dąbrowicy bywał wielokrotnie, po jednym z pobytów pozostawił łaciński utwór przełożony przez Juliana Ejsmonda:

Gościu! Skoro przestąpisz progi marmurowe,
Przed geniuszem Onego miejsca pochyl głowę.
Firlejów dom ten chowa. O ich pięknej sławie
I o walecznych czynach w rycerskiej rozprawie,
Jeśliby przemilczeli spółobywatele –
Zaczęliby je chwalić w głos – nieprzyjaciele.

Podobnych wierszy jest, bagatela, czternaście! Adresatem połowy z nich pozostaje Mikołaj Firlej, syn marszałka Jana, wielbiciel fraszek i mecenas poety, nieustannie zachęcał przyjaciela do wydawania utworów drukiem i – rzecz jasna – hojnie wspierał życzliwego autora. I sława tego mecenasa niech nigdy nie przemija.

Rezydencja z XVII wieku została zniszczona przez pożar, następnie splądrowana przez Szwedów. Do naszych czasów przetrwała zaledwie jedna z sześciu wież – dwukondygnacyjna, na rzucie ośmioboku. Przetrwała też legenda. Ludowi znawcy dziejów zamku utrzymują, iż ostatnia właścicielka przegrała go w karty. – Lubiła hazard! – powiadają z wyrozumieniem dla pańskich słabości.

Nie jest to dalekie od prawdy, choć o rozrzutnej właścicielce Dąbrowicy nie wspomina się w e współczesnych opracowaniach i przewodnikach historycznych. A przecież choćby w Wielkiej encyklopedii ilustrowanej (1890), pod hasłem „Dąbrowica” napisano: „Marianna Sapieżyna z Firlejów, gdy ta zmarła bezpotomnie w drugiej połowie XVIII wieku, zostawiwszy znaczne długi, wierzyciele, cały majątek, około 1000 wsi wynoszący, zagarnęli; w liczbie innych i Dąbrowicę na licytacji publicznej sprzedano”. Usuwano wtedy wszystko, co tylko jakąś wartość przedstawiać mogło, wyrywano marmury, ozdoby z drewna, haki i ankry, i przyspieszano ten upadek”.

W karty lubiła grywać inna Sapieżyna, Elżbieta z Branickich, jest o tym wzmianka w Polskim Słowniku biograficznym, o Mariannie Sapieżynie Słownik nie wspomina.

Wacław Świątkowski, podróżnik-reporter, autor tomu Wyprawa w Lubelskie stanął przed zrujnowanymi murami w roku 1926, rozejrzał się bystro wokół, zagadnął do kogo trzeba i zapisał: „W chwili mego zwiedzania ośrodkiem majątku władał Niemiec, kolonista znad Renu czy Sprewy, który nie liczył się wcale z historią Dąbrowicy. Z resztek wspaniałego zamku Firlejów zbudował skromny dworek, park wyciął, a na jego miejscu założył ogród warzywno-owocowy. Cudem ocalała baszta z kawałkiem ściany, nikły szczątek byłego zamku, posłużyła praktycznemu koloniści za urządzenie zeń stajni”. Do ruin zamku w latach 90. XX wieku dobudowano – jak się dzisiaj powszechnie powiada – nie pasujący do zabytku obiekt mieszczący placówkę Caritas.

W roku 2021 Cezary Taracha opublikował interesujący tom Dąbrowica 700 lat miejscowości,70 lat parafii. Jest to wybór artykułów autora książki publikowanych na łamach gazety parafialnej „Echo Dąbrowicy”. Gazetę wydawał ksiądz Jerzy Poręba, proboszcz parafii Narodzenia NMP w Dąbrowicy, księdzu Jerzemu dedykował swe dzieło autor. Przypomniane artykuły – publikowane na przestrzeni kilkunastu lat – odnoszą się do historii i współczesności miejscowości i parafii, ale nie brakuje refleksji odnoszących się do wydarzeń i zjawisk, które poruszały ludzi w Polsce i świecie. Tom przynosi również cykl rozmów z osobami, które cieszą się sympatią i uznaniem – jakby to powiedział dawny poeta – spółobywateli. ■

Zbigniew
Włodzimierz
Fronczek

Legendy lubelskie

Opowieść o cygańskiej koronie

(fragment powieści)

W Lublinie widziano wielu polskich królów, o mieście powiada się nawet „królewski gród", ale lublinianie obejrzeli tylko jedną koronację. Odbyła się w 1729 roku.

W Polsce panował August II, w jego imieniu władzę nad Cyganami objął Jakub Trzciński, szlachcic ziemi lubelskiej herbu Ślepowron. Z królewskiego nadania – miłościwie panującego Augusta II Sasa – począł sprawować „urząd królestwa Cygańskiego". Koronę ze szczerego złota na głowę jego wysokości Jakuba I nałożył ksiądz z kościoła św. Piotra i Pawła. A wszystko miało miejsce na Tatarach podczas polowej mszy koronacyjnej.

Instytucja króla cygańskiego – jak podaje każda polska encyklopedia – znana była w Polsce od XVII wieku aż do czasu rozbiorów. Królowie cygańscy panowali w okresie międzywojennym, jak również we wczesnych latach powojennych. W czasach I Rzeczypospolitej Cyganie szukali sobie zwierzchnika nie w swojej społeczności lecz wśród poważanej szlachty. Wincenty Pol – poeta, etnograf i ludoznawca – pisał: „Litewscy i pińscy Cyganie obierali sobie króla, który ich rządził i sądził. Królem takim wszakże mógł być tylko szlachcic dobrze osiadły, który nad nimi samowładnie panował, a bronił ich tam, gdzie wyjęci spod prawa Cyganie – potrzebowali opieki prawa".

Król był oficjalnym reprezentantem Cyganów przed sprawującym władzę monarchą. I to nie tylko – jak pisał Pol: na Litwie i Polesiu – ale na terenie całej Rzeczypospolitej. Jego rządy sprowadzały się z jednej strony do ochrony interesów społeczności cygańskiej, z drugiej zaś (jeśli nie przede wszystkim) na utrzymywaniu porządku i zbieraniu podatków.

Nie ma portretu Trzcińskiego, nie zachowały się – jak można mniemać – kronikarskie relacje z koronacji, żaden z poetów nie sławił cnót nowego króla. Niewątpliwie ten czy tamten historyk miał w swych rękach dokumenty z zamaszystym podpisem Jakuba I znamionującym siłę dłoni i charakteru. Inne podpisane przez niego akta i nominacje wcześniej czy później doczekają się z pewnością naukowych komentarzy. O tym królewskim archiwum napomyka Jerzy Ficowski w swym kilkakrotnie wznawianym dziele „Cyganie polscy", w którym (m.in.) parę akapitów poświęca instytucji króla cygańskiego. Z błyskiem w oku wspominała króla Jakuba legendarna poetka cygańska Papusza (właściwe nazwisko Bronisława Wajs, z domu Zielińska), żyjąca w latach 1908–1989.

Powiadała, że urodziła się w Lublinie, lubiła miasto nad Bystrzycą i potrafiła o nim snuć bajkowe opowieści. Paru wysłuchałem, w trakcie spotkań w Gorzowie, gdzie spędzała swe ostatnie lata. Jedna z tych opowieści była o królu Jakubie.

– To dobry człowiek. Bardzo dobry. – Mówiła o nim, jak o kimś bliskim, kogo znała dobrze, jak wujka czy sąsiada.

Zdarzyło się, że udzielił pomocy Cygance, która z dwójką dzieci brnęła przez zamieć w sobie tylko znanym kierunku. W swym dworze zapewnił im nocleg i chleba nie żałował. Odpoczęli, nabrali sił i nim ruszyli w dalszą drogę, Cyganka miała powiedzieć swemu dobroczyńcy: – jeśli zaproponują ci koronę, nie odmówisz.

– Jeśli zaproponują koronę, nie odmówię! – zapewnił ze śmiechem.

– Królowie nie muszą żyć długo, z pewnością nie dłużej niż zwykli ludzie – przestrzegała.

– Wiem, że i moja śmierć może już mi się przyglądać zza płota. Czego jak czego, ale długiego żywota nie czekam! – wyjawił Cygance.

– Czekaj więc na koronę! – zapewniła.

Opowiedział żonie cygańską przepowiednię. – Czy mówiła, że i ja będę królową?

– O tobie nic nie wspominała – wyznał szczerze.

– No to i tobie na nic takie wróżby! – burknęła ze złością. Począł się zastanawiać nad tym co usłyszał od Cyganki, złość go na siebie porwała, że nie zapytał o losy własnej żony.

Wiosna przyszła sucha, z zasiewami zwlekano, w kościołach modlono się o deszcz, w dodatku żona poczuła się niezdrowa i ku zaskoczeniu wszystkich jeszcze tamtej wiosny zmarła. Jesienią zaczął się nieśmiało rozglądać za kandydatką na żonę…

Któregoś dnia przed dworem Trzcińskiego zjawił się stary, dostatnio ubrany Cygan i powiedział: król August czeka w Warszawie. Czy można wierzyć Cyganowi nawet jeśli jest dostatnio ubrany? Ale już drugi dzień stawił się już przed Jakubem Trzcińskim goniec najjaśniejszego pana, wręczył list królewski i adresat nie miał wątpliwości, że spełniła się cygańska wróżba.

Objąć władzę to wielka sztuka. Utrzymać władzę – jeszcze większa sztuka. Jakub Trzciński szybko i niespodziewanie począł sprawować „urząd królestwa cygańskiego" i jeszcze szybciej go porzucił. Abdykował w drugim roku władania nad cygańskim ludem. Skąd ten pospiech? Nie chciał być królem malowanym, a władać – jak to się powiada – silną ręką nie potrafił. W mig się zorientował, że kilku awanturników podających się za królewskich marszałków, kasztelanów, instygatorów, łowczych czy skarbników ściąga podatki. On miał to czynić to z obowiązku, z mocy prawa, tamci zaś zbójowali. Kto zacz – tamci? Herbowa szlachta ale i bandy urwipołci, zbiegów i różnej maści zbirów, jakich w wielu okolicach kraju nie brakowało. Jakub Trzciński, człek prawy, rycerz dzielny, mąż bogobojny nie miał – jakbyśmy to powiedzieli dzisiaj – zdolności administracyjnych. Nie potrafił – nawet mając w ręku dokumenty króla Augusta II Sasa – przeciwstawić się konkurencji. Wybrał abdykację.

Jeszcze w roku 1731 królem Cyganów mianowany został Franciszek Bogusławski. Swój przywilej ogłaszał osobiście w wielu miastach: we Lwowie, Krakowie, Sandomierzu i Zamościu. Korony od poprzednika nie zdążył odebrać. Wcześniej przybył po nią Jan Potocki, szlachcic trudniący się rozbojem, zbir nad zbiry. Solennie zapracował na złą sławę. Grabił i mordował chłopów, szlachtę a i duchownych nie oszczędzał.

Zajechał ze swą czereda pod dwór Trzcińskiego, nawet nie zsiadł z konia, wywołał gospodarza. – Oddaj koronę! – zażądał.

Po cóż była Trzcińskiemu korona? Chciał ratować życie, oddał klejnot królestwa cygańskiego. Potocki chwilę ważył ją w dłoniach, postukał paluchem w jeden brylant, w drugi i nałożył na głowę. Roześmiał się szelmostwo, zawtórowali mu kamraci.

– Nie nacieszysz się nią długo – miał rzec Trzciński. – Kto ją zatrzyma na dłużej, tego przygniecie!

– To przepowiednia naszego króla, króla Jakuba – opowiadała Papusza. – Przepowiednia ma swą moc! Jeszcze tamtego wieczoru kamraci-hultaje poderżnęli Potockiemu gardło.

Wysłuchałem opowieści o cygańskiej koronie we wrześniowe, ciepłe przedpołudnie w gorzowskim parku. Liście żółkły, czerwieniały, ptaki zbierały się do wyprawy za morza a ja chłonąłem słowa cygańskiej wieszczki. Mówiła jak natchniona swój poemat o cygańskiej koronie, o królach, ludziach szlachetnych i nikczemnikach, o królach i zbirach.

Ilu przygniotła cygańska korona, ile głów ozdobiła, opromieniła? Pojawiała się w latach wojen, kiedy panuje zło i przemoc, a ludzie sięgają po noże, siekiery, karabiny…

W czasie ostatniej wojny dostała się w ręce kolejnego króla, władcy żydowskiego getta w Lublinie. Każda grupa ludzi, każda społeczność ma swą władzę, dowódcę, jednym przewodzi herszt, innym wojewoda, inni obierają króla, jeszcze inni wolą prezydenta. Skoro w getcie był król, znalazła się i korona. Jaka była wtedy jej cena? To zależało od nabywcy. Jeden mógł dać worek cebuli, drugi darować życie. Nie tylko właścicielowi, także jego bliskim. Król rozglądał się za takim nabywcą. I wypatrzył. Podarował ją żandarmowi. Ale korona nie na głowę żandarma. Jego łepetyna dobra pod hełm!

Król uratował swe życie, a co z żandarmem, czy uszedł cało?

Wysłuchałem baśni, poematu nie wykładu historii. Poezja, baśń – wiadomo – metafora, skrót myślowy, emocje… Metafory można interpretować różnie, skróty myślowe rozwijać, emocje odgadywać… Podjąłem się tego wysiłku.

Papusza w swej opowieści wymieniła jedynie imię króla Jakuba, imiona innych królów, hersztów i komendantów z tej opowieści pochodzą z kart historii, innych legend i opowieści. Dorzućmy jeszcze dwa nazwiska, legendarnego króla i wojennego gubernatora Lublina. Lubelskie rządy Odilo Globocnika– dowódcy SS na dystrykt lubelski – rozpoczęły się 9 listopada 1939 roku. Dla Brigadeführera Globocnika udział w Zagładzie był – jak i dla wielu jego rodaków – okazją do szybkiego wzbogacenia się. Wykorzystywał swoje stanowisko do prowadzenia nielegalnych przedsięwzięć, w tym czarnorynkowego handlu. Jednym z jego partnerów w interesach był żydowski kolaborant z Lublina, Szama Grajer, zwany „żydowskim królem". Ten za darowanie życia miał zapłacić cygańską koroną. Czy tak się stało? To możliwe.

Nie ulega wątpliwości, że Globocnik odwołany został z Lublina i przerzucony nad Adriatyk. Tam miał popełnić samobójstwo, ale nie brakuje dokumentów, że wiódł dostatnie życie w Ameryce Południowej do lat 80. XX stulecia. Szama Grajer, wedle niektórych źródeł zginął w getcie na Majdanie Tatarskim po 9 listopada 1942 roku, według innych śmierć dosięgła go w Argentynie ale w roku 1968!

Korona cygańska – jak opowiadała Papusza – wymyka się ludziom, królom, ale zawsze do nas powraca. I nigdy nie opuszcza ziem lubelskich… ■

Zbigniew Włodzimierski

Przysłowia i powiedzenia lubelskie

Flet i makaron

Józef Rulikowski (1731–1720) pochodził z Husynnego nad Bugiem. W swym dziele pamiętnikarskim Urywek wspomnień wydany z obszerniejszego rękopisu, które ukazało się w Warszawie w roku 1862, wiele miejsca poświęcił ziemi chełmskiej, opisał sejmik w samym Chełmie, Świerszczów, gdzie gospodarzył jego ojciec, a także Świerże, Czułczyce, Siedliszcze, Dorohusk i Dubienkę. Na sejmiku staropolskim autor pierwszy raz w życiu wystąpił w mundurze ziemi chełmskiej i tak zapamiętał tamten moment: „wdziałem na siebie kontusz sukienny, zielony, rękawy z wylotami, czarny aksamitny kołnierz z mankietami u rękawów, kitajką paljową podszyty, na haftki zapisany, żupan paljowy z gradenaplu, rapcie do szabelki, czarne ze złotem u kostki przerabiane, czapkę aksamitną, wysoką kwadratem zakończoną, u dołu czarnym barankiem obszytą, czupryna była podcięta i podgolona".

Z wielu cennych opisów w zapomnianym już dziele Rulikowskiego na uwagę zasługuje relacja z balu w Czułczycach, u podkomorostwa Kunickich. Gości uraczono także włoskim makaronem! Danie zdumiało biesiadników; nikt z zebranych za stołem nie kosztował jeszcze podobnych frykasów. Potem zagrała kapela, w centrum uwagi znalazł się pan Boniecki, jak odnotował pamiętnikarz: „słynny ze zgrabności i zręczności przy wielu użytecznych zdolnościach". Pan Boniecki zatańczył solo kozaka, sowicie nagrodzono go brawami, podochocony tancerz potknął się jednak po kolejnym wyciętym hołubcu, jak długi rąbnął o ziemię, leżał jak martwy i nie mógł odzyskać przytomności.

Ten nieznany epizod szlacheckiej zabawy może być pomocny w próbie wytłumaczenia popularności pewnej ludowej legendy. W okolicy Czułczyc opowiadano przed laty historię, a i dzisiaj pewnie są w tamtej okolicy osoby pamiętające powiastkę, iż przed laty w tamte strony przywieziono niemiecki flet. Na pytanie: „a dokładnie skąd?" pewien ludowy filozof odpowiedział: „skoro niemiecki więc z Niemiec bo raczej nie z Rosji!" Przystałem na takie wyjaśnienie. Flet posiadał dziwną moc. Kto usłyszał wygrywaną na nim melodię, zatańcowywał się na śmierć. W posiadanie instrumentu wszedł pewien owczarz. Poznał złe moce drzemiące w instrumencie i dlatego grożący niebezpieczeństwami przedmiot starannie ukrył. Jednakże wieść o tajemnej muzyce dotarła do czułczyckiego dziedzica. Szlachciura nie zapanował nad ciekawością, odszukał dom owczarza. W tamtym czasie powiadano: „kto ma owce, ten ma, co chce". Owczarz to była postać! Posiadał wiele tajemniczych przedmiotów, mógł też wejść – skoro tego zapragnął – w posiadanie bajkowego instrumentu. Wedle ludowych wierzeń owczarze potrafili nie tylko odwracać nieszczęścia, ale i je sprowadzać. Czy można się więc dziwić, że niemiecki flet dostał się w ręce takiego szamana? Szlachcic nie spotkał jednak właściciela. Los zetknął go z synem owczarza, kilkuletnim pacholęciem. Sprytny malec podejrzał, gdzie ojciec ukrył drewniane cacko, wydobył je i zagrał dziedzicowi, a ten zatańczył się na śmierć.

Czy u genezy ludowego podania legł przypadek niefortunnego tancerza z dworu w Czułczycach, pana Bonieckiego? To już jedna z niezapisanych i nigdy niewyjaśnionych legend ziemi chełmskiej. ■

Brama Trynitarska nocą

Dominika Wilk

WITAJCIE W MOJEJ BAJCE

Dominika Wilk, *Teatr im. Andersena w Lublinie nocą*

Dominika Wilk, *Kot w fotelu*

Dominika Wilk, *Teatr im. Andersena w Lublinie w dzień*

Dominika Wilk, *Kamienica Kota – Lublin, ul. Grodzka*

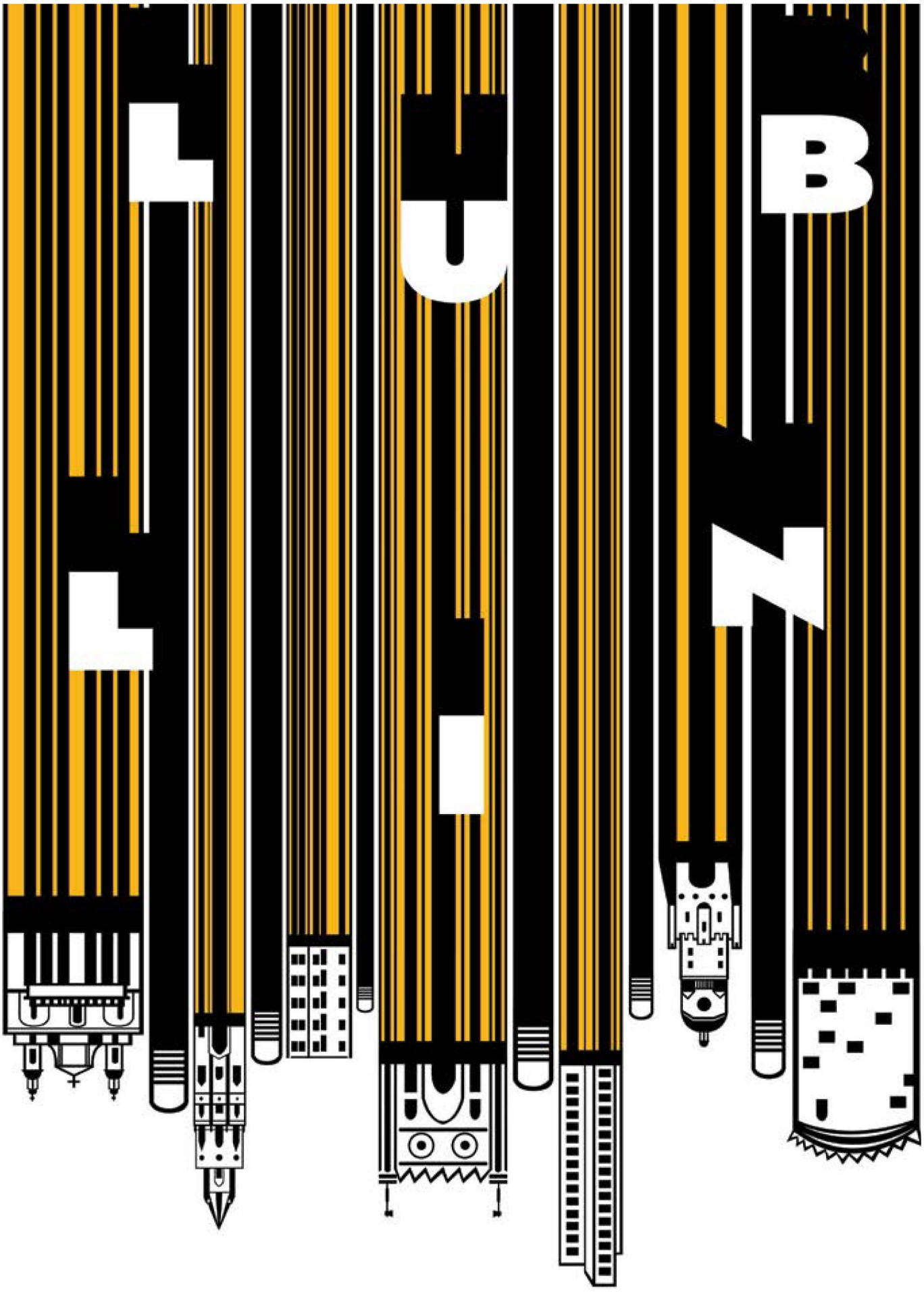

Dominika Wilk, *Lublin–ołówki*

ISSN 1733-4330
9 770173 343303 87